

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

LISTOPAD.

1899

---

TOM IV. — ZESZYT 2

---

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr 14.

—  
1899.

LITERATURA, NAUKI, SZTUKI PIĘKNE, SPRAWY  
STOŁECZNE I EKONOMICZNE, KRONIKI MIEJSCOWE I ZAGRANICZNE,  
KRYTYCZNY I BIBLIOGRAFICZNY PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. MIRAŻE, powieść (dokończenie) — przez Marionę . . . . .	192
II. ANGLICY I HOLLENDRZY W AFRYCE, — przez J. Kenigę . . . . .	232
III. KRONIKA GALICYJSKA, — przez U. . . . .	261
IV. PIERWOTNE ROZMIARY SPOŁECZEŃSTWA, — przez Ludwika Krzywickiego . . . . .	103
V. KRÓLEWNA MORZA (początek), — przez Tatarkiewicza . . . . .	297
VI. WRAŻENIA LITERACKIE Lili i Bronka, — przez Antoniego Potockiego . . . . .	307
VII. DWA ZJAZDY, — przez Ksawerego Chamca . . . . .	318
VIII. BOLESŁAW SMIAŁY I BISKUP STANISŁAW WEDEŁUG NOWEJ HYPOTEZY, — przez Antoniego Wysłoucha . . . . .	339
VIII. RONDA (wiersz), — przez Władysława Nawrockiego . . . . .	355
IX. PIŚMIENICTWO:	
Julian Żętownski (Władysław Książek): „Sonety i ghazele“, Łódź, 1899; Kazimierz Rojan: „Lepsze czasy“, powieść, odznaczona na konkursie „Kuryera Codziennego“, Warszawa, 1899, — przez A. Drogoszewskiego . . . . .	360
X. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Rozwój samouctwa i poświęcone mu w Krakowie pismo peryo- dyczne „Oświata“. — Co i jak czytać. — Szablony wygląd architektury warszawskiej. — Głos w tej spr- wie budowniczego, p. Klossa. — Konieczność konkur- sów budowlanych i czasopisma, poświęconego wy- łącznie architekturze. — Filozofia dramatu lwow- skiego . . . . .	366
XI. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	378



De. II. 1.

# MIRAZE.<sup>1)</sup>

POWIEŚĆ.

---

II.

Uroda Tuni dochodzi teraz do zenitu.

Nie jest piękną, nie zwróci od razu uwagi w tłumie. Ale kto raz przypadkiem spojrzy na nią, nie odrywa już oczu. Przebyte cierpienia uduchowiły dziwnie jej postać.. oczy same wciąż wracają do niej i chcą patrzeć jeszcze, jeszcze... Jest w niej coś przepaścistego, coś zagadkowego. Przechodzi, a w powietrzu zostaje coś z czaru jej istoty, coś, co niepokoi i zwraca głowę w jej stronę, i każe szukać jej wszędzie...

Na lato, ponieważ lekarze zalecili Gwoździckiej kąpiele morskie, wyjeżdżają do zakładu nad brzegiem Bałtyku. Jest to miejscowość

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt październikowy.

dość pierwotnie urządzona, znana głównie z tego, że co rok gromadzi liczne towarzystwo polskie.

Tunię pochłania morze, które po raz pierwszy widzi. Opuszcza modny „strand“, który ze swemi „koszami“, z legionem dzieciaków, uzbrojonych w łopaty, z mrowiskiem postrojonych pań, jest raczej parodią morza, i ucieka daleko poza zakład. Tam kładzie się na czystym piasku i godzinami patrzy w igrzyska bałwanów. Sina woda wzdyma się, wypręża, podnosi w górę, już, już zda się do nieba leci, i nagle rozbija się, przelewa sama przez siebie, rozpryskuje i mlekiem drobnych fal biegnie do brzegu.. A głuchy, rytmiczny szum przytem, szum bez początku i końca, uspakaja pomału, bierze w siebie, rozciąga duszę na olbrzymiem podłożu jakiejś dobrej nirwany.

A czasem morze zazieleni się, jak ruń na wiosnę, a tu i owdzie płynące piany, to niby ostatnie śniegi po kotlinach. A czasem zaszklą srebrną łuską pod słońce... a czasem, nad wieczorem, rozmarszcza się zupełnie i błyszczą całe różowo... jak niebo... tym mistycznym, różowoliliowym kolorem zachodu.

Upojona morzem, Tunia nie wiele uwagi zwraca na ludzi. Ale pewnego razu w restauracyi uderza ją rozmowa sąsiadów. Odwraca się szybko, nie dlatego, że rozmowa prowadzona jest po polsku, bo to zjawisko powszechne tutaj, ale dlatego, że dolatujący głos przypomina jej kogoś, kogo napewno już kiedyś słyszała.

Mężczyzna powstaje i przypatruje jej się z zajęciem.

— Panna Tu... panna Marta, a może już i pani Marta? — przemawia wreszcie.

— Pan Antoni!

— Do usług!

Posypują się wykrzyki, zapytania, objaśnienia. Przysuwa się natychmiast pani Antoniowa, wysoka, korpulentna dama, jedna z tych osób, o których Francuzi mówią: „une belle femme“, i bierze doraźny udział w rozmowie.

— Moja żona, moje dzieci... — przedstawia Antoni, ukazując chłopca i dziewczynkę, którzy w tej chwili kłócą się z boną, że im za mało kremu daje.

Siadają wszyscy razem przy jednym stoliku i reszta obiadu przechodzi wśród wesołych pogadanek. Pani Antoniowa, która najoczywiściej pierwsze skrzypce gra w tem stadle, opowiada towarzystwu, że mąż jej przepracował się w zimie, że lekarze kazali mu wyjechać nad morze, że powietrze jest tu cudowne, że Antosiewi przybyło dziesięć funtów, a ją migreny opuściły zupełnie. Ofiaruje się wskazać paniom, gdzie najlepiej i najtaniej wszystko kupić można, i pochylając się ku Gwoździckiej, tonem zwierzeń uwiadamia ją o jednym sklepie, w któ-

rym dostanie za bezcen wszystkiego, od ściereczek do prześlicznych koszul damskich.

Tunia przez ten czas przypatruje się z ukosa swemu dawnemu ideałowi.

— Czy podobna,—myśli—że to jest człowiek, który całował moje warkocze, że to on nazywał mnie „panną Tunieczką“, że to on wypełniał mi niegdyś wszystkie myśli i marzenia? Ten — filister?

Krytycznym wzrokiem obrzuca obiecujący zakrój tuszy pana inżyniera, dobrze już widoczną łysinę i szare, przygasłe oczy...

On odczuwa wzrok jej, bo podnosi głowę od filiżanki czarnej kawy, i z cicha, aby nie przeszkadzać żonie, wtrąca:

— Kawał czasu już, prawda, proszę pani?

— Kawał... — uśmiecha się Tunia.

— Pani nie wiele się zmieniła... powiem nawet, że te zmiany, które są, upiękniły panią. Twarz stała się wyrazistsza, oczy głębsze...

Na języku dziewczyny kręcą się słowa: „Pan za to zmienił się... i bardzo...“ Ale pełen uznania wzrok Antoniego tak jest dobroduszny, że trudno się gniewać za jego komplementy.

Antoni uśmiecha się... coś z minionej młodości dolatuje go od tej dziewczyny... ciągnie dalej:

— Dobre to były czasy!.. Człowiek miał w głowie tylko figle i podobanie się pannom...

— A teraz?

— Rodzina... obowiązki...

Obiad się kończy, ale pani Antoniowa, zachwycona nową znajomością, nie chce ich puścić. Układa projekty wspólnych obiadów, wspólnych wycieczek. „Będzie nam dobrze razem“. Ciągnie ich za sobą na „strand“, gdzie ma wynajęte dwa kosze. Siadają wszyscy. Pani Antoniowa, znająca wszystkich gości, jeśli nie osobiście, to przynajmniej ze słyszenia i widzenia, rozdaje co chwila ukłony i objaśnia:

— Ta pani, to doktorowa K. z Warszawy. Ta panna w białej sukni, co prowadzi za rękę siostrzyczkę, to córka obywatelstwa ziemskich z Poznańskiego... Mieszkają w Grand-Hôtelu. Widzi pani tę wysoką, piękną blondynkę? To separatka, Niemka... króluje tutaj. Włóczy się za nią jakiś artysta z Wiednia, uważała może pani w restauracji? Brunet, z brodą, w binoklach. A to znowu Polka, panna Nitecka... ogromnie bogata... bawi tu z ojcem i narzeczonym... zaręczona z doktorem Szalskim..

— Ze Stachem Szalskim?

— Tak, Stanisław, czy go pani zna?

— Znam, — odpowiada Tunia — to jest, znałam za studenckich czasów.

— Bardzo porządny młody człowiek. Własną pracą wykierował się, bo matka biedna wdowa. Nad wiek poważny, solidny, żadnych wybryków, jak to bywa zwykle. Stary Nitecki nazywa go perłą między młodzieżą terażniejszą. A, mecenas! Mecenasie, dokąd-że to?

— Szukam właśnie państwa! — odpowiada wysoki, chudy pan, w białym, flanelowym ubraniu, składając lekki ukłon obecnym.

— Pan adwokat Rudzki, nasz przyjaciel,—przedstawia Antonio-wa.—Jak pan widzi, kółko nasze powiększyło się. . Siadaj-że pan! Cóż, ileś pan tam dzisiaj spożył przy table-d'hocie? Mówię paniom, ten człowiek nie nie robi, tylko się tuczy!

— Bardzo mi przyjemnie! — odpowiada Rudzki, kłaniając się nowopoznanym. Nie wymawia ł, ma dużą łysinę i nerwowy skurcz lewego policzka. Obrzuca Tunię badawczym okiem, i uznawszy, że jej ramiona nie wytrzymują porównania z okazałymi kształtami pani Antoniowej, przysuwa się do ostatniej.

— Dali nam dziś — opowiada półgłosem — przepyszne, ale to mówię pani, przepyszne flondry! Ale przybyło mi półtora kilo...

Tunia zwraca wzrok na morze, które dobiega tuż, tuż prawie pod kosze. Zatapia się słuchem w ryk jego głuchy. Rozmowy starszych zamieniają się w brzęk bez znaczenia, w szmer, wreszcie nie słyszy ich zupełnie. Tylko morze sine, bezgraniczne, żywe morze...

Stach zaręczony. „Bardzo porządny młody człowiek“... Ukończył, żeni się bogato, używa świata za pieniądze teścia... A tam gdzieś, daleko, w polskiej wiosce, na zapuszczonym cmentarzu, trawa obrasta mogiłę dawnej Jadwini...

Ten Antoni, wypasiony, rozmawiający z Gwoździcką, mąż żony, która robi sprawunki i w antrakcie flirtuje z Rudzkim... Boże! Boże!. Czy to taki porządek rzeczy na świecie?.. Czy to taka odwieczna, naturalna kolej zjawisk, i ci, co chcą się z niej wyrwać, to tylko śmieszni głupcy, Don-Kiszoci, wyzywający do walki wiatraki?..

— Proszę pani, trzeba być praktycznym!—mówi półgłosem Rudzki, pakując się do kosza, obok Antoniowej. — Tu słońce nie dopieka...

— Trzeba być praktycznym!—powtarzają myśli Tuni.— Wzdryga się nerwowo. Podejmuje kanyk i rzuca go w morze. Przed nią przechodzi po raz drugi panna Nitecka. Szuka widocznie kogoś, bo rozgląda się, spojrzenia ich krzyżują się przez sekundę. Ani ładna, ani brzydka... zwyczajna, banalna twarz, jak tysiące .. „Trzeba być praktycznym“...

Podnosi drugi, trzeci kamyk, coraz zawzięciej rzuca w głębie. Z początku tworzą się koła na wodzie, ale za chwilę nadlatują fale i zakrywają z szumem kamyki, koła i wszystko...

— Gdzieś padł kamieniu? Coś zobaczył? Czy obudziłeś jakiego drzemiącego potwora na dnie? Co się tam dzieje w łonie tajemniczej otchłani?..

— Tuniu, zamoczysz panfotelki! — ostrzega ją troskliwy głos babki.

Drga, jak obudzona. Rudzki odzywa się:

— Pani jest marzycielką...

— Artystka, nic dziwnego! — dorzuca Antoniowa.

— Pierwszy raz jestem nad morzem, nie więc dziwnego, że wywiera ono na mnie pewne wrażenie, — odpowiada zimno Tunia.

To głośnie taksowanie jej, jako „artystki“, uraża ją gdzieś w duszę.

— Bardzo mili ludzie! — zachwycą się babka, gdy wracają wieczorem do domu.—Bardzo jestem zadowolona z tej znajomości. A ty cóż mówisz?

— Bardzo mili.

— Może oni nareszcie wyleczą cię z tej mizantropii. Może zacznieś przecież pokazywać się między ludźmi!—gdera babka, która nie może przeboleć, że kilkanaście modnych sukienek Tuni leży bez użytku w kufrach.

Tunia nie odpowiada. Gdy Gwoździocy kładą się spać, przymyka drzwi ich sypialni i wychodzi cichutko na balkon. Po drugiej stronie ulicy czerni się park... za nim jest morze. Słychać szum poprzez drzewa... w ciszy nocnej przybiera on kolosalne rozmiary. Noc — nieskończoność — morze...

Oparta o balustradę, Tunia oddycha głęboko, pełno... Dusza się uskrzydla... Oh, jacy oni marni, ci mieszczuchy nasyceni, co chrapią teraz po wszystkich domach i willach, gdy noc tak piękna, a morze szumi tak obiecująco, tak zwodniczo...

Ukrywa głowę w rękach... piersi jej rozpiera olbrzymia tęsknota... nieokreślona, niewysłowiona, nieznośnie rzewna jakaś...

— Za czym? Alboż nie żyła, nie przeżyła już wszystkiego, co było do przeżycia? Alboż nie zamknęła już rachunków ze światem?.. Teraz, mając 22 lata...

Przez następne dni pani Antoniowa bierze ich w kompletne obłączenie. Ale towarzystwo tych dwojga wraz z panem Rudzkim po prostu na nerwy działa Tuni. Oddaje dziadka i babkę na łaskę i niełaskę energicznej inżynierowej, a sama od rana wymyka się za miasto.

W jednym miejscu, na górze, zarosłej trzcina i krzakami, stoi altana, z otwartym widokiem na morze. Tunia codzień przychodzi z książką, opiera głowę o darniowe oparcie i patrzy. W pogodne i bezwietrzne dni, na krańcach horyzontu rozsypują się, niby stado białych motyli, żagle łodzi rybackich. Niekiedy wstążka dymu znaczy drogę parowca. A morze podnosi się ku niebu — to szare, jak gleba pod jesień, to niby całe z grubego, zielonego szkła, i tylko w jednym miejscu marszczy się po niem złoty pas słońca.

Pewnego razu budzi ją utkwione w nią spojrzenie. Jakiś cyklista, którego dotąd nie zauważyła, i który widocznie leżał na piasku, stoi i patrzy. Dwoje dużych, stalowych oczu wlepia się w nią z mieszaniną uwielbienia i nieśmiałości.

Sklada książkę i odchodzi. Przez parę dni obiera inne miejsce do przechadzek. Aż wreszcie, parta ciekawością, wraca do altany. Nieznajomy czeka. Czeka widocznie bez nadziei, bo ma minę bardzo rzadką. Gdy ją dostrzega, podnosi się, uśmiecha i patrzy. Błagalne spojrzenie psa wiernego... i takie rozmówane... Tunia, przejęta dziwnym jakimś uczuciem, ucieka.

Odtąd spotyka go ciągle na Promenadzie, nad brzegiem, w restauracyi, krąży koło niej, jak jastrząb. Rozciekawiona, przypatruje mu się ukradkiem. Jest niski, tęgi, bardzo przystojny... ogółem, postać dość filisterska, ma tylko śliczne stalowe oczy, przypominające trochę wejrzenie Witolda. Gdy ją dostrzega, rozjaśniają się bezgranicznem uwielbieniem i radością. A tak jest nieśmiały, że nie może zdobyć się na odwagę podniesienia czegokolwiek, gdy Tunia upuści. Gdy widzi koło niej mężczyznę: Antoniego, Rudzkiego czy Stacha, z którym znajomość się odnowiła, targa gniewnie bujne blond wąsy i odwraca się, lub dochodzi do jakiej damy.

Towarzystwo zwraca uwagę na nieznanego, który wkrótce staje się cieniem Tuni. Panna Ola Nitecka, narzeczona Stacha, nazywa go „zakochanym Szwabem“. Mężczyźni pozwalają sobie podżartowywać z niego. I to wszystko budzi w sercu Tuni jakąś tkliwszą litość dla biedaka. Bóg wie, co on za jeden, czego chce od niej, po co przewraca oczyma... ale zawsze to ujmuje...

Aż pewnego ranka spotykają się w kwiaciarni. Tunia kupuje dwie białe róże. On wybiera natychmiast dwie akurat takie same, i spogląda. Ona uśmiecha się nieznacznie. Po chwili wahania, nieznanomy przystępuje, i drżącym głosem prosi, aby zamieniła się z nim na bukieciki.

Ulegając nagłemu podszeptowi kokieteryi, Tunia wyrывa jeden włos z głowy, i okręcając nim róże, podaje.

— Dziękuję pani, — brzmi głęboko wzruszona odpowiedź. — Dziękuję.



Nie mówi nic więcej, ale w tem mieści się tyle, że Tunia spuszcza oczy, mimowoli zmieszana. Idą przez chwilę obok siebie.

— Jutro wyjeżdżam, — odzywa się nieznajomy po krótkim milczeniu. — Róże te będą stanowić najpiękniejszą epokę mego tutaj pobytu.

— Oh, żartuje pan chyba!

— Czy pani nie wierzy w miłość od pierwszego spojrzenia?

— Nie wierzę wogóle w miłość! — odpowiada Tunia, i po wrażliwej twarzy jej przemyka chmura.

— Pani, taka młoda!.. Przepraszam, pozwoli pani na jedno pytanie?

— Proszę.

— Czy pani jest artystką?

Dziewczynyna waha się przez chwilę.

— Tak! — odpowiada wreszcie.

— Poznałem odrazu. Ma pani dziwne oczy: głębokie, jak morze, zagadkowe, jak morze... Gdym panią pierwszy raz zobaczył, powiedziałem sobie: To artystka o niepospolitej duszy... Musisz pani mieć smutną duszę?

— Tak...

— Tęsknisz pani i chcesz lecieć, i więcej przeczuwasz, niż pragniesz... tak, jak cały wasz naród. Po akcencie poznaję, że jesteście pani Polką. U nas panuje przekonanie, że Polki są pierwszemi niewiastami na całym świecie. Powiem więcej nawet, że każdy z nas kocha się w dwóch kobietach: w jednej realnej, którą zaślubia, i w drugiej — wizerzy, niedościgłej, która jest widziana gdzieś, lub przeczuwana tylko, wymarzona Polka.

Tunia słucha. Słowa padają jak krople na jej duszę. Nieznajomy nie spuszcza z niej oczu.

— U was silniejsze są, niż gdziekolwiek, przesady narodowościowe. Polka i artystka! Czy pani nie gniewa się za to wszystko, co mówię?

— Nie.

— Ostatni dzień! — szepcze w rozmarzeniu. -- Wywiozę piękne wspomnienie stąd. Nie zmarnowałem czasu, bom poznał panią.

Dochodzą do „dygi“, to jest mostu, zagłębiającego się na kilkanaście łokci w morze. Nieznajomy prosi:

— Popatrzmy razem na morze.

I przez sekund parę, przechylając się przez poręcz, topią wzrok w skłębionej, gniewnej przepaści u dołu.

— Dobre duchy fal widziały nas razem. Jesteśmy zaślubieni w państwie Poseidona, co jeździ po dnie wozem, zaprzężonym w rumaki, o śpiżowych kopytach i złocistych grzywach.

Podnosi głowę, przeciera czoło i kilkakrotnie powtarza:

— Ostatni dzień... ostatni dzień!.. Ale nie wyjeżdżam biedny... zabieram róże pani...

— Ale ja muszę iść... czekają na mnie.

Nieznajomy nie śmie jej zatrzymywać. Patrzy tylko w oczy prosząco:

— Pozwoli mi pani pocałować się w rękę na pożegnanie?

Tunia już otwiera usta, aby powiedzieć: „dobrze“. Wtem dostrzeża Olę Nitecką, która zbliża się z uśmiechem. Wrywa rękę z uścisku, i biegnie naprzeciw niej.

— Winszuję, winszuję!—woła panna, zanosząc się od śmiechu. — A więc poznała się pani nareszcie z rozmiłowanym Fritzem?

— Skąd pani wie, jak mu na imię?

— Oni wszyscy Fritzowie. No, będzie on teraz panią piłował!

— Jutro wyjeżdża.

— Już?.. O, biedny Fritz!

Tego wieczoru i następnych Tunia jest pod wrażeniem swego poemaciku. Wyrwał się niby z morza, i znowu w morze zapadł...

Jak on ją przeczuł! . Odgadł całą prawie jej duszę. . Musi być bardzo subtelny... I jak on ją kochał!.. miał łzy w oczach, gdy się żegnali...

— Biedny Fritz...

Tunia otrząsa się mimowoli. Od dzieciństwa żywione idyosynkrazye wypęłzają na wierzch i stosunek przywalają śmiesznością. Dlaczego tak? On-by ją zrozumiał!.. Ma takie dziwne oczy... Rozeszli się bez wieści. . przepadli na zawsze dla siebie w otchłani bezimienności. Przelotny błysk... niby te gwiazdy spadające w nocie letnie. Może to on właśnie jest duszą jej bliźnią.

— Biedny Fritz!

Tak, zakochać się w nim, przedstawić go dziadkowi, babce, wszystkim, przywieźć do Warszawy, i może jeszcze z nim pojechać do Berlina... Nie, nie!.. Tunia ogania się od czegoś. Lepiej, że się tak skończyło.

I znów bieżą dni, dzielone między kąpiele, obiady, pańszczyzną towarzyską i samotne godziny dumań. Gdybyż te ostatnie częściej mi być mogły! Ale znajomi zakochali się w niej formalnie, i oddychać jej nie dają.

Najciekawszy jest stosunek z Antonim. Czas usypał taką przegrodę między Tunią a jej wielbicielem, że oprócz „dzieńdobry“ i „do-

branoc“, nie mają sobie nic do powiedzenia. Często godzinami milczą, gdy są sami, bo nie wiedzą, o czym mówić.

— Wiesz, — oznajmia pewnego dnia babka — przed chwilą nadszedł list od Broniczów. Kazio oświadczył się i został przyjęty. Za miesiąc ślub. Kazio ani słyszeć nie chce, żebyś ty mu nie družbowała. Błaga nas o powrót.

-- Kiedy mu tak na mnie zależy, niech poczekają.

— Nie można. Zahorowski nalega, bo musi wyjechać za granicę.

Wiadomość ta, jakkolwiek oczekiwana, kłuje leciutko Tunię. Ten dobry, oddany przyjaciel, stanie się odtąd własnością innej... na inną przelewać będzie skarby miłości i poświęcenia, jakich tyle jest w jego szlachetnym sercu. Tak być powinno zresztą. Ona pierwsza-by go po tępiła, gdyby nie był dobrym mężem. A jednak...

— Przecież go odrzuciłam... gdyby teraz raz jeszcze przyszło mi wybierać, zrobiła-bym to samo. Więc i o co chodzi?

— Ah, szkaradna natura ludzka!

Wymyśla sobie za tę arbitralną żądzę posiadania dla samego posiadania. Jest nikczemna, co się tam krępować! nিকেzenna, podła ciasna!..

A potem przychodzi myśl druga. Dlaczego wszyscy, prędzej czy później, znajdują drogę swą, dobijają się przystani?.. Tylko ona jedna...

„Sama!.. Sama!..“

Gdzie ona słowa te słyszała? Kiedyś, kiedyś.. już dawno... Ah, tak! wie już! Mówiła to niegdyś o sobie biedna Jadwinia, wtedy, kiedy to jeszcze czytywały i marzyły wspólnie... i życiem samotność tę opłacała...

Z zamyślenia wyrywa ją naraz znajomy głos męski:

— Lebo panna Tunia, lebo jej cień.

— Pan Maryan!

I podnosząc głowę, Tunia zdumiona widzi przed sobą starego prawie człowieka, który, serdecznie ściskając jej ręce, mówi:

— Kogo-bym się spodziewał spotkać, a najmniej panią! A fakt, że o nikogo mi tak nie szło na całym toutlemondzie!

— O nikogo? Doprawdy?

— Słowo! Pani nie wie, jak ja panią bardzo, bardzo lubię.

Ale zmieniła się pani! Wygląda pani, jak natchnienie!

Przypatruje jej się ze szczerem uwielbieniem.

— Nie jesteś pani piękną w klasycznym znaczeniu tego słowa, ale masz w sobie coś, co drażni, przyciąga i przykuwa... Co panią tak wypolerowało?

Tunia odpowiada krótko:

— Cierpienie.

— Cierpienie!.. — powtarza Maryan.

Milkną oboje, zmrozeni widmem, co ich tak okrutnie smagało już w życiu...

— Czy nie wiesz pani,—zapytuje wreszcie Maryan,—co się dzieje z panią Rolską?

— Z Ireną? Nie mam pojęcia. Przypuszczałam właśnie, że pan...

— Od czasu jej ślubu nie byłem w Warszawie. Spełniłem sumienie obowiązków druzby do końca, i rano, pierwszym pociągiem wyjechałem za granicę.

Twarz kurczy mu się na raz i wykrzywia potworną jakąś maską. Paznogie aż do krwi wpijają się w dłonie... Tunia z osłupieniem poznaje, jak niezmierną jest ta męka, która w przeciągu roku młodego człowieka zamieniła w starca.

— Kat samego siebie...

— Dosyć; nie mówmy już o tem! Wie pani, pocem tu przyjechał? Chcę uciec od ludzi i napisać powieść, piękną, olbrzymią powieść, która streszczać będzie w sobie wszystkie bóle, wszystkie pragnienia i walki ciasnego pokolenia, w której, jak w zwierciadle, odbije się całokształt naszego życia, od najwyższych jego wlotów do najpoziemiejszych pełzań... Wielkie, co?.. Napiszę! Tak, panno Tuniu, nie umrzemy!.. „Gdy nam się życia poemat“...

— Nie, nie tak:

Kiedy nam życia farsa się prześni

Co umrze w życiu, odżyje w pieśni...

— Niestety,—odpowiada Tunia,—boję się, że w połowie rzucisz pan pracę, bo nie znajdziesz w nas ani nic strasznie wielkiego, ani nic strasznie małego... tylko wszystko takie średnie, przyzwoito-nudne, po tysiąc razy znane i powtarzane.

— Fałsz! W nas młodych jest dużo, jest cały ocean „swojego“, tylko nie znalazł się jeszcze taki mądry pan, coby to „usynteział“. A teraz, zjedźmy z Parnasu na ziemię. Cóż u pani? Nie wychodzisz za mąż?

— Ja?!..

— No, pani!.. Dlaczego? to dobra rzecz! Życzę pani tego szczerze. Tunia wzrusza ramionami.

— Daj mi pan spokój! Mam nieszczęście znać tu dwie pary: małżeństwo i narzeczonych. Mogą oni człowiekowi z nerwami obrzydzić na zawsze święty stan małżeński.

— Boś pani pewnie znowu wdepła w hołotę. Pani wie, każdego filistra nazywam hołotą. Otóż ja pani pokażę idealną parę małżeńską. Borscy... mieszkają w jednej willi ze mną. Doprawdy, kiedy patrzę na nich, zaczynam wierzyć, że jest szczęście i jest miłość, i są żony, a nie kule u nogi... Gdybym był wcześniej wiedział... Ha... przepadło!

Wbija oczy w ziemię i kilkakrotnie uderza laską o piasek.

— „Kto od Bogów, Bogom służyć wybrany, niech się z ziemianami nie wiąże“, powiedział Brodziński, i dobrze powiedział. Albo się idzie drogą ideału, albo się nie idzie! No, żegnaj panią. Poruszyłaś we mnie stare wspomnienia, idę pisać. Bęźmiemy się często widywać, prawda? Jeno nie na strandzie, z akompaniamentem—cymbałów... Przepraszam, zapomniałem, że tam jest dziadek pani. Jutro przyjdę do parku z Borskimi i zapoznam was z sobą. Zgoda? O trzeciej!

Nazajutrz Tunia stawia się akuratnie, i ku wielkiemu swemu zgorszeniu, nie zastaje ani Maryana, ani jego przyjaciół.

— Co ja tu będę robić?

Boi się odejść, aby nie rozminąć się z nimi. W tem dochodzi ją odgłos polskiej mowy. W bocznej alei ukazuje się dwoje ludzi. Przystają i oglądają się wokoło.

— Ani śladu Maryana!—przemawia kobieta.—Ah, nieznośny ten człowiek! Pewno go natchnienie napadło, i ani troszczy się o to, co my zrobimy.

Tunia podbiega szybko.

— Państwo Borscy?

— Panna Marta Gwoździcka?

— Ha, ha, obejdzimy się bez naszego niesłownego literata!

— Za karę pójdziem stąd, niech nas szuka!

Tunia przypatruje się. Twarz Borskiego jej znana. Stanowczo widziała go kiedyś. I on przypomina coś sobie...

— Czy pani pamięta naszą podróż do Warszawy? Nie wiedziałem wcale, że ówczesna aspirantka do karyery artystycznej, i panna Marta Gwoździcka, o której koncertach słyszeliśmy w swoim czasie, to jedno..

— To pani!—woła Borska.—Mąż tyle mi opowiadał o pani, że aż byłam zazdrośna.

Tunia uśmiecha się. To ten!.. Głos, przypomnienia, pociągają ją o parę lat wstecz, wtedy, gdy rwała się do życia z takim zapasem sił i wiary.

— Pamięta pani,—ciągnie dalej Borski,—jak to myśmy wtenczas mądrze rozprawiali o kwestyi kobiecej i socyalnej? Przepowiadałem, że pani zmieni przekonanie. Cóż, nie zmieniła?

— Oh, ile razy!

Idą aleją nad brzegiem morza. Borska mówi wesoło:

— Byłam wówczas jeszcze narzeczoną Edzia, bo trzeba pani wiedzieć, że byliśmy po słowie od niepariętnych czasów. Otóż pisał mi on do Genewy, gdzie studyowałam medycynę, a następnie opowiadał tyle razy o uroczej nieznanym, żem doprawdy Bogu dziękowała, iż był tak niezgrabny i nie przedstawił się pani.

— Nie przesadzaj, Wandziu, bo panna Marta przeleknie się i ucieknie od nas.

— O, nie! Zbyt pewną jestem, że pani Wanda żartuje.

— Seryo mówię; rozmowa nasza utkwiała mi na długo w pamięci. Z jakąż pełnią otuchy jechałaś pani wtedy do Warszawy, do sztuki, do sławy! Dobilaś się pani celu... to już połowa szczęścia!

— Połowa?.. — powtarza Tunia w zamyśleniu. — A druga?

— Druga, to uzupełnienie, to, jak już miałem, zdaje się, zaszczyt powiedzieć pani wtenczas, szczęście rodzinne... jedynie prawdziwe, niezawodne i czyste szczęście.

— Za którym każdy z nas tęskni bezwiednie! — dorzuca Wanda.

Skręca w małą uliczkę tuż za parkanem, a Tunia machinalnie idzie za nią. Jest to cicha, ślepa uliczka bez nazwy, zabudowana z jednej tylko strony rzędem małych dworców z ładnymi ganeczkami, obrośniętymi fasolą. Borska zatrzymuje się przed jednym.

— Tu mieszkamy. Zrobisz nam pani wielką przyjemność, jeśli nas zechcesz odwiedzić.

Naciska kławkę i usuwa się, przepuszczając Tunię. W tej chwili z altany przed domem wychodzi młody człowiek z książką w ręku.

— Mój brat, Zykmunt, — przedstawia Borski.

Nowoprzybyły kłania się, i nie patrząc na Tunię, idzie dalej, w głąb parku.

— Umówił się naturalnie z jedną z niezliczonych mężatek, z którymi flirtuje! Niech sobie pani wyobrazi,—mówi Wanda,—że ten człowiek śmie utrzymywać, iż panny są mdłe i nudne, i nie zbliża się do nich.

— Praktyczny, czy ostrożny?

Wiatr porusza koronkową firaneczką na ganku. Fasola kołysze się lekko. Zdala słyhać łoskot bębna i śmiech dzieci, uganianiających się pod tą komendą. Po gęsto zielonej zbroczy parku płyną, przelewają się, tańczą strugi złota słonecznego. Tak tu swojsko, dobrze. Tunia zapomina, że jest na obczyźnie, z obcymi ludźmi.

Późnym wieczorem odprowadzają ją do domu. Wanda mówi:

— Będziemy się teraz często spotykać, prawda, panno Marto? Nie, nazwę panią lepiej tak, jak Maryan, jeśli pani pozwoli, panną Tunią.

— Może pani opuścić „paunę“.

Żegnają się, jak dawni znajomi i przyjaciele. Odtąd Tunia długie godziny codzien spędza w ich towarzystwie. Dziwnie jej tu dobrze, swobodnie. Ciągnie ją do nich, jak do słońca, do ciepła, do jasnej wody...

— Byłaś na medycynie,—pyta raz Borskiej.— Czy ją zarzuciłaś?

— Cóż znowu! Leczę służbę, parobków męża, całą okolicę, jeśli tylko mej pomocy żąda. Edward jest właścicielem majątku, a ja w nim wolnopraktykującym lekarzem. A że poza tem kochamy się i jesteśmy zaślubieni, to do rzeczy nie należy ..

— Wandzia jest fanatyczką na punkcie swego fachu. Prędzej mnie-by się wyrzekła, niż medycyny.

— Niewdzięcznik! Wiedz, droga Tuniu, że małżeństwo moje z Edziem, to cała historia. Maryan obiecuje wsadzić ją do najnowszej swej powieści, którą nam głowę zawraca. Otóż poznaliśmy się, gdy ja byłam w gimnazyum, a on na uniwersytecie.

— I naturalnie zaraz, na poczekaniu, miłość, zakłęcia, słowo, czekanie... Ale po co ja to pani objaśniam, kiedy z jej ocząt czytam, że znasz pani ten rozdział „expedite“.

— Myli się pan, niestety. Cóż dalej, Wandziu?

— Dalej?... Edzia „capnęli“, a i mnie o mało się nie dostało. Potem rodzina jego powstała na nas, bowiem on jest „synem obywatelskim“, a ja miałam nieszczęście urodzić się córką magazynierki. Potem zaczęłam wybierać się na uniwersytet, za co przechodziłam w domu burze wymysłów i wyklinañ... Uciekłam wreszcie potajemnie, jako wyrodna córka u swoich, a jako sawantka i awanturnica, co oplątała Edzia, u jego krewnych. Oh, Tuniu, nie masz pojęcia, nie życzę, abyś miała, co to za cierpienie!

— Które jednak zwyciężyła wola i miłość! Wierzaj mi, pani, miłość, rozumnie pojęta, jest najszerszem, najszlachetniejszym uczuciem na świecie..

Obejmuje Wandę i przytula ją długim, gorącym uściskiem.

— Życzę pani, panno Tuniu, abys jak najprędzej powtórzyła to z doświadczenia!

— Z doświadczenia? E, ja się nie nadaję do małżeństwa?

— Bajki! sądzisz pani, jak ślepy o kolorach.

— Gdy byłam panną, — mówi Borska — bałam się czasem, że tracę swą indywidualność przy Edziu, bo go za bardzo kocham. Ale to

naprawdę bajki! Jazń nasza żyje i rozwija się pełniejsza i doskonalsza, bo dopełniona jaźnią osoby drugiej..

— Czy zawsze macie zgodny sąd o rzeczach?

— O, nie! Często kłócimy się tak, że aż iskry lecą! Edzio na przykład jest trochę filologiem i zapalonym miłośnikiem klasycyzmu, ja zaś, utylitarystka, uważam łacinę i grekę za niepotrzebne obciążanie młodych mózgów. Cośmy się już o to nie naspierali! Jeśli będziemy kiedyś mieli syna, prawdopodobnie do czupryn nieraz sobie skoczymy o jego edukację!

Ani śladu nieufności, ani cienia niezgody między małżonkami. Każde z nich ma swoje cele, prace, nawet kasę, a tylko wspólną — miłość. Związek ich jest związkiem dwóch miłości, wolnym od wszelkich wyrozumowań praktycznych. Wobec osób trzecich jest stosunkiem koleżeńskim nieledwie. I tylko Tunia, która zna ich bliżej, wie, jaka pod tą formą życzliwości kryje się głębia uczucia.

— Wasze małżeństwo jest ideałem małżeństw! — powiada do Wandy, — i co najwyżej, służyć może na potwierdzenie reguły o wyjątkach.

— Eh, nie jest jeszcze tak źle!

Z altany wychodzi Zygmunt Borski. Ma, jak zwykle, obojętny, lekko ironiczny uśmiech na ustach. Ale słowa bratowej zajęły go widzieć, bo zatrzymuje się przy paniach.

— Jeśli mi wolno wtrącić swoją uwagę, — przemawia powolnym, rozwlekłym prawie głosem, — to pozwolę sobie powiedzieć, że większa liczba małżeństw, podobnych do waszego, była-by plagą dla ludzkości. Z kim flirtowali-byśmy, my, nieszczęśni kawalerowie?

— Jesteś strasznie ciasny! — śmieje się Wanda. — Wszystko mierzysz swoim łokciem.

— Nie, tylko panie bierzecie tę kwestyę z bardzo idealnego punktu widzenia, a ja -- z przyjemnego...

— Udajesz gorszego, niż jesteś. Masz i ty swoje ideały.

— O tak, na strandzie...

— Nie, trwalsze i piękniejsze. Medycyna na przykład.

— Brrr, uciekam! Mówisz dziś, Wandeczko, jak Spartanka.

— A pan jest zwolennikiem wyłącznie epikurejskiego przepędzania czasu? — przemawia złośliwie Tunia.

— O, nie, pani, jestem zwolennikiem wszystkich pod słońcem rodzajów, prócz nudnego! — odcina się natychmiast Zygmunt.

Składa ukłon i odchodzi.

Tunia przygryza wargi.

— Obiecujący początek!



— Dziełny chłopiec! — zapewnia Wanda.—Od chwili wstąpienia na uniwersytet, sam się utrzymuje, bo rodzice zerwali z nim, gdy obrał sobie medycynę. Ale on nie da sobie w kaszę dmuchać! Przejdzie przez życie!

— Zygmunt Borski? — mówi o nim Maryan.—O, knajpiarz znakomity, choć w Warszawie ma być całkiem inny, stateczny. Powiadają, że zarozumialec i impertynent, ale mnie to jest „wszystko dwa“, bo właśnie takiego typu potrzebuję.

— Ale powiedz pan, ale powiedz pan, — upiera się Tunia.

— Co mam powiedzieć?

— Jaki on jest?

— Toż mówiłem dopiero co.

— Nie, ale wewnątrz, naprawdę... Jesteś pan autorem, domyśl się...

— Domyślić się? A no, to chyba, że albo się pani w nim zakochała, albo go zniechęciła. Jeszcze nie to? To przepraszam panią bardzo, bo ani ja, ani moja domyślność, już się niczego więcej nie domyślamy.

— Chcę wiedzieć, co u niego kryje się na dnie duszy?

— Tylko tyle? Przepraszam panią, ale ja nie mam czasu. Szukajcie sobie dzieteczki pereł i koralu na dnach waszych dusz, ale mnie zostawcie w spokoju na dwa miesiące przynajmniej. bo muszę skończyć powieść.

Z Borskimi stosunki Tuni polepszają się z dniem każdym. Gwoździcka zaczyna gderać:

— Zawsze musisz wynaleźć sobie po kątach jakieś towarzystwo, i odłączać się od nas! Nigdy nie bawisz się dobrze tam, gdzie jest dziedek i babka.

— Babciu,—powiada spokojnie Tunia—zdaje się, że jestem pełnoletnią.

— Pełnoletnią, to cóż!.. Ja muszę czuwać nad tobą, nad twym postępowaniem, tembardziej...

— Tembardziej?..

Gwoździcka nie dopowiada, ale Tunia kończy z niezachwianym spokojem:

— Tembardziej, że masz opinię nadszarpniętą. Dziękuję babciu! Nie pragnę, pomimo wszystkiego, rehabilitować jej towarzystwem Antoniowej i pana Rudzkiego.

— Tak, tak, zadawaj się z tą Borską, o której wróble na dachach świergoczą.

— Co takiego?

— Co takiego? Ludzie śmieją się z Borskiego, że się z nią ożenił, kiedy i bez tego miał wszystkie prawa...

— To niegodziwe! Babciu, jak można powtarzać takie oszczerstwa, rozpuszczane przez rodzinę Borskiego, która nie może strawić ich małżeństwa!

— Tak, wiem, ty mi nigdy nie wierzysz!

To podobieństwo doli zacieśnia jeszcze węzły pomiędzy Wandą i Tunią. I ją przecież spotwarzyli...

Nadchodzą upalne noce sierpniowe. Morze uspakaja się zupełnie, robi się ociężałe. Za ledwie czasem pluśnie leniwa fala, niby ze snu zbudzona, warknie gniewnie i znów pograża się w drzemkę. Nastaje sezon róż. Tysiące kwiatów rozmaitych kolorów i odcieni rozkwita na gazonach, puie się po klombach, ozdabia ogródki, werendy, sztachety...

I Tunia czuje się ociężałą. Upały i kąpiele morskie osłabiają ją strasznie. Jest tak wyczerpana, że chodzić prawie nie może. Rano z trudem zwleka się z łóżka, z wysiłkiem dochodzi do brzegu, i kładąc się na piasku, godzinami leży nieruchomo. Żar pelza po niej, przepala na wskroś, całuje po głowie, grzeje ręce i nogi, na policzki wywabia ogniste rumieńce. Przemyka oczy... szkarłatne koła w zielone i złote pasy tańczą przed nią. Potem otwiera i patrzy na morze, na morze...

Morze jest cudne. Stoi nad niem opar rozwiany, zdający się być snem fal... Kędyś, kędyś, na kresach lapisowo-sinych omgleń, woda i powietrze zlewają się w jedną zakłęta baśń tajemniczą

„Ten siny obłok, ten zwiejny obłok, to brama innej, wymarzonej krainy... Tam, za odmętami morza, jest przystań dla dusz zbłąkanych. Róże, co straciły barwę i wonie, tęcze, którym blaski przybladły, pieśni, co skonały na strunach, dusze, co napróżno gonily przez życie sen swój o szczęściu, idą tam na odpocznienie wieczne, na spokój i ciszę... do tej ziemi obiecanej...

Ale, by się dostać do niej, trzeba wypić całą gorycz morza, które ją odgradza od kraju żyjących“...

— Piłam...

Tunia wyciąga ręce. To morze przemawia do niej jakimiś przedudnie pięknymi dźwiękami marzeń dziecięcych. Przypomina jej się piosnka, którą nianka śpiewała jej przed laty:

W stodole myszka, w stodole,

Wygląda dziurką na pole,

Wygląda dziurką na pole...

Pamięta tylko te dwa wiersze i melodyę, ale unosi ją ona w chwili niepowrotne, ubiegłe, niezapamiętane, takie nieuchwytnie, jak mgły nad morzem... Roi się tumult na poły zatartych wspomnień... wspomnień czystych, nieskażonych, świętych... Porywa ją znowu ta dobrze znana, przeklęta tęsknota... Przez palce sączą się grube łzy... nic nie wie, nie czuje, nie pragnie, tylko tak żal, tak przepaściście żal, żal...

— Czy nie widziała pani przypadkiem brata i bratowej!

— Mają tu nadejść.

— Pozwoli mi pani zaczekać?

— Ależ proszę!

Tunia z pewną ciekawością przygląda się Zygmunutowi Borskiemu. Jest on stanowczo nieładny: brunet z zarostem. Ma duże, szare oczy, duże a smutne. Jest w nim coś, co pociąga...

— Dziś pan nie w humorze! — odzywa się Tunia.

— Rzeczywiście — odpowiada — przesuwając ręką po czole. — Smutny dziś jestem. Opuściłem towarzystwo, bo mnie drażni.

— Niech pan popatrzy na morze. Takie senne. To uspakaja.

— Senne... trafne wyrażenie — powiada Zygmunt i po raz pierwszy spogląda na Tunię.

— Senne — powtarza jakby odruchowo, i znów wzrok zwraca na szereg fal, które leniwo, ospale, niechętnie jakby, pluszczą o brzeg... Nad morzem unosi się ptak... rozcina skrzydłem przejrzyste rozwieje

i leci w dal ku krańcom, gdzie się Bałtyk sływa niewidzialnie z mgławym pasem chmur...

— Mewa...

— Chciała-bym być nią... polecieć... zabaczyć, co jest „tam“...

— Przestrzeń... napelniona wirem przejrzystych duchów, które są może uludą naszego wzroku i wyobraźni...

— Miraże — szepcze Tunia z oczyma łez pełnemi.—Ja nie mogę patrzeć dziś na morze.. Beczę mimowoli...

Zygmunt zwraca na nią długie spojrzenie.

— W pani jest masa uczucia...Szkoda mi pani... Uczucie—mówi zwolna—to niewygodny ciężar w życiu...

— I pan tego doznawał?

— Czasami...

Pomału zaczyna się między nimi rozmowa. Zaczyna się od uczuć, wyobrażeń i Nietzschego, a kończy na czemś tak nikłym, czysto indywidualnym i nieujętem, jak dzisiejszy nastrój morza.

— Ja się chyba już nie doczekam Edwardowstwa! — powiada wreszcie Zygmunt, patrząc na zegarek. — Został-bym chętnie jeszcze, bez blagi, ale mam lekcję...

— I ja pójdę do domu. Czas na podwieczorek.

Idą razem. Tunia przemawia w zamyśleniu:

— Obgadali mi pana! Przedstawili go, jako zarozumiałego pyszałka i impertynenta.

— Mea culpa... jestem często impertynentem. Jak tu nim nie być? Głupota ludzka złości mnie, cóż robić, znosić jej nie mogę. Wie pani, milion znajomych panien nie mówi już do mnie za przeróżne gorzkie prawdy, które im w uszy kładę.

Tunia uśmiecha się. Głos jego powolny dziwnie mile wpada do ucha.

— Niech mi pan coś jeszcze opowie. Co pan tu robi?

— Co robię?.. — powtarza.

Pół żartem, pół seryo zaczyna się spowiadać:

— Jem, piję, leżę godzinami na piasku... naturalnie, zawsze u nóg jakiejś ładnej kobiety... o ile któraś z litościwych niewiast nie zaprosi mnie do kosza obok siebie.

— A wyżej wypowiedziana apostrofa o głupocie?

— To się nie stosuje do interesujących mężateczek...

Pod tym lekkim tonem wszakże Tunia odgaduje całe morze jakiegoś czegoś, co się nie da uzmysłwić, co się tylko odczuwa.

— Gdzie pani spędza wieczory? — pyta, gdy stają przed jej domem.

— Na strandzie, z dziadkiem, babką i ich towarzystwem.

— Aha, kolega Szalski z narzeczoną, pani Antoniowa z panem Rudzkiem!.. Hm...

— Za jakoś nie odpowiadam, bo to wybór babki...

— A nie można-by tak, proszę pani, zostawić ich wszystkich i pójść sobie gdzieś we dwoje.

— Zobaczą... Przyjdzie pan?

Zygmunt kłania się w sposób, mogący oznaczać „tak“ i „nie“.

— Dziwny! — określa go Tunia. — Jest w nim mieszanina szyderstwa i melancholii.

Po raz pierwszy w stosunku z mężczyzną nie zastanawia się, jakie wrażenie na nim zrobiła. Czuje tylko, że coś ją ciągnie do niego. Chodzi zamyślona przez dzień cały; jest rzeświejsza. Godzina, spędzona z Zygmuntem, rozbudziła w niej coś, co dawno już nie dźwięczało, przywalone całym stosem zdarzeń, przypadków, myśli.

— Jeszcze jedno uniesienie!.. Wiem, było już to nieraz... Uniesienia, zachwyty, porywy... a potem znów zawód, rozczarowanie, ostygnięcie z musu... Ileż już takich uczuć zszarzało w kurzu codzienności!

Wieczorem siedzą, jak zwykle, całym towarzystwem przy stoliku, na pięknym placu przed zakładem. Orkiestra wygrywa modne walce i marsze. Stach, z właściwym sobie uśmiechem, opowiada jakąś historię, ani ciekawą, ani nudną, jedną z tych historii, które każdy zna na pamięć, ale przez grzeczność słucha za każdym razem, i sam nawet, gdy zajdzie potrzeba, opowiada innym.

Tunia bezwiednie wypatruje między kręcącymi się w takt muzyki mężczyznami pewnego słomkowego kapelusza i szarego ubrania. I łapiąc się na gorącym uczynku, zapytuje nagle:

— Cóż to? Miłość?.. W dwudziestym trzecim roku życia?.. Nie, nie!.. To więcej, niż głupie, bo — śmieszne. Z miłością skończyłam już raz na zawsze.

A przecież, gdy spostrzeża go naprawdę, cała krew szalonym jakimś pędem uderza jej do skroni, do oczu, do gardła. Drętwieje na chwilę.

— Przyszedłem... umyślnie dla pani! — przemawia półgłosem Zygmunt.

— Dziękuję panu!

Schodzą na piasek, nisko, nad sam brzeg morza. Tunia siada w koszu, towarzysz unieszcza się na ławeczce, u nóg jej.

Światło z latarni zakładowych pada jasnymi smugami na kilka bliższych fal. Dalej całe morze jest jednym ciemnym, tajemniczym całunem, na którym płyną tu i owdzie błędne pasma piany.

I zwolna, przy wtórze morza, zaczynają mówić. Nie jest to flirt, nie jest to banalna rozmowa dwojga ludzi wykształconych... I jedno, i drugie, odczuwa w sobie to, czego szukało tak długo... Mówią, nie wysławiając się całkowicie, nie kończąc zdań, kącikami ust, domyslnikami.

Tunia odrzuca głowę i cicho, cicho skarży się. Tyle lat... tyle lat!. Chwytała się nauki i sztuki, czynu i sławy, przyjaźni i miłości, rzucała się w wir życia, uciekała na łono natury, przechodziła okresy fanatycznej wiary i szalonych zwątpień... od rewolucyjnych uniesień przeskoczyła do najbezwzględniejszego despotyzmu silnej jednostki... od żądz używania do abnegacyi. I dotąd jest tylko łodzią bez steru, rzuconą na odmętą niewiadomego...

— Nic, nic... rozumiesz pan?. Nic, prócz tęsknoty!..

— Ile pani ma lat?

— Dwadzieścia dwa skończyłam.

— I jeszcze nie doszłaś pani do zharmonizowania? To źle... widzi panu, — mówi zwolna, patrząc przed siebie, — i ja to niegdyś przechodziłem. Najpierw były walki zewnętrzne, z rodzicami, którzy chcieli ze mnie zrobić rolnika, a ja wstąpiłem na medycynę.. Potem przyszły walki wewnętrzne. Wielem się szarpał, targał, rzucał na wszystkie strony, zanim się ustaliłem. Przeszedłem okres burz... z chaosu dróg wyłowilem swoją, i idę po niej.

— Swoją drogę!.. Ale gdzie jej szukać?.. Rzeczywistość nigdy nie odpowiada marzeniom. Idealna młodość rozpala jakieś gwiazdy własnych urojeń, doświadczenie je gasi. Jeśli coś budujemy i umacniamy, nie wiem jak, przed uderzeniem losu, zawsze zajdzie on z tej strony, której nie przewidzieliśmy. Jeśli jest wątpliwem zakończenie jakiejś sprawy, zawsze z dwóch możliwości sprawdza się — gorsza. I tak zawsze, tak zawsze... I po co dążyć? po co rwać się? po co żyć?..

Milknie, zmęczona uniesieniem. Zygmunt odpowiada:

— Nie trzeba sięgać po wszystko odrazu. Pamiętasz pani bajkę o dziecku i dzbanuszkę z orzechami? Trzeba dochodzić celn drogą wyłączań, wyłączań niemożliwości.

Tunia milczy.

— Masz pani talent, pomyśl tylko: talent!.. Człowiek z talentem to pomazaniec Boży. Masz pani przed sobą taką piękną drogę... i jeszcze narzekasz...

Po granatowej otchłani nieba przelatują drżące, ruchome światła, gwiazdy spadające... migną i ulatują w pomrokę, gdzie szepty morza gubią się w wiecznie milczącej nocy.

Iskry, rozprysnięte w obłądnej pogoni za mirażami...

— I cóż z tego? I cóż z tego? — próbuje opierać się Tunia. — Co z mego talentu? Czy świat nim zbawię?

— Któż może odgadnąć, co powstanie kiedyś z jego myśli i czynów? Czy naprzykład chemik, wynajdując nową truciznę, ma prawo twierdzić, że wynalazek jego zgubnym jest dla ludzkości, i na zasadzie tego niszczyć wyniki długoletniej pracy? Nigdy! Umiejętnie stosowana trucizna stać się może antydotem i środkiem leczniczym. Biorę pierwszy lepszy przykład z brzegu, ale takich jest tysiące. Idź pani swoją drogą, i o resztę nie dbaj... Czas sam przyniesie rozwiązanie...

I znów cisza. Kędyś, daleko, migocze purpurowe światełko latarni morskiej.

— Albo Maryan... marzy o napisaniu powieści setnej, wszechstronnej, wyczerpującej. Czy napisze taką? Bajki! Życie jest nieskończenie różnorodne, i co krok wymyka się z pod ręki. Aby je oddać w całości, potrzeba-by słowa, które było-by zarazem dźwiękiem, barwą i wonią.

Podnosi obie ręce.

— Ah, życie, życie! Najpiękniejszy, najdoskonalszy wyraz myśli Bożej! Wierzaj mi, panno Tuniu, niema nic, coby się z niem równać mogło! I pani tego nie widzisz, pani, artystka!.. Tylko, czy pani kochasz sztukę?

— Kocham...

— Nie, pani jej nie kochasz!.. O, Wanda kocha fach swój! I ja go kocham. Kocham ideę uzdrawiania ludzi, i kocham naukę, która podpatruje tajniki życiowe!.. Oh, panno Tuniu, jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówisz, jeśli kochasz sztukę, to oddaj się! Nie rozpraszaj się, nie goń błędnych ogni, patrz w nią jedną, jak w słońce, i idź!..

Tunia nie mówi już nic. Od powolnych słów Zygmunta bije moc jakaś... I nie wie już, czy to słowa jego, czy ten plusk morza, taki wieczny, taki nieskończony... czy własne zbudzone lzy „czyste, rzęsiście“..

Opada z niej wszystko złe i wszystko małe, i wszystko, co przyległo do niej, i wszystko, co plamiło duszę.

— Rzucałam się, rozpraszałam, trwonilałam iskrę Bożą, wyyskiwałam ludzi, brałam miłość, odpłacałam szyderstwem, upajałam się ich męką, doszłam do negacyi, do nienawiści...

Morze szumi...

— Goniąc uciekające miraże, doszłam do wynaturzeń, do karykaturalnych teorii, do szczytów przewrotnych, skąd zieje zniszczenie i zagłada. Skrzywiłam, spaczyłam to, co miałam jasnego w duszy.

Przyciska oburącz głowę.

— Jak mi żal!.. Jak mi żal!.. Jak mi żal za wszystko!..

— Płacz, dziecko, płacz!.. To cię uspokoi, oczyści, rozgrzeszy...  
A morze szumi.

— Tyle przecierpiałam, tyle przecierpiałam... tyle grzechu, ah, ale tyle pokuty!.. Takie męczarnie!.. Nie masz we mnie jednej struny niezranionej..

Zygmunt kładzie lekko ręce na pochyloną jej głowę.

— Płacz, dziecko... Tu, w obliczu bezdni niezmierzonej... Ona zmyje z ciebie grzech i ból... i odrodzi...

Dzień następny jest pełen drgań słonecznych, upojeń i pieśni tłumionych.

Wstaje silna, spokojna. Tak dobrze, jasno! Coś gra w duszy... Dawno, dawno nie patrzyła już tak pogodnie... chyba wtedy, w najpierwszym dzieciństwie, gdy z niezachwianą wiarą szukała swojej gwiazdy na niebie.

Chciała-by tańczyć, śpiewać. Ludzie dziś tacy jacyś inni, tacy dobrzy, tacy mili... i życie inne...

Chodzi z głową w ogniu. Próbuje pisać wiersze:

Dzisiaj znowu mi nowe słońce zaświeciło,  
A za niem wszystkie dawne wróciły miraże,  
I w duszy powiew wiosny rozdmuchały siłą,  
I znowu, jak lat dawnych, pragnę, tęsknię, marzę,  
Upajam się złudzeniem, cieszę się nadzieją,  
I znowu mi się jasno, po dawnemu, śmieję  
Pogubione dziecinne rojenia. .

Rzuca pióro.

— Eh, nic nie warte! To nie to!.. To trzeba-by wyłkać pół śmiechem, pół płaczem, tym serdecznym, jasnym, z głębi piersi idącym płaczem.

Idzie na brzeg, wita znajomych, śmieje się, rozmawia. Nie poznają jej z tem ozywieniem, z tym blaskiem w oczach. A przez wszystkie



te słowa, żarty, spojrzenia, prześwituje jedna ukryta, a przekornie wychylająca się myśl:

— On...

— Co się pani stało, panno Tuniu? Musiała pani otrzymać jakąś bardzo przyjemną wiadomość!—woła Ola Nitecka. — Jest pani dzisiaj taka...

— Jaka?

— Urocza! — określa Antoni.

Tunia kłania się ze śmiechem. Potem, gdy zostaje sama, przykrywa oczy rękoma i zów wspomina cały dzień wczorajszy, całą rozmowę...

Rozszerzają się przed nią dalekie, dalekie horyzonty. Czuje się, razem ze swem zrywaniem i szarpaniem, takim dzieckiem przy nim, przy nim tak rozumnym i zrównoważonym. W nim jest taki spokój!.. A spokój ten to nie filisterska obojętność na wszystko, ale skryształizowanie, uwarstwienie się burz i zamieci życiowych. Nie hołduje on niezdrowym teoryom uskrzydłonego samolubstwa. Dążenia swe zamyka w kole pracy społecznej, ale pojętej szeroko, zakreślonej olbrzymim filozoficznym promieniem, w którym mieści się najwyższa indywidualizacja wysubtelnionej duszy.

— Głębokiś, cichy, jak morze... — szepczą jej usta wilgotne. — O, mów mi jeszcze, mów!

Gdyby go spotkała dwa, trzy lata temu... On-by ją poprowadził, uchronił od roztrwonienia, od przemarnowania najlepszych lat na niczem...

Ah, ale i dzisiaj... Powiedział, że powinna być szczęśliwą, i jest szczęśliwą! Gdyby kazał jej skoczyć w morze, skoczyła-by. Z bezgraniczną wiarą zamyka oczy i pójdzie tam, gdzie on jej każe pójść, i będzie robić to, co on jej każe robić, bo on jest dobrem, on jest prawdą, on jest światłem...

On.. on.. on!..

Wieczorem siedzą, jak zwykle, wszyscy na placu przed orkiestrą. Noc jest upalna, obrzmiała wonią róż... Namiętne minorowe tony południowego walca kołyszą się nad tłumem. Z nad stolików, zastawionych po niemiecku piwem, biegną wybuchy śmiechu. Szepty krążą dookoła. W powietrzu unosi się mgła odurzenia, czar, podniecenie...

Tunia siedzi między Antonim i Stachem. Oczy i usta jej palają... Ani jeden mężczyzna nie minie jej bez długiego spojrzenia. Czuje to..., czuje, że z twarzy i źrenic jej wylatują płomienie. Wszystkie nieużyte dotąd siły wybuchają naraz jedną niepokromioną, rozszalałą żądzą: żyć! żyć! żyć!..

— Chciał-bym teraz być malarzem!—szepcze Stach, ulegając nieprzepartemu pociągowi, który go przysuwa do niej.

— Panno Tuniu, co się z paną dzieje!.. Powaryujemy dla pani!— mówi z drugiej strony Antoni.

— Służu pani powietrze morskie! — decyduje z wieloznacznym spojrzeniem Rudzki.

Tunia patrzy ukradkiem na zegarek. Trzy na dziewiątą... jeszcze kwadrans...

— Chodźmy, papo, do domu! — odzywa się Ola Nitecka.

Wstaje zachmurzona i bierze ojca pod rękę. Stach podnosi się także. Ciągnie go coś, trzyma przy Tuni, ale się boi... narzeczona grymasi... to też przez cały wieczór zapomniał jakoś nią się zajmować...

— Moje uszanowanie państwu! — powiada, robiąc w duchu obliczenie, że do mieszkania Niteckich niedaleko, i odprowadziwszy Ołę, zdąży jeszcze powrócić do Tuni.

Tunia przechyla głowę z błyskawicami upojenia w oczach. Kipi w niej nadmiar, ferment życia. Słowa lecą takie skrzydlate, takie zachwałę. Dziś dokonała-by czegoś wielkiego, na co nikt się nie odważył, czego świat nie widział. Piękno, sztuka, otwierają przed nią przepaście sezamowe, przemawiają umówionym wyrazem, którego dotąd nie rozumiała. Podchwytuje klucz życia...

Szczęście... cudowna, błękitna mara! Sprężyna, poruszająca miliardy ludzi, cel wszystkich istnień... pragnienie, we krwi złożone, które trwać będzie tak długo, jak długo świat istnieć będzie.

Ekstaza!.. Czy i teraz jeszcze będzie jej dane wrócić do szarej apatyi, do czarnych zwątpień... teraz, po takim uniesieniu! Czy i teraz nadejdzie jeszcze dzień taki, kiedy powie sobie, jak już nieraz w życiu mówiła: „*To nie to... to jeszcze nie to...*“.

Nie, nie! niech „to“ już będzie ostatniem—pierwszem i ostatniem! Koniec mirażów! On jest prawdą, szczęściem, przystanią. Ręce jej wyprężają się, jak skrzydła do lotu. Chciała-by być ptakiem... lecieć, łąkać, wirować w osłonecznionej przestrzeni, wybuchać... szaleć...

Z pomiędzy tłumu wysuwa się słomkowy kapelusz. Tunia urywa wpół słowa żartobliwą rozmowę z Rudzkim, podbiega, wyciąga rękę:

— Nareszcie...

Prędkiej, prędzej, odejść od tej ciżby, od tych rozmów, od przymusu. Te spojrzenia męskie, ukośne a pożądliwe, które ze wszystkich stron padają na nią, walają, otaczają przyciężką jakąś skorupą nieczystości... Zbyć się tego wszystkiego—w obliczu morza, przy „nim“...

Zygmunt, ze swoim mimozowatym spojrzeniem, nie ma dziś ochoty do poważnej, ciężkiej rozmowy, jak wczorajsza. I ona jużby nie

potrafiła dzisiaj biadać nad marnościami świata. Każde tętno bije w niej młodością, życiem, rozkoszą...

Wchodzą na pomost pusty już zupełnie, siadają we dwoje na ławeczce. Księżyc tka posnowę wód snopami złotych iskier. Przyczoła parku, obrzeżone miesięczną poświatą, drżą w niepewnych seledynowych rozchwiejach. Blżej, gmach zakładu bieleje, niby z marmuru wykuty. A morze u stóp jego zdaje się być sennemi lagunami, po których w noc, podobne dzisiejszej, krążą zakłète gondole, uwożąc duchy kochanków.

Tunia przechyła się swobodnie i rzuca w Zygmunta jedną z dwóch białych róż, które trzyma w ręku. Zygmunt chce ręce przytrzymać, ale ona wysuwa się zręcznym ruchem kotki i wybucha serdecznym, drażniącym śmiechem:

— Ha, ha, ha, — naśladuje młody człowiek.

— Czego mnie pan przedrzeźnia?

— Przedrzeźniam to tylko, co mi się podoba.

Tunia, niby zadąsana, odwraca się, opiera nóżkę na baryerze. On, przechylony ku niej, prawi:

— Hm, jak widzę, pani studyowała nietylko muzykę i Nietzsche-go, ale i teorię ładnych póz.

Tunia wzrusza ramionami ze śmiechem:

— To wrodzone.

— To wrodzone... dzieciaku!.. — przedrzeźnia Zygmunt. — Ah, jak ja panią lubię za to, że przy całej swej intelligencji nie tracisz kobiecości, tego dziecinnego prawie wdzięku.

— I ja pana lubię. Tak mi dobrze, tak spokojnie przy panu.

— I jak to być może, żeśmy się do tej pory nie zbliżyli?

— To nie moja wina.

— To nie pani wina, — potwierdza. — Widzi pani, człowiek jest tylko człowiekiem. Raz ciągnie go czyste powietrze pól, a drugi raz lubuje się w wyziewach, choćby piwnicznych. Otóż, ilekroć chcę oddychać świeżem powietrzem, idę do pani. Ale czasem potrzeba mi unurzać się w atmosferze buduarowej. Ja, proszę pani, jestem cynik, jestem przytem wrażliwy niesłychanie i zmienny. Ale co tam o tem! Pan-no Tuniu, Tunieczko, słodka Tunieczko...

— Proszę mnie traktować z należąną powagą i szacunkiem.

— Sza-cun-kiem... dzieciaku! Jak ja-bym panią bił, ah, z jaką przyjemnością bił-bym panią!..

— No, no, niech-no pan spróbuj!

Wybuchają śmiechem, poczem Tunia robi uwagę, że oczy mu się błyszczą, jak u wilka.

— To na to, żeby panią pożreć oczyma... A ma pani właśnie taką czerwoną czapczkę na główce, jak „le chaperon rouge“...

— Tuniu, Tuniu!—odzywa się od brzegu wołanie babki. — Idziemy do domu!

— Zostań pani...—jeszcze chwileczkę... — prosi Zygmunt, przytrzymując ją za rękę.

— Nie, nie, trzeba iść.

— Popatrz pani... tam, daleko, na morzu...

Tam daleko, na morzu, pod księżycem, utworzyło się małe jezioro świetlne i lśni, jak zakłete.

— Kraj cudów i marzeń!

— I szczęścia.

— Tuniu! Tuniu!

— Idę, babciu!

Nieprzutomna prawie, odbiega, łączy się z towarzystwem, jak we śnie idzie do domu, nie słysząc słów Stacha, który jej towarzyszy, nie słysząc śmiechu Antoniowej, która postępuje za nimi, między Rudzkiem i Zygmuntem.

Wchodzi do swego pokoju. Oh, gdyby teraz fortepian!.. Pali ją potrzeba zegrania z duszy całego natłoku wrażeń. Otwiera balkon, siada. Gwiazdy przelatują... morze szumi za parkiem... róże pachną... cicho... cicho...

On jest jak morska głębia... bez dna. Co za różnica z Witoldem... Tamten, to szal, to burza, to zawierucha, wszystko po drodze niszcząca. W tym — takie zharmonizowanie, dojrzałość, taki spokój...

Iść z nim ręką w rękę przez życie... przez całe życie... I nie mieć żadnych wątpliwości... Tak, jak Edward i Wanda... patrzeć pogodnie w przyszłość i w siebie. Miłość i zaufanie zobopólne...

— Kocham... — szepcze, pochylając bardzo nisko głowę. — Kocham... jego pierwszego...

Pierwszego i ostatniego... Oblewa ją gwałtowny rumieniec... Przypomina sobie wszystkie sukcesy, wszystkie tanie uniesienia na tle erotycznym... Ah, jak jej wstyd tych potajemnych uścisków dłoni, pocałunków, półsłówek, tej pożądliwości, którą wzbudzała umyślnie kokieteryą... Ogarnia ją wstręt do tej masy wspomnień, do całego bagażu uczuć otrzymanych, roztrwonionych, wyszarzanych. Czemuż nie jest już taką, za jaką on ją uważa: czystą... Czemu nie może odzyskać swoich lat szesnastu, i oddając nietkniętą, promienną miłość, powiedzieć mu: ja twoja... ja cała twoja...

— Już nigdy... już nigdy w życiu...

Dusza Tuni strząsa całą doczesność. Klęka przed jakimś wielkiem Dobrem, co się do niej zniża łaskawie, i składa mu cichą przysięgę.

Na obszernej werendzie kawiarni siedzi całe towarzystwo. Tunia ma na głowie swoją czerwoną, kostiumową czapeczkę. Ilekroć ją włoży, chłopcy kręcą się, jak muchy koło cukru... Przed nią stoi długa i wązka szklanka kawy mrożonej, ale jej nie pije i z roztargnieniem słucha toczącej się rozmowy.

Jeszcze go niema... Jak jednak ta bratnia dusza traktuje ją strasznie lekko! Po tej rozmowie wieczornej zdawało jej się, że ma prawo... że może wymagać... W systematycznie ułożonym planie dnia jest dla niego epizodem wieczornym. Rano chodzi do kąpieli, następnie na lekcye, następnie towarzyszy młodemu mężatkom, wieczorem dopiero zjawia się przy niej. A ona żyje, myśli, oddycha nim, nim tylko.

Zygmunt zjawia się wreszcie, ale nie ma już na twarzy tego rozmarzenia, które opromieniało ją przez ostatnich dni parę. Oczy patrzą zimno, po ustach błądzi zwykły uśmiech sarkastyczny.

Tunia wita go chłodno, on jakby nie widzi tego. Siada na wolnem krześle przy niej i zaczyna rozmawiać z Antoniową, którą ma po lewej stronie. Tuni się zdaje, że robi to jej na złość. Postanawia zrobić także na złość, zwraca się do Stacha, i zaczyna go kokietować. Ola Nitecka, rozdąsana, znowu opuszcza wcześniej zgromadzenie. Stach podnosi się, ale, niby powstrzymywany czemś silniejszym nad wolę, zostaje przy Tunii.

Zygmunt tymczasem, robiąc sobie, jak zwykle, bardzo mało skrupułów ze wszystkimi, odsuwają się w głąb i pogrąża w dwuznaczniakach zamężnej piękności.

— Jak się pan bawi?—zapytuje wreszcie półgłosem Tunia, uznawszy, że już dość „komedyi“.

— Ja?

— Z panią Antoniową.

— Boska kobieta!

— Wcale nieładna!

— E, co się pani zna na tem! Trzeba być mężczyzną, aby ją ocenić.

— Prędzej rzeźnikiem!..

Tunia, trochę dotknięta, odwraca się do Stacha i całkowicie tonie we flircie. Głośne wybuchy ich śmiechu napełniają werendę, Wszyscy goście zwracają uwagę. Tunia śmieje się coraz szalener. Nawet Zygmunt ogląda się i przerywa rozmowę:

— Gdzie to się podział pani weltszmerc, panno Tuniu? — pyta z odrobiną wyrzutu.

— Utopiony w morzu razem z innymi niepotrzebnymi ideałami! — odpowiada Tunia i spogląda wprost w oczy odurzonemu, podnieconemu Stachowi. Śmieje się nieszczerym, wyzywającym śmiechem. Jak kokietować, to kokietować!

Dobrze już po północy opuszczają kawiarnię. Zygmunt zatrzymuje się na chwilę przed Tunią.

— Dziś dostała pani u mnie minus!

Cała wesołość odpada nagle Tunię. I po co ta komedia, to udawanie, kiedy jedna chwila rozmowy z „nim“ droższą jej jest, niż flirt z całym światem.

— Minus, ale jest to minusik tak bledziutki, że wobec wszystkich innych plusów nie może mieć żadnego znaczenia. A teraz nie powiem już pani nic więcej przykrego, bo idę do domu.

Rozgniewał się.

Tunia nie może doczekać się następnego dnia, aby zobaczyć go, wyjaśnić, przeciąć to nieporozumienie, co się zaczyna wkładać.

Ani następnego wszakże, ani dalszych dni Zygmunt nie podchodzi. Kłania się zdaleka i znika w parku, lub na piasku, między setkami koszów, które gościnnie chronią unikające ludzi pary.

Boże mój, Boże, co to będzie? Czy on naprawdę się gniewa? Czy on na seryo wziął jej za złe ten niewinny flirt ze Stachem, i nie przebaczy? I tak zostanie w nieporozumieniu? A ona bez niego żyć nie może.

Nie, nie, on ją zrozumie przecież, on, który sam przez cały wieczór rozmawiał z Antoniową, pojmie, że ją to dotknęło, że musiało zaboleć.

Ale gdy wieczorem spotyka go w kawiarni, gorliwie nadskakującego jakiejś strojnej damie, porywają ją chęć zemsty. Kokietuje jeszcze zawzięciej, już nietylko Stacha, ale i Rudzkiego, i jakiegoś kuzyna Niteckich, który się przyplątał w ostatnich czasach.

A przyszedłszy do domu, przypomina sobie jego spojrzenie — jedno, krótkie, jakby nie uważał jej za godną dalszej uwagi — i płacze.

Nie, tak być nie może. On powinien przecież, musi cię pojąć.

Nazajutrz, na promenadzie, podchodzi do niej:

— Cóż to, pani sama, bez asystentów? A gdzie to pan Szalski?

— Ażali jestem stróżem pana Szalskiego? — próbuje uderzyć w ton żartu Tunia.

— To dziwne. Wie pani, nazywają cię tutaj panną, mającą szalone powodzenie! Znana jesteś nawet, jako amatorka cudzych narzeczonych.

— Minusy mnożą się u pana! — żartuje Tunia z wysiłkiem.

Łzy zaczynają ją dławić.

— Nie, konto pani zamknięte u mnie, — zawiadamia Zygmunt.

Kłania się wyszukanie i odchodzi zimny, obojętny, ten sam Zygmunt Borski, co wprzód, nim się zeszedł.

A ona pada na ławkę i płacze.

Płacze długo, bardzo długo. Nie nad tem, że ją skrzywdzono tak okrutnie, tak niesprawiedliwie. Nie nad tem, że ją arbitralnie osądzono, odsądzono od słuszności i pozbawiono prawa obrony nawet. Tylko ogarnia ją żal niewysłowiony nad samą sobą, nad życiem swem chybionem.

Potem wstaje, ociera oczy i obnosi wśród znajomych twarz sztucznie wesołą.

— Dlaczego łzy nie wzbudzają odczucia? Dlaczego?

Rozbierając się w kabinie, widzi przez okno ową panią, której najczęściej towarzyszy Zygmunt. Pozbawiona akcesoryów, toalety, nie jest ani ładna, ani świeża. Piskliwym głosem opowiada jakiejś znajomej o wycieczce, którą zrobiła wczoraj, i o sukni, którą zamówiła w sklepie. Pospolita, kramarska dusza. Ale tej Zygmunt nie śpiewa o minusach.

— Dlaczego duszy nie mogę oderwać od niego? — myśli Tunia. — Po co to życie pełne męczarni? Lepiej od razu w morze...

Tam, przy słupie, kończy się lina. Woda dochodzi do szyi. Wyjść parę kroków poza słup... bałwan nadleci, porwie ją, będzie koniec — na zawsze...

I ogarnia ją taka szalona pokusa, że, lękając się samej siebie, ucieka na brzeg.

— Nie, nie, dziadek, babka... a on?.. Miał-byż to już być koniec? Nie, wyjaśnienie, zakończenie przyjdzie jeszcze, musi przyjść.

Przychodzi.

Pewnego dnia, siedząc na ganku przed czytelnią, dostrzega Zygmunta. Składa jej ukłon, i Tunia myśli, że jeszcze raz przejdzie, nie zatrzymując się. Ale musi jednak coś go ciągnąć troszeczkę, bo podchodzi.

— Cóż to, pani znów sama?

— Ah, dosyć już tych dowcipów!

— To nie dowcip. Nie widziała pani tu gdzie pani Antoniowej?

— Nie.

— Szkoda.

Tunia czuje, że nic nie powie. Ten początek wprowadził rozmowę na fałszywe tory. Zygmunt na raz żywo odwraca głowę:

— Patrz-no pani, co za wspaniała niewiasta! To Polka! Nie zna jej pani przypadkiem?

— Nie.

— Szkoda! Była-by mnie pani przedstawiła!

Dama w jedwabiach wchodzi do czytelni, siada na krzeselku i rozwija „Kuryer Warszawski“. Tunia widzi, że Zygmunt nie spuszcza z niej oka.

— Gorąco dziś strasznie! — odzywa się drżącym głosem dziewczyna. — Nie lubię takich parnych, a bezsłonecznych dni. Denerwują mnie...

— Mnie denerwują tylko kobiety.

Dama podnosi głowę od gazety i rzuca spojrzenie na niego. On wytrzymuje je ciekawie i wyczekująco. Tunia spuszcza oczy.

Zygmunt naraz ożywia się niezmiernie, i zaczyna mówić bardzo mądrze i bardzo dowcipnie. Tunia czuje, że to wszystko jest nie dla niej. Nie uchodzi również uwagi jej milcząca konwersacja ich oczu. Roli biernej pośredniczki nie odgrywała dotąd.

— Pójdę już! — mówi wstając. — Babka mnie będzie szukała.

— Niech pani zostanie! — prosi Zygmunt, któremu z nią bardzo dogodnie. — Moja droga panno Tuniu.

Tunia stoi i waha się. Ten głos wywiera jeszcze na niej urok nieprzeparty. A duma krzyczy: idź! idź! idź-że już!

Oh, gdyby on odczuł jej mękę!.. Gdyby na chwilę odczuł, czem jest dla niej!.. Ale on coraz zawzięciej rozmawia oczyma z nieznajomą. Zwraca się wreszcie do Tunii, i znów zaczyna o jej powadzeniu, o wesołości, o uczuciach cudzych narzeczonych.

— Niech pan patrzy! — chwytła Tunia za pierwszy lepszy temat, aby przerwać tę rozmowę. — Niech pan patrzy, jaka ładna panienska!

Zygmunt ani się rusza.

— Ja z zasady na panny nie patrzę. Raz sprzeniewierzyłem się zasadzie, spojrzałem na panią — i wpadłem.

— Ooo, naprawdę!

— Naprawdę! Pani lubiła udawać osobę, bujającą pod obłokami, a tymczasem... — mówi z wolna Zygmunt, między jednym a drugim spojrzeniem w stronę nieznajomej. — A tymczasem pani jest sobie taka panienska, co wlecze skrzydełka po ziemi.



Tunia uśmiecha się.

— Pójdę już...

Podaje mu rękę, odchodzi do parku, zagłębia się w ustronną aleję, i padając na ławkę, wybucha długim, nientulonem łkaniem.

Nic... nic... nic...

I znowu płacze. Niewiadomo, skąd się tyle łez bierze. Same podstepują pod gardło, cisną się do oczu i spływają nieskończonymi potokami.

— I czego się mażę, jak dzieciak? — usiłuje szydzić.

I w odpowiedzi ściska ją żal okropny, i nowe łzy lecą jedne za drugimi.

Dlaczego on taki okrutny? Dlaczego on taki niesprawiedliwy? Dlaczego tak mało ceni jej uczucia? Ona najdrobniejszego robaka nie zdeptała-by. Czy mężczyzna ma w sobie jakiś zupełnie odrębny proces myślenia i uczucia? Nie kocha, nie myśli, nie dba... „Idź sobie pani drogą ideałów, albo nie idź, to mi nic nie przeszkadza... Ja ci towarzyszyć nie będę“.

„Sama! Sama!“

Ten okrzyk okrutny wyłania się z przeszłości, i godzi w jej duszę przeraźliwym błyskiem tysiąca obosiecznych mieczów.

— Tak, Jadwiniu... — szepcze, przyciskając chustkę do oczu. — Tak, Jadwiniu... same, same jesteśmy.

Sama!.. Tylu ma przyjaciół na szerokim świecie, a nikt jej nie wesprze, nikt nie pomoże... Strzela jej myśl nagła: pójść do Wandy.. on ją tak kocha i ceni... Ah, i cóż Wanda poradzi? Wstawi się za nią? Nie! Tunia nie chce zebranej miłości. I zresztą, czy to co pomoże? Czy miłość można wyzbrać? Albo przychodzi sama, albo wcale jej niema...

Owłada ją chęć rzewna a ponętna... nie wyjechać już stąd, zostać na zawsze... znaleźć mogiłę taką zimną, taką cichą... tam, w morzu!.. Życie... sztuka!.. Frazesy, miraże!.. Po co? Na co? Fale ją będą kołysały... groźne bałwany zahuczą, przewalając się nad jej stęzałami oczyma...

Zmierch zastaje ją jeszcze na tej samej ławce. Wstaje wreszcie z ciężką głową, z zapuchniętymi powiekami. Idzie, sama nie wiedząc dokąd. Naraz spostrzega dążącego na spotkanie jej mężczyznę. Wyrzeczca oczy. Czyż-by to?.. Niepodobna!.. Ona nie chce, nie, nie... Tak, niestety!..

Wolski podchodzi do niej z kapeluszem w ręku.

— A pan co tu robi?

— Ja panią i pod ziemią znajdę! — mówi gorącym, stłumionym przez wzruszenie głosem.

Bierze obiedwie jej dłonie i całuje... Tunia odwraca się... Ten, ten najobojętniejszy z obojętnych!.. I akurat dzisiaj, gdy wszystkie jej nerwy targają się, gdy na chwilę nie może powstrzymać żałośnego płaczu.

— Co słyhać z panią? — pyta Wolski, szukając oczyma jej oczu.

— Wszystko dobrze.

— Jak się pani bawi?

— Dobrze.

Po głowie kręcą jej się uporczywie dwa zestawienia: ten i tamten... ten, zakochany... tamten, taki nieprzejednany. Rzeczywistość i miraże... rzeczywistość i miraże...

I to, co w niej jeszcze zostało młodości i życia, wybucha namiętą skargą.

— Pójdziemy na strand. Pani Gwoździcka kazała mi odszukać panią, jest bardzo niespokojna.

— Dobrze.

Słucha tylko Wolskiego, a twarz odwraca ciągle w drugą stronę, aby nie zobaczył tych przekornych łez. Naraz mija ich zagruchana para. Zygmunt poznał się już widocznie z interesującą go panią, bo idzie pochylony ku niej, odprowadza aż do drzwi mieszkania, i na pożegnanie składa trzy pocałunki na jej ręce, jeden po drugim.

— Ah! -- wrywa się cichy okrzyk Tuni. Palce jej zaciskają się kuczowo. Idzie dalej, Wolski doprowadza ją do towarzystwa. Wszyscy witają ich okrzykami: nareszcie!

— Gdzieś była tak długo? Umierałam z niepokoju! — czyni wymówki Gwoździcka.

— Marzyła pani, a myśmy tu doczekać się nie mogli! — woła Antoniowa.

— Kuzyn chciał już policyi wezwać! — dodaje Ola Nitecka.

Kuzyn nic nie mówi, ale podaje krzesło, i widać, że mu z duszy spadł ciężar.

Tunia siada w milczeniu. Wszystko, jak było. Rudzki przy Antoniowej... Antoni rozprawia z dziadkiem o najlepszym gatunku cygar... Stach, przyszedłszy ostatecznie do przekonania, że nie może narażać przyszłości dla „głupiego uniesienia“, zajmuje prawem przepisane miejsce przy narzeczonej. Brakowało im jej... Troszczą się o nią, mimo wszystkiego lubią ją wszyscy... wszyscy ją lubią... Tylko on... Ah, te nieznośne łyzy dzisiaj!

— Jesteśmy więc znowu w swoim kole! — powiada Gwoździcka, którą niespodziewany przyjazd Wolskiego uradował nad wyraz. Przenosi wzrok z niego na wnuczkę i odwrotnie. — Jesteśmy w swoim ko-

le! Dobrze, że tego Borskiego niema. Nie lubię go... pyszałek, arrogant wiecznie ironiczny.

Tunia i na to zgadza się w milczeniu. W duszy jej wre teraz gwałtowna reakcja.

Więc to tak!.. On ma dwie etyki: jedną surową., dla niej, drugą, bardzo szeroką, dla siebie. „Pani wlecze skrzydełka po ziemi“. A sam tonie w znajomościach, co do których niema co się ludzić!.. Nazwał je przecież „piwniczną atmosferą“.

„Pani wlecze skrzydełka po ziemi“... Podnosi głowę. Duma dawnej Tuni rozbudza się na koniec, w całej pełni, szalona, nieugięta... Kiedy poznał cię, a poznawszy, nie umiał ocenić—to nie wart ciebie. Precz ze słabością! Wyrwać — i zapomnieć!

Przysuwa się i zaczyna słuchać. Jest teraz już zupełnie inna.. zupełnie inna! Tych kilka chwil nauczyło ją jakiejś gorzkiej, ale niezmiernie skutecznej prawdy... O czym się mówi? O powrocie do domu? Ależ ona gotowa powrócić każdej chwili, kiedy tylko babcia zechce!

— Czy tak? Ależ to wyjeżdżamy, wyjeżdżamy jak najprędzej!— woła zachwycona babka.— I pan Wolski z nami, nie prawda?

Pau Wolski kłania się i patrzy na Tunię. Tunia ani przystaje, ani się sprzeciwia.

Wyjeżdża taka sama, nieporuszona. Ubiera twarz w zdawkowy uśmiech dla wszystkich, co ją odprowadzają, ale duchowa jej fizyognomia musi mieć zaciśnięte usta... koniecznie zaciśnięte usta... aby nie przeszło przez nie nic...

Pociąg przejeżdża przez uprawne pola, pastwiska... mija sławne lasy nadbałtyckie, wsie, miasteczka. Zaczyna szarzeć. Wieczór chłodnawy, rosny, rozmarzający... Coraz dalej już morze... coraz dalej... o tej porze muzyka gra przed zakładem... Aleksander gdzieś w koszu...

Zamyka oczy. To był sen... dwa wieczory... tylko dwa wieczory... a potem... przeszło, przeszło jak sen... morze, upojenia, marzenia... Dość! Zapomnieć! Uciec raz na zawsze od tych utrudnych mirażów, wrócić do rzeczywistości.

Zapada noc. Jadą wciąż, mijają różne stacje, przesiadają z pociągu na pociąg. Piła... Bydgoszcz... Toruń... Aleksandrów—granica... Gdy kuryer kolei Bydgoskiej unosi ją po „swojej“, po własnej ziemi, Tunia oddycha głęboko.

— Koniec mirażów!..

Świta... Włocławek, Kutno, Skierniewice... Zdaleka, w deszczowej mgle poranku, błyszczą czerwone dachy, sterczą wysokie wieże kościołów. Tyle miast, a w nich tylu ludzi... Czy każdy z nich także czuł, cierpiał? Eh, co tam, miraż! Aby dalej, aby prędzej! Dokąd? Do Warszawy. A potem? Do domu. A potem? A potem!..

W Warszawie zostają parę godzin tylko, od pociągu do pociągu. Tunia nie może oprzeć się bolesnej chęci. Idzie. Przed bramą domu, w którym mieszkała, stoi stróż; poznaje ją, kłania się nisko.

— Panienska do nas wrócił! Pewnie do pani Łuczkovskiej? A pani Łuczkovska przeprowadziła się od Ś go Jana!

— Tak? Dlaczego?

— Bo panna Adela wyjechała za granicę, to wzięła mniejsze mieszkanie na Hożej..

Tunia idzie dalej. Ścisła ją miłe, a zarazem bolesne uczucie. Wszystko to jej, wszystko znajome, każda kamienica, każdy sklepik, każda fliza w trotuarze. Tu przecież żyła „za miliony“, chodziła, myślała, kochała. A ludzie, co ją mijają, wszystko obcy, zimni, obojętni... Objęli w posiadanie Warszawę, tak, jak ona brała jeszcze przed dwoma laty—i ani troszczą się o jej obecność, albo ubytek. Jakiś ulicznik przebiega, śpiewając na cały głos:

„Saska kępa zielenieje...“

Za jej czasów inna piosnka kursowała. Nic tu nie stoi.. olbrzymia krynica wiecznie odnawiającego się życia... a ona w niej kropelka bezimienna...

Skręca na Obożną, chce iść ku Wiśle. Po drodze, niedaleko taniej kuchni, zaczepia ją połamany żebrak:

— Litościwa osobo, wesprzyj nieszczęśliwego kalekę! Bóg cię pocieszyl!

— Aha, pocieszyl, zgadłeś! — myśli Tunia z głuchą jakąś złością.

Idzie dalej, naraz przecie wraca, wciska biedakowi dziesiątkę.

A nuż pocieszyl?.. Nuż wejrzy na nią i przez modlitwy tego upośledzonego ześle łaskę, zmiłowanie...

Raptem zagrada jej drogę Piszczel.

— Czy mnie oczy mylą? Panna Tunia?

— A ja!

— Którędy? Skąd? Jakim sposobem?

— Przed godziną wróciłam z za granicy, za godzinę jadę dalej.

— Do domu, z powrotem? Na stałe?

— Tak.

— Nie wyszła pani jeszcze za mąż?

— Nie.

— To szkoda! Pora największa!—prawi Piszczel, oglądając ją na wszystkie boki. — Ze wszystkich pani przyjaciółek, jedna tylko War-

ska uchowała się w dziewictwie, a i za tę nie ręczę, czy nie ma apetytu na mnie. Ale ja mam już wybraną! Śliczna, siedemnastoletnia dziewczeczka—kwiatek... trochę przypomina panią z tych dawnych, dobrych czasów w miasteczku, kiedyś to pani jeszcze nie miała nerwów, ani adoratorów, a była taka sympatyczniutka... tak, tak...

— A tak! — próbuje zaśmiać się Tunia.

— Wie pani, że się starzejesz? Od ust do nosa wyłobily ci się dwie brózdki... i głos taki ostry... i śmiech przypomina grymas staropanieński... Wychodź pani za mąż czempredziej!.. Niema wstrętniejszych istot nad stare panny!

— Zastosuję się do rady pana! — odpowiada, podając mu rękę.

— Piszczel ma rację, — myśli, wracając do domu. Nie widzi, że aktor stoi na chodniku, i w chwili, gdy się odwróciła, posyła za nią w powietrzu cichy, namiętny, rozpaczliwy pocałunek. Nie widzi, słyszy tylko ironię jego i powtarza:

— Ma rację! Czego jeszcze szukać? Za czym gonić? Małżeństwo, to przystań taka pewna, ostateczna, spokojna... Wanda zapewniała przecież...

Oko jej pada na pokojówkę, rozmawiającą w bramie z młodym chłopcem. Pewno kochanek... zakochani... ogarnia ją naraz zazdrość, szalona zazdrość. Kochać i być kochaną... wierzyć w siebie i w przyszłość... Czy może być większe szczęście? Czy może być inne szczęście? Boże, Boże... tak mało żąda... jest to przecież prawem każdego... Cemu ona tylko jest odtrąconą? Przez całe swe, tak różnorodne, życie, tego jednego nie zaznała. Wszyscy się w niej kochali, wszyscy ją uwielbiali, a nikt nie kochał. Tyle dziewcząt prostych, pospolitych, znalazło drogę swą i cel, i miłość... A ona, psuta, ubóstwiana, królująca, idzie teraz sama ulicą, i nikt się o nią nie zatroszczy, i kona prawie z osamotnienia,

Wolski...

Ah, tak... on jeden, jedyny... Ani Kazio, ani Piszczel, ani tylu innych... jeden po drugim jej odstępuje... Starzeje się... brzydnie, aż przyjdzie chwila, kiedy jej dusza, aspiracye i to wszystko, co było jej chlubą, stanie się pośmiewiskiem nowego pokolenia, silnego i bezwzględnego, jak zawsze młodzi...

— Jeden Wolski... wierny i stały...

Na rogu jednej z ulic o mało nie wpada pod dorożkę. Przypomina jej to podobny wypadek... Teraz nie oburzyła-by jej opieka cudza. Czu-

je potrzebę ciepła, oparcia, jakiejs dłoni życzliwej, która-by jej drogę torowała. Ona już tak zmęczona..

Małżeństwo... port... spokój... wypoczynek...

Na schody hotelu wstępuje zupełnie już zdecydowana.

### III.

Z krzykiem zrywają się wrony z przydrożnych topoli. Rola czar-niawa, przemiękła... po miedzach i wydrożach leżą brudne płachty ru-dawego śniegu. Wiatr szarpie gałęzmi, czoehra suche badyle, przepę-dza po polu grube, ciężkie prawie mgły... Smutno, zimno, jesień...

Kasztan stąpa powoli, jakby zgadując myśli swego jeźdźca. A jeździec rozgląda się po drodze, rozgląda się po rynku, wszystkie objawy życia notuje w pamięci, i potem, w ciszy swego gabinetu, wyprowadza z nich wnioski. A jak mówią mieszczanie, rezultatem tak-kich zamyśleń pana Kazimierza Bronicza jest zawsze albo fabryka krochmalu, albo browar, albo szkoła koszykarska, na które-to przed-siewzięcia pan Zahorowski, pokładający bezgraniczne zaufanie w zię-ciu, nie żałuje pieniędzy.

Pan Kazimierz Bronicz zajeżdża przed dworek Gwoździckich. Oddaje konia przechodzącemu chłopcu, i z wolna wstępuje na ganek. Szklane drzwi same się otwierają. Niespostrzeżony przez nikogo, do-chodzi aż do saloniku i zatrzymuje się.

W przyległym pokoju gra ktoś na fortepianie. Niezbyt głośno... ale jemu dobrze jest znane to silne a miękkie i wytworne uderzenie. Przez ciszę wieczorną przebija się z niezatartą wyrazistością każdy dźwięk serenady:

Pójdziemy w obcy kraj...

Tam będzie dla nas raj...

Stłumiony, ale czysty głos kobiecy wtóruje od niechcienia. Melo-dya snuje się przez mroki, budzi drgawki w milczących pokojach, owi-ja duszę niewyczuwalnemi całunami.

Pójdziemy w obcy kraj...

Tam będzie dla nas raj...

Kazimierz z zapartym oddechem przytula się do ściany. Gdy tak marzy młode, roz tęsknione dziewczę, usta słuchacza składają się do wzruszonego uśmiechu. Ale ten śpiew dojrzałej kobiety — śpiew taki cichy, o zmroku — rani go gdzieś w serce.

W dogasających stopniowo akordach muzyka milknie. Kroki się zbliżają.

— Kto tu stoi?..

— Ja, Tuniu. Dowiedziałem się, że pan Gwoździcki chory, przyjechałem go zobaczyć.

— Tak, zachorował nagle wczoraj. Przeleżałem się strasznie... konny posłaniec przyleciał w nocy po mnie, abym bezzwłocznie jechała do dziadka. Ale, chwała Bogu, dziś mu już znacznie lepiej.

— Cóż mąż twój porabia?

— Jak zwykle. A Julcia?

— Została w domu, bo dzieci się pozaziębiały.

Tunia wprowadza gościa dalej.

— Nie proszę cię na tamtą stronę, gdyż dziadek śpi... Poczekajmy tymczasem w moim... w dawnym moim pokoiku.

Siadają na niskich fotelach, przy oknie, przez które widać zadeszczoną drogę i gołe, smutne lipy.

— Mieliliśmy niedawno bal, w dzień imienin teścia, — przemawia po pewnym czasie milczenia Kazimierz. — Spodziewaliśmy się was na pewno. Zrobiliście nam zawód.

— Mąż nie miał ochoty, nie lubi licznych zebrań.

— Ale tobie należy się rozrywka. Siedzisz samotna, bez towarzysztwa.

Tunia zwolna podnosi ramiona.

— Aby tylko dziadek był zdrow. Więcej mi nic nie potrzeba.

— Za mało żądasz! — żartuje Bronicz. — Jestem pewny, że jeszcze niejedna rzecz cię nęci.

— Dawno już przeszłam poza tę granicę, kiedy się oczekuje czegoś od życia. To, co być mogło, mogło być tylko dawniej.

Jakby mimowoli, z pod palców jej wybiega znowu urwany motyw serenady. Ale w tej samej chwili powstaje, i z trzaskiem zamyka fortepian.

— Czy dużo grywasz w domu?

— Wcale nie grywam.

Kazimierz spuszcza oczy w ziemię i rozpatruje desień dywanu, który mającżeje niewyraźnemi, jasnymi plamami. Cicho... w tej ciszy krąży wiele niedomówionych, palących pytań. Ale są obcy prawie dla siebie teraz. Życie domowe każdego, z całą więzią zdarzeń, interesów i kłopotów nieznanym drugiemu, postawiło między nimi nierozdzieloną a nieprzebytą zaporę...

— Co słyhać u Zosi? — pyta półgłosem Tunia.

— U Zosi?.. Wielkie zmiany są teraz u nich. Przyjęli nauczycielka do najstarszego synka... zaczynają go przygotowywać do gimnazjum...

— Już do gimnazjum?

— Od wakacyi.

Tunia podnosi zamysłone oczy.

— Więc to już drugie pokolenie.

— I będzie z kolei rwać się, marzyć, pragnąć...

— I gonić — miraże...

Znowu zalega cisza. Ale teraz rozumieją się bez słów. I Kazimierzowi cisną się do głowy uparte, niestłumione pytania: dlaczego dozgonną towarzyszką i matką jego dzieci jest „tamta“, taka sztywna, taka zimna, ciasna, nieznająca upadków, ale nieznająca i wzlotów...

Zapyta... zapyta... to jedyny zbytek czułości, jedyne nadprogramowe wzruszenie, którego sobie pozwoli w czynnym, mozolnym, wytkniętej idei oddaniem życiu...

„Tuniu... powiedz... czy się mylę?.. Czy małżeństwo nie pozostawiło ci w piersiach całej otchłani rozpaczliwych, niezrozumianych, niezaspokojonych głodów?..“



Pałą go te wyrazy. Ale nie pyta. Przykuwa mu je do ust pamięć o obowiązkach, które oboje świadomie i dobrowolnie podjęli.

Za oknem szumi wiatr... przegania po niebie mętne, wydęte chmury...

Tunia podnosi się z krzesła.

— Słyszę, że dziadek się obudził. Chodźmy do niego.

MARION.

K O N I E C .

---

# Anglicy i Hollendrzy w Afryce.

---

Nie wiemy, jak tam dziś uczą geografii w naszych gimnazyach, ci jednak, którzy te świątynie wiedzy przed trzydziestu, może nawet przed dwudziestu laty opuścili, pewno nie przypuszczali, że im kiedyś przyjdzie przeglądać mapy i badać jakieś encyklopedye, by się czegoś dowiedzieć o krajach tak dalekich, jak Południowo-Afrykańskie. A ciekawość to bardzo naturalna. Nietylko bowiem w krajach tych, które dotąd, wedle tradycyi szkolnej, uważali wyłącznie za dziedzinę Hottentotów różnego gatunku i nazwy: Kafrów, Zulusów, Beczuanów i innych dzikich pogan rozmaitego koloru, toczy się wojna, i to bardzo krwawa, pomiędzy dwoma wysoko cywilizowanymi ludami białymi, ale wojna ta zaczyna już nawet oddziaływać na stosunki europejskie w sposób, jeżeli jeszcze nie groźny, to w każdym razie już niekorzystnie na te stosunki wpływający. Jeżeli ostateczny wypadek tej

wojny zdaje się łatwym do przewidzenia, trudno jednak obliczyć, jak długo ona trwać będzie, jakie obroty przybierać, jakie ogólno-polityczne powikłania, czy kombinacje wywoływać może. Wprawdzie o Transwaalu od lat piętnastu, od odkrycia niezmiernie bogatych kopalni złota, wiemy dziś nieco więcej. Ale, ani te złotodajne sprawy, ani nawet zamach na nie przed czterema laty dokonany przez awanturnika angielskiego, Jamesona, nie objaśnia wypadków dzisiejszych, ani ich rzeczywistej, czy przypuszczalnej doniosłości.

Sprawy te zasługują na objaśnienie, chociażby pobieżne. By jednak to wyszło jako tako jasnym, potrzeba się cofnąć nieco w tył i zajrzeć w historię tych stron.

## I.

Rzecz dzieje się w Afryce Południowej, na przestrzeni prawie tak obszernej, jak połowa Europy od Atlantyku po Wisłę. Trzy oceany oblewają tę przestrzeń. Od Zachodu Atlantycki, od Południa Południowo-biegunowy, czyli Antarktyczny, od Wschodu ocean Indyjski. Wypadki, nas zajmujące, dzieją się w krajach bliższych oceanu Indyjskiego, jakkolwiek do tej pory są od niego odcięte długim i szerokim pasem Mozambiku, należącym do Portugalii. Od Południa graniczą one z koloniami angielskimi *Przylądka* (Dobrej Nadziei) i Natalem, od Północy mają znowu kolonię, czy protektorat angielski, Rodezyę, Ugandę i inne dzierżawy, sięgające od Południa ku wielkim jeziorom afrykańskim. Ten trakt angielski ku Nilowi dotyka wielkiej własności, czyli kolonii niemieckiej, niedawno wziętej w posiadanie. Te kraje wszakże leżą już w środkowej części Afryki na północnej stronie równika. Jakkolwiek więc i to sąsiedztwo, chociaż bardzo dalekie, jest wielce interesującym, pożegnać je musimy i wrócić do owej najbardziej południowej Afryki.

Tutaj punktem wyjścia dla nas musi być przylądek Dobrej Nadziei, nietylko jako najpierwsza osada europejska w tej części świata, ale też jako zarodkowe gniazdo, z którego wychodziła wędrówka europejskich ludów, mających zdobywać te strony dla cywilizacji i chrześcijaństwa, a właściwie zdobywać je i ujarzmiać dla swojej korzyści.

Kolonia, czyli *Kraj Przylądka*, Capland, jak go Anglicy nazywają, jest państwem, jako obszar, większem od Niemiec, bo ma 756,803

kilometry przestrzeni; prawda że ludność za to jest rzadka, bo wypada zaledwie dwie głowy na kilometr, rozmaicie rozrzuconej. Tak w kolonii pierwotnej, czy głównej, na 495,000 (setki odrzucamy) kilometrów przypada tylko 956,485 głów (według spisu z 1891 roku), czyli 1.9 na kilometr. Za to w kraju Grika zachodnim wypada 2.1, w Grika wschodnim 8, w kraju Tembu 17, w Transkey 23. W ogóle w całym kraju, z wyjątkiem kraju Beczuanów, wielkiego jak dobre królestwo w Europie, i małego Pondo, ludność w końcu 1896 roku wynosiła 1 821,000, w Beczuanie zaś 223,000.

Ludność to bardzo rozmaita. Składają się na nią Europejczycy, czyli Biali 362,000. Malaje 4,000. Hottentoci 51,000, Murzyni (Kafrowie, Fingo i Beczuanie) 841,000, Metysi i inni mieszkańcy 250,000. Według wyznań liczone: protestantów 733,000, katolików 17,000, żydów 3,000, mahometanów 15,000, innych sekt 1,394, pogan 758,000. Miast, liczących więcej nad 10,000 ludności, naliczone pięć, z tych Captown 52,151, a Kimberley, znany z kopalni dyamentów, 28,718.

Kolonia to bardzo bogata; jej dochody zwyczajne przewyższają zwyczajne wydatki przeszło o pół miliona funtów szterlingów. Długi państwowe są, ale nie za wielkie, łatwo się je spłaca i umarza. Handel znaczny, ruch okrętów w portach wielki. Głównymi przedmiotami wywozu były: złoto za 10,992,000 funtów szterlingów (około 270 milionów franków); dyamenty za 4,454,000 funtów szterlingów (przeszło 116 milionów franków); wełna owcza za 1,497,000 funtów szterlingów; wełna kozła za 667,000 funt. szt.; pióra strusie za 605,000 funt. szt.; skóry za 518,000 funt. szt.; miedź za 301,000 funt. szt. W końcu roku 1897 kolonia posiadała kolei żelaznych 3,634 kilometry, z tych 3,059 państwowych, to jest, kosztem skarbu kolonizacyjnego wybudowanych, reszta prywatnych.

Jako wskazówkę życia i ruchu interesów, przytoczymy jeszcze niektóre cyfry z tejże samej daty, 1897 roku. W owym roku poczta wyprawiła do Anglii 2,581,600 listów, oraz 1,759,800 dzienników i druków. Listów z pieniędzmi 396,586 do Anglii i innych krajów, przekazów pocztowych 760,354 wartości 1,863,984 funtów szterlingów (bez mała 50 milionów franków), co zdaje się dowodzić ścisłości stosunków z metropolią nawet w sprawach mniejszej wartości pieniężnej. Kolonia też z własnych funduszków utrzymuje milicję i obronę krajową, która ją kosztuje rocznie do 400,000 funt. szt. (do 10 milionów franków); policja jednak ma osobny, i to dość znaczny rachunek.

Zarząd kolonii Przyłądku, tak jak dziś wszystkich angielskich kolonii, jest najzupełniej autonomiczny i parlamentarny. Do 1835 roku była ona rządzoną przez gubernatora generalnego, z pomocą rady administracyjnej, złożonej z urzędników. W 1835 roku utworzono Radę

Wykonawczą z sześciu członków, urzędników kolonialnych, i z sześciu nie-urzędników (unofficial members). Ta rada posiadała władzę prawodawczą. W roku 1850 patent królewski z dnia 25 maja upoważnił gubernatora i ową radę wykonawczą do utworzenia rządu reprezentacyjnego. Dekreta konstytucyjne, na mocy tego patentu wypracowane, zostały przejrzone i zatwierdzone 11 marca 1853 roku przez dekret królowej, wydany w radzie państwa. Dekret ten władzę prawodawczą w kolonii oddawał dwom izbom wybieralnym. Jedna z tych izb, złożona z piętnastu członków, nosiła tytuł rady prawodawczej, druga, licząca czterdziestu sześciu członków, miała nazwę izby reprezentantów. W roku 1865 zaprowadzono w statucie organicznym pewne zmiany. W roku 1872 królowa, czyniąc zadość życzeniu obu izb, dekretem, wydanym w radzie (en conseil), zaprowadziła zasadę odpowiedzialności ministrów (responsible government), Akt kolonialny z 1874 roku podzielił kolonię na siedem prowincyi wyborczych, z których każda miała wysłać po trzech reprezentantów do Rady prawodawczej. Prowincya Grika Zachodnia, w roku 1880 stanowczo przyłączona do kolonii, wysłała od tej pory jednego reprezentanta, co daje 22 na izbę wyższą. Izba niższa składa się z siedemdziesięciu dwóch członków, wybieranych przez toż samo ciało wyborcze, co izba wyższa. Prawo wyborcze przywiązane jest do pewnego *censum* (dochodowego). Głosowania powszechnego niema. W szczególży jednak wyborcze wdawać się nie będziemy.

W roku 1882, aktem kolonialnym dozwolonem zostało używanie *języka hollenderskiego* w rozprawach parlamentu. W sierpniu 1877 roku parlament wielkobrytański zatwierdził projekt prawa, obejmujący zasady unii federalnej wszystkich kolonii angielskich w Afryce południowej, ale ten projekt federacyi nie miał następstw. Projekt ten ncsił taki tytuł: „An act for the Union under one government of such of the South Africa colonies and states as may agree thereto; and for the government of such Union for purposes connected therewith. 40 et. 41 Vict. c. 47“. (Akt dla Unii pod jednym rżędem tych z kolonii południowo - afrykańskich i państw, które zechcą się na nie zgodzić i dla rżądu takiej Unii, oraz dla celów, z nią połączonych).

Szczegóły te o kolonii Przylądku, jej stanie materyalnym i stopniowym rozwoju politycznym, mogą tem bardziej ułatwić zrozumienie dzisiejszych, tak ciężko zawikłanych, stosunków południowo afrykańskich, iż ta kolonia Przylądku jest matką i rodzicielką owych rzeczypospolitych Oranii i Transwaalu, które z niej wyszły, a jeżeli nie politycznie, to geograficznie są z nią połączone.

## II.

Przylądek Dobrej Nadziei pierwszy odkrył Bartolomeo Diaz Portugalczyk, w 1486 roku. Ponieważ trafił na porę burz, które tam, u zbiegu trzech oceanów, bywają bardzo gwałtowne; ponieważ te o mało nie potopiły wątłych karawelli śmiałego Portugalczyka; Alvarez zawrócił, i dostawszy się z powrotem do Lizbony, w raporcie o swej podróży nazwał ten przylądek Przylądkiem Burz. Król jednak tej złowróżbnej nazwy nie przyjął, a nazwał ten skalisty i dziki brzeg Przylądkiem Dobrej Nadziei. Opowiadanie bowiem żeglarza utwierdziło króla w przekonaniu, że tamtędy prowadzi najbliższa droga do Indyi, owej wymarzonej krainy złota, brylantów i wszelkiego bogactwa. W jedenaście lat później Vasco de Gama przylądek opłynął, do Indyi się dostał, i dla Portugalczyków je otworzył.

O koloniach i kolonizacyi na dzisiejszy sposób nikt wówczas nie myślał. Podbijano kraje i ziemie, tępiono ludność, narody zamieniano w niewolników. Droga jednak z Lizbony do Goa, najbliższego punktu Indyi, była zbyt długa, by żeglarze nie potrzebowali wypoczynkowej przystani. Więc już w roku 1509 Franciszek Almeida, wicekról Indyi, wylądował na Przylądku: spotkało go jednak tak srogie przyjęcie ze strony dzikich, ale chytrych i srogich tuziemców, że został zamordowany wraz z siedemdziesięciu pięciu swoimi ludźmi. Ta rzeź tak popsuła reputację ludności przylądku, o której zresztą najdziwaczniejsze baśnie w wieku XVI opowiadano, iż żeglarze starannie tego lądu unikali. Pod koniec jednak XVI wieku, Hollendrzy zaczęli tam zaglądać dla kupna żywności. Wzniesli nawet forteczkę, w której się w czasie pobytu na lądzie zamykali. W 1643 roku, Jan Antoni Van Riebeck, lekarz hollenderski, wracając z Indyi, zatrzymał się na przylądku nieco dłużej, rozejrzał się po kraju, poznał klimat i przyrodę, a wróciwszy do Amsterdamu, powziął projekt założenia na Przylądku stałej kolonii. Projekt został dobrze przez senat i mieszczaństwo kupieckie przyjęty, chociaż targi wlokły się dość długo. Dopiero bowiem w 1652 r. van Riebeck mógł z trzema okrętami odpłynąć do Afryki. Wylądowawszy u przylądku, siłą, czy przez ugodę, nabył ziemię i wybudował forteczkę, pod której opieką wzrastała i rozwijała się nowa kolonia.

Nie szło to nielatwo, ni szybko, bo z krajowcami ciągle trzeba było prowadzić walki, karcieć ich za napady i gwałty. Ale zacięta wytrwałość Hollendrów, hartująca się w tych walkach nieustannie, dawała sobie radę. Nie mieli sąsiadów europejskich pod bokiem. W czasie wojny amerykańskiej, pod koniec wieku XVIII, Anglicy próbowali zabrać schludne miasto i ziemie dobrze uprawne pod klimatem bardzo zdrowym, ale zostali odparci. Dopiero znacznie później, pod dowództwem admirała Elphinstona i generała Clarke, zdobyli miasto i zajęli kolonię, którą jednak w roku 1803 zmuszeni byli zwrócić Hollandyi. W wojnie z roku 1806 zabrali ją znowu, i już więcej nie popuścili, bo traktaty z 1814 i 1815 roku zrobiły ich prawnymi właścicielami kraju, odstąpionego przez Hollandyę.

Zdobycz to była niezmiernie ważna dla Anglii, która już była panią Indyi wschodnich, nie tak jeszcze rozwielenionych i potężnych, jak dziś, ale w planach przyszłości grających dla Anglii nader znaczącą rolę. Zostające jeszcze wówczas pod na pół nominalnym zarządem sławnej Kompanii Wschodnio-indyjskiej, podzielone na mnóstwo większych i mniejszych państw i państewek, z którymi trzeba było nieustannie wojny prowadzić dla utrzymania ich w uległości, albo dla zupełnego ich skonfiskowania,—z wielkim Mogołem, rezydującym w Dehli, odartym ze świetności i blasku, żyjącym tylko z subwencji, wypłacanej mu przez Kompanię, to jest przez Anglię, Indye wschodnie dopiero w roku 1857 po wielkim buncie Sipojów, zmieniły swój charakter państwowy. Usunąwszy Kompanię, Korona wielkobrańska została władczynią tego kolosalnego państwa, dziś liczącego 296 milionów ludności, a jeszcze ciągle rozmaitemi środkami i dla rozmaitych powodów powiększanego. Królowa Wiktorya przybrała dodatkowy tytuł: cesarzowej Indyi.

W tem olbrzymim państwie i dziś jeszcze prawie nieustannie spotyka się jakieś zatargi wojenne. Przed niezbyt dawnymi laty, za pamięci jeszcze żyjących mężów stanu, już po wielkim buncie Sipojów, zdarzały się wojny istotnie chwilowo niebezpieczne, i dla państwa wielkobrańskiego groźne. Do otwarcia Kanału Sueskiego przed laty trzydziestu, jedyną drogą, prowadzącą floty wielkobrańskie z kanału La Manche do ujść Gangesu, czy Indu, była wskazana przez Vasco de Gama. W połowie tej drogi, która przed zastosowaniem pary potrzebowała 71 do 90 dni, jako stacya wypoczynkowa i opatrunkowa, znajdował się port przylądku, oraz kraj go otaczający, żyzny, dobrze uprawny, a przytem posiadający klimat tak zdrowy, że i dziś, zmęczeni i wyczerpani dłuższym w Indyach pobytem, Anglicy, tam się, jak do jakiego sanatorium, udają.

Oto niektóre z powodów, zmuszających Wielką Brytanię do trzymania uporczywie tej kolonii w swych rękach, do rozszerzania jej nawet, do prowadzenia nieustannych prawie wojen z przeróżnymi dzikimi plemionami, od Buszmanów i Kafrów najbliższych zaczynając, do Basutów, Zulusów i innych, których dziesiątek wyliczają. W jednej z takich wypraw na Zulusów zginął syn Napoleona III.

### III.

Anglicy, zostawszy panami Kaplandu, szczerze się wzięli do podniesienia kolonii, ale ich gospodarka nie przypadła do smaku Hollendrom, nietyle z powodów patryotycznych, ile ze względu na interes tej części ludności, za dawnych rządów przewodniczącej i protegowanej. Administracya angielska odrazu system hollenderski porzuciła. Tak na przykład, popierała ona zaprowadzanie gospodarstw ziemskich i folwarków mniejszych, ale ograniczała przesadnie wielkie a szkodliwe prawo pastwiskowe dawniej osiadłych właścicieli ziemskich, Hollendrów, wieśniakami, czy chłopami (Boer, Bur) zwanych. Zaprowadziła urzędowe księgi dziedziczne, z opisaniem szczegółowem majątku ziemskiego. Własność została oparta na prawach i ustawach, obowiązujących w koloniach angielskich. Chęci z góry były dobre, ale za rządów lorda Somerset wykonanie i administracya kraju były tak nędzne, że lord ów w 1827 roku podał się do dymisji, unikając sądowych śledztw. Miejsce jego zajął lord Cole. Ten administracyę oczyścił i porządek lepszy zaprowadził, ale jeszcze bardziej, aniżeli jego poprzednik, Burom dokuczył. W roku bowiem 1829 Hottentoci i wszyscy wolni kolorowi mieszkańcy kolonii uzyskali równość prawa cywilnego, czyli postawieni zostali cywilnie na równej stopie z innymi mieszkańcami. Burowie byli tem bardzo dotknięci. Kolonię też ciągle niepokoili Kafrowie; a w roku 1834—35 przyszło nawet do wojny, która, nieudolnie prowadzona, skończyła się umową, wcale niezabezpieczającą nietykalności i spokoju kraju. Rząd angielski stracił wszelkie poszanowanie u Burów. Pogarda zaś zamieniła się w oburzenie, gdy w roku 1839 nastąpić miała emancypacya Hottentotów i niewolników wogóle. Burowie prawie jednomyślnie przeciw temu zniesieniu niewolnictwa protestowali,



dowodząc z Biblii, że to się sprzeciwia prawu bożemu, że obok tego emancypacya podobna do nędzy ich doprowadzi. Bo któż będzie pracował na ich ziemi, jeżeli im tych przymusowych robotników odbiorą. Gdy długie układy, a nawet zaburzenia nie pomagały, Burowie postanowili przenieść się gdzieindziej. Sprzedawszy więc swe ziemskie majątki, około 5,000 Burów z rodzinami i stadami swemi i całym ruchomym inwentarzem, przeniosło się częścią za rzekę *Orania*, częścią do kraju nadmorskiego Zulusów, których władcą był wówczas Dingan. Pierwsi poszli na Północ i utworzyli dzisiejsze *Państwo Wolne Oranię*, drudzy na Wschodzie zaprowadzili dzisiejszą angielską kolonię *Natal*. Orania jest rzeką największą w tej części Afryki, którą przerzyna od Wschodu na Zachód, źródło jej w Natalu, w kraju Basuto, ujście do Atlantyku. Nieopodal od Kimberleyu wpada do niej rzeka Waal, płynąca od Północo-Wschodu ku Południo-Zachodowi. Stanowi ona granicę między Państwem Wolnem Oranią, a Rzeczpospolitą Południowej Afryki, czyli Transwaalem.

#### IV.

Emigracya Burów, osiadła czy to w Oranii, czy w Natalu, ciężki wiodła żywot, zwłaszcza z początku, zmuszana do nieustannych walk z rozbójniczymi Kaframami. Pomimo tego, nie chciała wracać do kolonii angielskiej, chociaż ją wzywano. Owszem, ogłosiła się od panowania angielskiego niezależną i zwróciła do króla hollenderskiego z prośbą o opiekę. Rząd więc angielski w 1845 roku orężem ją zhołdował, jako część kolonii przyłądku, Natal zaś pozostał osobną, ale angielską, kolonią. W roku jednak 1854, skutkiem wznowionego oporu Burów, a słabości Wielkiej Brytanii, mającej wówczas wielkie z powodu wojny krymskiej kłopoty, kraik ten odzyskał niepodległość, która w końcu konwencją z 23 lutego uznaną została.

Orania ma przestrzeń dość znaczną, bo 131,070 kilometrów kwadratowych, ale pod względem ludności jest kraikiem maleńkim. Według spisu z 1890 roku liczone: białych 77,716 (w tem 40,571 mężczyzn), czarnych 129,787 (w tem 67,791 mężczyzn). Dziś niewątpliwie liczba

jest większa, w każdym razie nie daje nawet w ogóle dwóch ludzi na kilometr, białych zaś wypada ledwo  $\frac{1}{2}$ , czyli jeden na dwa kilometry. Jedynym miastem ważniejszym jest stolica, Bloemfontein, która ma 5,817 głów ludności (w tej liczbie 3,115 białych). Ludność to bardzo mieszana, co najlepiej wykazuje cyfra różnych wyznań. Stanowczo przemagającym jest kalwinizm hollenderski, który przedstawia 68,940 wiernych, dalej Wesleyanie 753, Anglikanie 1,353, Luteranie 312, Katolicy 466, Żydzi 113, różnych innych wyznań 1,809, wyznań nieznanych 3,970.

Kraj z 'aje się niebogaty, i słabo własną siłą wzrasta, bo chociaż państewko jest niezależnem od lat czterdziestu kilku, jednakże dwie siódme ludności składa się z przybyłych z za granicy, przedewszystkiem z kolonii Przylądku, z Europy, z Transwaalu, z Natalu. Budżet niewiele nauczyć może. Wprawdzie dochód mniej więcej pokrywa wydatki, ale cyfry ogólne i jednych i drugich dziwnie skaczą. W przeciągu trzech lat ubiegłych wydatki wynosiły 381,861, — 3,261,684, — 975,118, a kwestya wydatków wojennych dopiero w roku bieżącym wystąpiła. Majątek państwowy, obejmujący ziemie, koleje żelazne, budynki i t. p., oceniają na półszósta miliona funtów szterlingów. Na dochody państwowe składają się cła wchodowe, podatek od trunków, patenta, podatek z folwarków. Handel w roku 1897 oceniano na 1,231,699 funtów szterlingów w przywozie, a na 1,794,242 funtów szterlingów w wywozie. Głównym przedmiotem wywozu jest wełna, a także pióra strusie i skóry, wreszcie dyamenty, których w roku 1897 wywieziono za 414,147 funtów szterlingów. Od roku 1859 Orania zostaje w związku celnym z kolonią Przylądku. Do tego związku w roku 1877 przystąpiła kolonia Natal. Kolei żelaznych państwowych jest 422 kilometry, prywatnych 37 kilometrów. Armia kompletuje się za pomocą werbunku. Ochotnicy służą trzy lata, następnie przechodzą do rezerwy; w razie wojny, wszyscy obywatele od 18-go do 60-go roku życia mogą być powołani do służby. W tym celu powinien każdy być stale gotowym, to jest mieć konia, karabin, amunicyę i zapas żywności na dni osiem. Skład wojsk stałych następujący: artylerya: 1 major, 2 poruczników, 1 feldfelbel, 12 podoficerów, 100 żołnierzy, 21 dział (z tych 14 połowych Kruppa kalibru 75 millimetrów), 1 działko szybko-strzelne, 32 działka Maxyma. Ilość wojska, jaka w razie wojny może być wystawiona, oceniają urzędownie na 20,000 ludzi, cyfra ta jednak, zdaje się, bardzo przesadzona, równa się ona prawie połowie ludności męskiej białej, nie odejmując chłopców w pieluchach i starców wiekiem złamanych.

Konstytucya dzisiejsza nosi datę 8 maja 1879 roku, bo od tego dnia stała się obowiązującą. Jest ona przerobiona z dwóch dawniejszych: pierwszej z 1854 roku, gdy kraj odzyskał swą niezależność, drugiej 1866 roku, która była przeróbką poprzedniej. Ma ona tę zaletę, że jest krótka i mieści się w sześćdziesięciu dwóch artykułach. Niektóre z tych artykułów zasługują na przytoczenie, bo wskazują charakter polityczny społeczeństwa:

**A r t y k u ł p i e r w s z y** mówi o indygenacie i tak brzmi: „Obywatelami Wolnego Państwa Oranii są: a) osobniki białe, urodzone przed, lub po dniu 23 lutego 1854 roku na terytoryum państwa z rodziców, zamieszkałych na temże terytoryum;—b) osobniki, które zyskały prawo obywatelstwa wedle przepisów konstytucyi z roku 1854, lub przejrzanej z 1866 roku; — c) osobniki białe, które zamieszkiwały w państwie przez rok jeden i posiadają w niem własność ziemską, zapisaną na ich imię, wartości co najmniej 150 funtów szterlingów; — d) osobniki białe, zamieszkałe w państwie przez lat trzy bez przerwy, które złożyły na piśmie przyrzeczenie wierności dla państwa, posłuszeństwa prawom, na co otrzymają świadectwo od Ladvoita (gubernatora) okręgu ich zamieszkania;—e) urzędnicy cywilni lub sądowi, którzy przed objęciem swych obowiązków złożyli przysięgę na wierność państwu i jego prawom ..

**A r t y k u ł d r u g i.** Wszyscy obywatele po skończeniu lat 16, i wszyscy naturalizowani w wieku późniejszym, obowiązani są podać swoje nazwiska Veldkornetowi (pomocnikowi gubernatora), w którego okręgu mieszkają, i do roku sześćdziesiątego życia ulegają służbie cywilnej.

**A r t y k u ł t r z e c i** (prawo głosowania). Wszyscy obywatele po skończeniu osiemnastego roku życia są zdolni do korzystania z prawa głosu przy wyborze Veldkommendantów i Veldkornetów.

**A r t y k u ł c z w a r t y.** Zdolnymi do udziału w wyborze członków Volksraadn (izby ludowej) i Prezydenta państwa są wszyscy obywatele pełnoletni:—a) urodzeni w państwie,—b) posiadający własność ziemską, zapisaną na ich imię i bez ciężarów, wartości co najmniej 150 funtów szterlingów,—c) którzy dzierżawią własność ziemską, wartości dzierżawnej rocznej co najmniej 30 funtów szterlingów,—d) posiadający stałego rocznego dochodu co najmniej 200 funtów szterlingów,— e) którzy są właścicielami ruchomości, ocenionych co najmniej na 300 funtów szterlingów, i mieszkający w kraju co najmniej lat trzy.

Z rozdziału czwartego o obowiązkach i attribucjach Rady narodowej zaznaczymy tylko niektóre, bardziej charakterystyczne artykuły, jako to:

Artykuł siódmy. Wybieralnym do Rady jest każdy obywatel, który nigdy nie był uznany przez sąd przysięgłych winnym zbrodni, który nigdy nie był ogłoszonym w stanie bankructwa, lub niewypłacalności, i który posiada własność ziemską bez długu, wartości co najmniej 500 funtów szterlingów.

Artykuł szesnasty. Wrazie niewypłacalności albo skazania prezydenta państwa, Rada narodowa może go natychmiast złożyć z urzędu. Rada narodowa ma prawo sądzić prezydenta i urzędników publicznych w zarzucie zdrady stanu.

Artykuł dwudziesty trzeci. Sprawy wyznania i oświaty będą przedmiotem prac Rady narodowej.

Artykuł dwudziesty czwarty. Kościół reformowany hollenderski będzie *protégowanym i utrzymywanym* przez Radę narodową.

Ten artykuł konstytucji robi więc wyznanie reformowane hollenderskie wyznaniem pańswowem i panującym, wszelkie zaś inne są tylko tolerowane, chociażby należały do reformowanych i protestanckich, jak anglikańskie, lutersko-agsburskie, lub nawet wprost kalwińskie. W każdym razie, rzeczpospolita orańska w swej reformowanej prawowierności nie zdaje się zachodzić tak daleko, jak transwaalska, w której, wedle prawa, urzędnikami jakimi bądź mogą być jedynie wyznawcy Kościoła reformowanego hollenderskiego.

Charakterystycznym jest także rozdział o prawach i obowiązkach prezydenta państwa. Wybieranym on jest przez obywateli, mających prawo głosu, więc wyłącznie przez większych właścicieli ziemskich. Zdaje się bowiem, że przy kolosalnych, pustych obszarach ziemi, własność, oszacowana na 150 funtów szterlingów, nie jest w Oranii małą. Rada narodowa ma prawo zalecić wyborcom jednego, albo nawet więcej kandydatów do wyboru (Art. 29). Prezydent jest odpowiedzialnym przed Radą narodową na czyje bądź oskarżenie.

Co do obowiązków prezydenta charakterystycznym jest:

Artykuł trzydziesty drugi. Prezydent państwa będzie zwiedzał wioski, o ile można, najczęściej, a mieszkańcom tych wiosek i powiatów nastęrczać ma sposobność, by mu objawiali swe życzenia.

Prezydent ma do pomocy Radę wykonawczą, złożoną z landrosta stolicy, z sekretarza rządu i trzech członków nieurzędowych, wybranych przez Radę narodową. W Radzie tej prezydent ma głos przeważający.

Organizacyi wojskowej poświęca konstytucya siedem króciutkich artykułów. Veldkorneci wybieranymi są przez większość obywateli swego kantonu i z pomiędzy tychże obywateli. Na każdy powiat wybranym będzie Veldkommendant z obywateli, i przez tych obywateli. Veldkommendant i Veldkorneci, zwołani przezkommendę (? Kommando) wrazie wojny, wybiorą razem ze swego grona kommendanta generalnego, który, otrzyma swe instrukcye od Prezydenta państwa. Veldkommendant i Veldkorneci, zebrani razem, mają prawo w czasie wojny złożyć z urzędu wybranego przez siebie naczelnego wodza i mianować innego. W takim razie zawiadomią o tej zmianie prezydenta, który, otrzymawszy to zawiadomienie, i uznawszy przyczyny za usprawiedliwione, naznaczy dzień, w którym nowy wybór nastąpić ma (art. 53). Po wojnie niema żadnego generalnego kommendanta.

Artykuł sześćdziesiąty piąty. Veldkorneci obowiązani są mieszkać w swych kantonach i posiadać w nich własność ziemską.

Artykuł pięćdziesiąty szósty. Veldkommendant i obowiązani są mieszkać w swych powiatach i posiadać w nich własność ziemską wartości co najmniej 200 funtów szterlingów, winni też mieszkać w kraju od roku przeszło.

W ostatnich siedmiu również krótkich artykułkach znajduje się rozporządzenie ogólne, że prawo rzymsko - hollenderskie ma być prawem ogólnem państwa w wypadkach, w których żadne inne nie zostało przez Radę narodową wydane; że prawo jest równe dla wszystkich; że każdy mieszkaniec jest obowiązany do posłuszeństwa prawu i władzy; że prawo własności jest poręczone; że wolność osobista jest poręczona w granicach rozporządzeń prawa, podobnie, jak wolność prasy.

Podaliśmy nieco obszerniej te szczegóły konstytucyjne, to streszczenie bowiem uwalnia nas od powtarzania podobnego rozbioru przy pierwszych konstytucyach innych kraików, wszystkie bowiem są do siebie mniej więcej podobne; zmiany, jakie przez ciąg lat zająć mogły, były następstwem okoliczności. Jak pod wpływem owej samodzielnosci i poręczających ją, czy organizujących instytucyi rozwinęło się życie, znajdujemy wskazówki w pisarzach i publicystach, wprawdzie angiel-

skich, ale umiarkowanych i kreślących bardzo zgodne szkice, na kilka miesięcy przed wojną.

Tak naprzykład p. Dicey, bardzo stanowczo potępiając myśl podboju Transwaalu, twierdzi, że gdy raz wszyscy biali mieszkańcy tej Rzeczypospolitej, Anglicy, czy Hollendrzy, postawionymi będą na stopie zupełnej równości politycznej i prawnej, samo przez się ustanie wszelki powód, czy pozór do interwencji. Przy wolnych instytucjach kraju, posiadającego samorząd, wszelka też gerylasówka była-by buntem przeciw władzy tegoż samorządnego państwa, była-by buntem nie przeciw Wielkiej Brytanii, ale przeciw południowo - afrykańskiej Rzeczypospolitej. Zwolennicy przeciwnego poglądu i związek Afrykandrów dają do zrozumienia, chociaż nie chcą tego powiedzieć wyraźnie, że nienawiść Burów transwaalskich do Anglików jest tak wielka i tak zacięta, iż chociażby Anglia poręczyła im po wojnie rząd najzupełniej wolny, prawa najzupełniejszego samorządu, to ofiarę tę odrzucą, jeżeli dzielić ją mają z Uitlanderami, to jest, z napływającymi, zagranicznymi przybyszami, czy to już osiadłymi, czy przybyć mogącymi. „Być może, — pisze p. Dicey — że gdyby równość prawa dla wszystkich białych obywateli Transwaalu była następstwem wojny, podjętej przez Wielką Brytanię, pewna liczba burskich farmerów przeniosła-by się na Północ. Przestrzeń jednak, w której podobna wędrówka ludów jeszcze odbywać się może, tak się zmniejszyła, że całkowita emigracja transwaalskich czy orańskich Burów jest niemożliwą“.

Czy dla tej, czy dla innej przyczyny, w każdym razie, znaczna liczba Burów została-by w Transwaalu, pozostali zaś nie mieli-by już powodu burzenia się przeciw rządowi, który-by był ich własnym rządem, i przy którym korzystali-by z tych samych praw, co ich brytańscy współobywatele. W podobnych warunkach zostający Burowie kolonii przylądku dawno przewędrować mogli z tej kolonii, w której zostają na stopie najzupełniejszej i bezwarunkowej równości ze swymi współkolonistami brytańskimi, a o tej wędrówce nie myślą. Dlaczegoż pod wpływem zdrowego rozsądku takż sam stosunek prawdziwej równości nie miałyby się wyrobić w Oranii i Transwaalu?

## V.

Obok tych względów ogólnych materialne warunki Transwaalu są najzupełniej przeciwne gorylasowskiej wojnie. Tylko ten, kto objeżdżał Transwaal przed wybudowaniem kolei żelaznych, może mieć wyobrażenie o niesłychanej rzadkości zaludnienia w porównaniu z obszarem ziemi. Pojedyncze rodziny żyją tam prawie odosobnione. Domy farmerów, czyli wieśniaków, albo raczej Burów, właścicieli ziemi, są tam odległe jeden od drugiego o jakie dwadzieścia mil angielskich (cztery mile nasze). Miasteczka leżą gdzieś na hoku, o jakie 50 mil i więcej (12 mil naszych). Te miasteczka po większej części są raczej wioskami z kilkunastu domów złożonemi, owe zaś domy należą nie do Burów, lecz do Uitlanderów, to jest do obcych, świeżo przybyłych, osadników, pogardzanych przez Burgherów, to jest przez obywatelstwo ziemskie, a prześladowanych przez prawodawstwo, wyłącznie przez Burgherów prowadzone. Burowie głównie żyją w polu, do miasteczek się nie zbliżają, chyba dla jakiego interesu. Usposobienie ich wcale towarzyskiem nie jest. Szczycą się tem, że ze swego dworku nie widzą żadnych dymów jakiego sąsiedniego komina. Zamknięci w swej rodzinie, w niej tylko żyją, dla niej i dla siebie. To usposobienie i ten sposób życia wyrobiły w nich wprawdzie, przy walkach z rozbójniczymi Kaframi, wielkie przymioty bojowe, obok wielkiego poczucia niezależności i własnego prawa, którego bronić umieją mężnie i karnie, chociażby w formie Gerylasówki systematycznie prowadzonej.

Od krótszej wojny w 1880—81, w której Anglicy sromotnie zostali pobici, a gabinet Gladstone'a, nie chcąc się zdobyć na wysilenie konieczne, zawarł z Burami umowę, uwalniającą ich od bezpośrednio czuwającego protektoratu, Burowie transwaalscy nie tylko uważają siebie za czoło swej hollenderskiej w Afryce narodowości, ale za równych pod wojennym względem sił W. Brytanii, gdy chodzi o zapasy na tym południowo-afrykańskim gruncie, tyle środków obrony przedstawiającym, a dokładnie tylko przez nich znanym.

Liczą też na powstanie wszystkich Hollendrów afrykańskich i połączenie z nimi. Publicysta angielski, Bryden, w sierpniu obli-

ezął, że Burowie do wojny z Anglią mogą wystawić armię z 90,000. Kiedy inni o mniej lotnej imaginacyi, jego przeciwnicy, przyznawali im zaledwie 31,500. Ale ten sam p. Bryden twierdził, że niezmierną większość Burów transwaalskich jest niemiłosiernie ciemna, że w „niepojęcie zdumiewającym stopniu nie wie, co się za ich farmą dzieje”. Przy takim usposobieniu koniecznie wyrabia się zarozumiałość i łatwowierność, przeświadczenie, że to się stanie i stać musi, czego serce pragnie, a co fantazyja wymarzyła. Burowie transwaalscy pamiętają tylko zwycięstwo pod Majubą (luty 1881), uległość ówczesną Anglii i nagły wzrost w potęgę swojej, przed dwudziestu laty bankrutującej, Rzeczypospolitej; wyzywając do wojny Wielką Brytanię, własnych materialnych sił nie mierzą.

Rzplta Transwaalu, a właściwie Rzplta Południowej Afryki, pod względem obszaru ziemi przedstawia się bardzo potężnie, ma bowiem 305,560 kilometr. kw. Pod względem ludności jednak nie tak okazale wygląda. Według spisu z 1896 miała ludności białej 245,397, z tego 137,947 mężczyzn, a 107,450 kobiet. Ludność murzyńską obliczono na 622,544 (z których 128,320 mężczyzn, 159,966 kobiet i 334,258 dzieci). Cała więc ludność wraz dziećmi murzyńskimi 867,941, czyli 3 głowy na kilometr kw. Tego odróżnienia dzieci od dorosłych w spisie ludności murzyńskiej nie rozumiemy, podajemy jednak, jak je znaleźliśmy w statystyce. Miast większych jest tylko dwa: stolica państwa, Pretorya, 8,000 ludności, oraz stolica złotodajnej prowincyi Rand, Johanesborg, licząca według spisu z 15 lipca 1896 roku 102,514 (w roku bieżącym ludność tego miasta dochodziła podobno do 130,000). Rozdzielenia według narodowości nie mogliśmy znaleźć. Gdy chodzi o ludność hollenderskiego pochodzenia czyli Burów, zdaje się, że ludność białą męską znacznie zmniejszyć należy, bo o jakie 21,000 i to dorosłych, tylu bowiem jest podpisanych Uitlanderów na petycji do królowej W. Brytanii, by ich wspierała w staraniach o uzyskanie równouprawnienia z Burami. Większość niezmierną Burów transwaalskich, podobnie jak ich bracia z Oranii, żyje w swych majątkach ziemskich, unikając miast. Wprawdzie przy 1,247 kilom. kolei żelaznych, przy robotach publicznych, przy budżecie wynoszącym 4¼ miliona funt. szt. (113 milion. fr.), przy różnych podatkach i nawet monopolach (sprzedaży dynamitu, przynoszącej 351,809 funt. szt. rocznie), potrzeba licznych urzędników i oficyalistów, tych jednak dostarczają sprowadzani Hollendrzy lub ofiarujący swe usługi Niemcy, albo inni Europejczycy; Burowie właściwi przenoszą życie odosobnione, życie w polu, doglądanie robót rolnych, o ile trudnią się uprawą ziemi, przeglądanie liczných swoich stad owiec i wołów, wreszcie polowanie, a chociażby uga-



nianie się za murzynami, z którymi zwykle mają nieprzyjemne rachunki i których strzedz się muszą.

Dług państwa, licząc ostatnią Rodszyldowską pożyczkę 2½ miliona funt., ale wyłączając rozmaite poręczenia należne kolejom żelaznym, wynosił w 1896 r. 2,690,000 funt. st. Wartość złota wywiezionego na rachunek rozmaitych kompanii europejskich wzrasta dotąd ciągle i w wielkiej mierze. Oto cyfry z lat sześciu: W roku 1892 wywieziono złota za 4,541,071 funt.—w 1893 za 5,480,498 funt.—w 1894 r. za 7,866,152 f.—w 1895 za 8,560,555 f.—w 1896 za 8,603,821 f. — w 1897 za 11,653,725 funt. ster. Geologowie przypuszczają, że za lat trzydzieści kopalnie te całkowicie wyczerpane będą. Nim to jednak nastąpi, Transwaal będzie głównym dostawcą złota, jeżeli nie wystąpią do współzawodnictwa świeżo odkryte w Rodezyi kopalnie.

Armia stała wygląda bardzo skromnie, składa się tylko z komendy artylerji, liczącej 29 oficerów, 83 podoficerów i 288 żołnierzy, ma też oddział telegrafistów polowych, złożony z jednego oficera i 15 ludzi. W razie wojny jednak, wszyscy od 16 do 60 lat wieku obywatele, zdolni do dźwigania broni, są wezwani do obrony kraju. W roku 1894 spis urzędowy ludzi obowiązanych służyć wykazał 26,299. Oprócz tego wszyscy tuziemcy (czarni), zdolni do oddawania usług, mogą być wezwani.

Rzeczpospolita Transwaalu została utworzoną w 1846 przez kolonistów hollenderskich, którzy, pod dowództwem Andrzeja Pretoriusa, wyszli z Oranii, gdy ta została zamieniona przez wojsko angielskie w kolonię angielską i porównaną z Kolonią Przylądka. Niezależność tej nowo utworzonej Rzeczypospolitej nad rzeką Waal została uznana w 1852. Anglia bowiem, z powodu rewolucji francuskiej, drugiej rewolucji, a następnie drugiego cesarstwa, miała przed sobą niemałe kłopoty, a przewidywała większe, które jej nie minęły, w wojnie krymskiej. Zwyczajnym tych nowo tworzących się niezależnych państw trybem, Rada narodowa, wybrana wedle naznaczonego przez rząd tymczasowy regulaminu, ułożyła konstytucyę, która ogłoszoną została w dniu 13 lutego 1848. Konstytucya ta, treścią podobna do orańskiej, różni się od tamtej szczegółowością. Zawiera bowiem 232 artykuły, do których dodać jeszcze należy 33 artykuły dodatkowe, dotyczące prawa karnego i procedury kryminalnej. Ogarnia ona i prawo cywilne, i organizacyę sądową, administracyjną i wojskową procedurę, system podatków i policyę. Władzę prawodawczą powierza radzie ludowej, odnawianej po połowie co rok; rząd, czyli władzę wykonawczą, sprawuje prezydent, wybierany przez głosowanie ludowe, oraz rada wykonawcza, złożona z prezydenta Rpltej, z naczelnego dowódc-

cy wojsk, z dwóch członków mianowanych na lat trzy i sekretarza rządu mianowanego na lat cztery. Z wyjątkiem prezydenta wszyscy członkowie rady wykonawczej są mianowani przez izbę ludową.

## VI.

Początkowe lata Rzeczypospolitej były bardzo ciężkie, trzeba było tworzyć z surowych pierwiastków świeży organizm państwowy, wprowadzać go w ruch prawidłowy, przy ciągłych walkach z Kaframami, Zulusami i innymi plemionami murzyńskimi, przy wielkim braku pieniędzy i przy bardzo usilnych zabiegach Anglii o zrobienie nowej Rzeczypospolitej swą prowincją. Intrygi te i zabiegi doprowadziły do wzięcia przez Anglię w posiadanie Transwaalu w r. 1877. Akt aneksyi nosi datę 12 kwietnia 1877, ale dopiero w 1879 ogłoszone zostały pod datą 1 Listopada patenta organizujące administrację nowej „provincyi“ angielskiej.

Patenta te jednak nie mogły być wykonanemi. Już w kwietniu 1879 r. Burowie zebrani w Wonderfontein zaprzysięgli akt związku, a 16 grudnia 1880 ogłoszoną została niezależność Rzeczypospolitej. Zaprowadzono rząd tymczasowy, złożony z trzech tryumwirów, wybranych przez dawną Izbę ludową (Volksraad) z 1877. Tymi tryumwirami byli: Pretorius, Joubert i Krüger. Natychmiast rozpoczęto wojnę ze słabymi oddziałami angielskimi, znajdującymi się w kraju, wojnę podjazdową, ale morderczą, po bohatersku przez milicję Burów prowadzoną, a zakończoną upokarzającą klęską Anglików pod górą Majuba 26 lutego 1881.

Był to i pozostanie na zawsze dzień istotnej sławy dla Burów. Od tej daty angielscy generałowie nauczyli się szanować tych „hollenderskich chłopów“, którzy umieli się wyrobić na rycerzy. „Sława transwaalskich Burów, jako pierwszej klasy walczących żołnierzy, pisze jeden z publicystów angielskich, datuje się od krótkiej kampanii zimowej z 1881 r. Przed nią bardzo lekceważono ich przymioty i cnoty wojskowe, szczególnie pogardzali nimi oficerowie armii regularnej angielskiej. W kilka dni po rozpoczęciu tej, tak dla Anglików niefortunnej, małej wojny, Sir Owen Lanyon, wówczas administrator Transwaalu, w raporcie swym wyrażał się z wielką pogardą o wojennych

zdolnościach Burów i sztychlił z objawiających obawę, że przyjsć może do jakiego poważnego wybuchu. „Ludzie to niezdatni—pisał on—do żadnego systematycznego zbiorowego działania, a przytem niesłychani tchórze (mortal cowards), cokolwiek zrobią, będą jak wróble w półapce“.

Wypadki rychło dowiodły, że zdanie to było niedorzecznym błędem; przyznać jednak należy, iż przed 1880 r. nic takiego nie zaszło, coby mogło zjednać poważanie dla żołnierskiego usposobienia Burów. Dawniejszemi czasy wprawdzie „farmerowie emigranci z wielką dzielnością stawiali czoło krajowcom; ale w późniejszych latach w walkach z tymiż samymi krajowcami Burowie odznacznali się więcej przebiegłością, aniżeli męstwem. W niewielu zaś starciach dawniejszych z wojskiem angielskiem, czy to w Kolonii Przylądku, czy w Natalu, czy w Wolnem Państwie Oranii, zawsze bywali pobici. Ponieważ zajęcie kraju przez Anglię przed 1880 (od 1877) zdeorganizowało całkowicie jego stosunki, nikt nie przypuszczał, by ruch, wywołany przez pp. Krügera, generała Jouberta i Pretoriusa, mógł się stać wojskowo groźnym.

Powstanie więc od początku znalazło władze angielskie w południowej Afryce najzupełniej nieprzygotowanemi. W Transwaalu całym było wszystkiego 1,400 ludzi, rozrzuconych w różnych punktach niaby obronnych. Garnizon Natalu był jeszcze słabszy. Gdy zaś generał Colley w styczniu 1881 r. wyruszył przeciw powstańcom, zdołał zaledwie wyskrobać z różnych punktów składany oddziałek z 1,300 ludzi. Tak stały rzeczy, taka była nieogłędność władz angielskich, ich kraju i ludzi nieznamość, kiedy nagle w dniu 16 grudnia 1880, w rocznicę pamiętnego dnia pod Dinganem, kilka tysięcy zbrojnych Burów zebrało się pod Heidelbergiem, ogłosiło swą niezależność od Wielkiej Brytanii i rozwinęło republikański sztandar. Pierwsze kroki wojenne zaszły w Potchefstrom, dokąd silna drużyna Burów konno i zbrojno przybyła, żądając, by im wydrukowano Ogłoszenie niezależności. W miasteczku, ale w odosobnionym obozie, stało 140 ludzi 21-go pułku piechoty angielskiej z dwiema armatami. Powstańcy rzucili się na dom rządowy, zmusili angielskiego urzędnika cywilnego i jego straż do poddania się, wytrzymali kartaczowe strzały, dawane do nich z obozu, a do Sir Owena Lonyona w imieniu rządu tymczasowego wyprawili odezwę, by się poddał. Liczne też drużyny Burów zaczęły się zbierać na granicy Natalu i w sąsiedztwie różnych garnizonów angielskich. W kilka dni władza w Pretoryi porzuciła swą pogardliwą obojętność, zaczęła być czynną. Anglię zaś przebudziła ze snu wiadomość o nieprzyjemnem zajściu. W dniu 26 grudnia część 94-go pułku piechoty, licząca 250

ludzi, maszerowała z taborem, złożonym z ciężkich wozów, zaprzęzonych po cztery pary wołów. Szła ona z Lydenburga do Pretoryi. Nagle przy miejscowości, zwanej Bronckers Spruit, ukazał się patrol Burów z białą flagą, zabraniając oddziałowi posuwać się dalej. Pułkownik dowodzący odparł, że rozkazu nie usłucha. Natychmiast z obu skrzydeł i z frontu ukazały się oddziały Burów i rozpoczęły ogień. Wojsko nie miało czasu, ani rozwinąć się, ani odpowiedzieć skutecznie na strzały ukrytych w wąwozie przeciwników. W kilka minut dwie trzecie ludzi z angielskiego oddziału legło zabitych lub rannych. Pułkownik sam ranny śmiertelnie, wydał rozkaz złożenia broni reszcie pozostałej. Kule Burów trupem położyły na miejscu 86 ludzi 94-go pułku, reszta legła ranna, po największej części ciężko.

Po tym wypadku Anglicy zaczęli się krzątać koło obrony, ale wojska w Transwaalu było za mało, a o zaczepnem działaniu nie mogło być mowy. Ograniczono się do oszańcowania obozów i małych forteczek, by w nich stawiać opór i trzymać się do nadciągnięcia posiłków, albo do zawieszenia broni. Po największej części to się udało. Tylko w Potchefstrom garnizon, ogłodzony całkowicie, musiał się poddać w d. 21 marca 1881, kiedy już warunki pokoju były ułożone pomiędzy Sir Evelynem Woodem a transwaalskimi pełnomocnikami. Dowódca oblegających Burów, Cronie, troskliwie przed oblężonymi ukrywał wiadomości o tych układach. Historyk tej wojny robi uwagę, że zachowanie się oblężonych w tym punkcie i w innych było przyzwoite, ale powiedzieć tego nie można o Pretoryi „gdzie administrator, sztab naczelny, znaczny oddział piechoty angielskiej z działami dziewięćcio i siedmno funtowemi, gdzie cała ludność cywilna i wojskowa siedziała przez trzy miesiące, jak szczury w pułapce, zamknięta przez 600 Burów, nie posiadających ni artyleryi, ni żadnych środków oblężniczych. Zaiste nie był to widok zachęcający do uwierzenia w brytańskie „prestige (urok).“

Poważne walki prowadzono tylko przy północnej granicy Natalu. Ponieważ przy neutralności Rplitej Oranii, a zupełnym braku wojsk w kolonii przyładkowej, Transwaal tylko z tej strony był dla wojsk angielskich dostępnym, generał Joubert zebrał około 700 ludzi, koło Coldstream przeszedł 3 stycznia 1881 granice i zajął Laings-Neck. Z przeciwnej strony generał Colley, zebrawszy, co się dało wojska w Durbanie i Pietermaritzburgu, szedł na spotkanie Burów. W d. 24 stycznia, po marszu bardzo uciążliwym z powodu najgorszych dróg w porze zimowej, dotarł on do Newcastle ze swym łącznie złożonym oddziałem, liczącym 12 kompanii, „wyskrobanych“ z czterech różnych pułków, 120 ludzi konnych strzelców, z których połowa była na przedce przy-

uczona do tego rodzaju służby, z sześciu dział, wziętych z rozmaitych baterii, i ze 120 marynarzy. W d. 25 generał Colley wyszedł z Newcastle i stanął obozem pod Laings Neck. W d. 28 zaszła pierwsza bitwa w tej wojnie. Bitwa ta, ku zdziwieniu powszechnemu, była porażką Anglików. Generał Colley wysłał część swej piechoty i strzelców konnych, by pod zasłoną ognia artylerii zdobyli góry. Pomysł zdobywania przez jazdę i piechotę górskiej pozycji, bardzo silnej, a bronionej przez doskonałych strzelców, działających zabójczo pod zasłoną skał, był arcy niefortunny. Żołnierze, wdrapawszy się na górę, zmęczeni i zdyszani, nie byli zdolnymi do żadnego ataku, nieprzyjaciel zaś brał ich spokojnie na cel i kładł trupem. Padła prawie połowa oddziału. W samej tylko piechocie 58 pułku było 73 zabitych a 114 rannych. Inne oddziały ucierpiały podobnie. Stosunkowo najwięcej padło oficerów. Burowie bowiem mają przykazane przedewszystkiem wystrzelać oficerów. Ponieważ Anglicy są tak naiwni, iż oficerowie mundurem bardzo się różnią od żołnierzy, więc wypełnienie rozkazu łatwo doskonałym strzelcom przychodzi. Po trzech dalszych spotkaniach generał Colley i sam zginął, i wystrzelano mu cały jego sztab, z wyjątkiem jednego oficera.

Po tej pierwszej klęsce oddział kilka dni odpoczywał. Sir Ewelyn Wood prowadził posiłki, nowy zaś atak u frontu na pozycję Burów zdawał się bardzo niebezpiecznym dla osłabionego oddziału generała Colleya. Ale, gdy ten tak się trzymał owej fatalnej góry, tyły jego zostały zagrożone przez Burów, które wsuwały się do Natalu przez wąwozy gór Drakensberg. By drogę do Newcastle trzymać otwartą, generał Colley w d. 8 lutego zrobił rekonesans forsowny ku rzece Ingogo. To spowodowało drugie starcie. Generał Colley, który miał z sobą 273 piechoty i dwa działa, nagle ujrzał się atakowanym z trzech stron od razu. Bitwa była pojedynką karabinową, która trwała do nocy. Colley, dzięki ciemnościom, zdołał uratować swe działa, cofając się do obozu, ale musiał zostawić swych rannych na pobojowisku. Ze względu na liczbę, straty były przerażające. Z ogólnej liczby blisko 300 ludzi, stracono w zabitych i rannych 132 ludzi. Burowie przyznawali się do 8 zabitych i 9 rannych. Ta bitwa wskazała już stanowczo, że angielscy strzelcy nie mogą się równać z Burami, że nawet artylerii trudno sobie dać radę przy takiej celności strzałów karabinowych przeciwnika.

W d. 17 lutego Sir Ewelyn Wood przybył do Newcastle, a generał Colley wyjechał na jego spotkanie. W pięć dni wrócił z posiłkami, składającymi się z pułku huzarów, pułku górali N. 92 i oddziału marynarzy. Ale i z temi posiłkami atak na góry nie przedstawiał wido-

ków. Z tego względu generał Colley postanowił zająć górę Mayuba, która górowała nad pozycją Burów o jakie 200 stóp. W nocy więc 26 lutego Colley opuścił swój obóz, by zająć ową górę. Miał z sobą 20 oficerów i 627 szeregowych, wybranych z trzech pułków. W ciemnościach szczęśliwie przebyto pierwsze podnóża, a szczyt przedstawiał się jakby zbiór bastyonów. Pozycja zdawała się tak silną, iż nie przedsiębrano żadnych środków, mogących ją umocnić, w przekonaniu, iż najzuchalszy nieprzyjaciel nie zamarzy o braniu jej siłą.

Burowie, ujrzawszy rankiem górali na Mayubie, byli nieco stropieni, ale postanowili nie oddawać bez bitwy klucza swej granicy. Pod kierunkiem swego słynnego bojowego gen. Mikołaja Schmidta, wykonali dobrze pomyślany ruch. Część ich sił trzymaną była na niższym tarasie góry, utrzymując ciągły ogień ku szczytowi wzgórza; druga zaś część, podzielona na drobne komendy, posuwać się miała ku szczytowi po spadzistościach zbocza. Był to niby atak tyralierów, osłonionych przez artylerję. Ogień Burów na zbyt wielką odległość w górę nie wyrządzał wielkiej szkody jej obrońcom, ale zasłaniał ruch drapiących się po skale partyi tyralierów, którzy już od rana po stromych górach posuwali się pracowicie w górę. Z powodu budowy tych ścian, większa część owej drogi była zakrytą dla strzelających z góry.

Ruch ten trwał kilka godzin. Anglicy nie domyślali się celu owej strzelaniny, ani blizkiego niebezpieczeństwa. Dopiero, gdy jakaś garstka owych młodych Burów, dowlókłszy się do szczytowego niby parapetu, na którym stała placówka angielska, ukazała się niespodzianie i dała salwę, popłoch się zrobił pomiędzy Anglikami. Ukazanie się nieprzyjacielskich tyralierów tam, gdzie ich się nie spodziewano, bo zdawało się, że miejsce jest niedostępne, od razu zdemoralizowało atakowanych. Nigdy może tak nie wykazano prawdy zdania, wyrzeczonego przez Napoleona, że na wojnie efekt moralny jest wszystkim. Owych tyralierów atakujących bezpośrednio była garstka, atakowanych było sześciuset żołnierzy angielskich, nietkniętych jeszcze. Mogli-by owych kilkudziesięciu tyralierów rękami zrzucić na dół, gdyby im przyszło do głowy pójść na bagnety. Ale psychiczna chwila minęła, zginęło poczucie pomiędzy oficerami i żołnierzami, a kule Burów zaczęły szerzyć śmierć. Zrazu objawiło się zamieszanie, następnie zachwianie, wreszcie panika. W kilka minut cała owa siła uciekała stokiem góry, ginąc od strzałów nieprzyjacielskich. Generał Colley i kapitan Rimilly, który marynarzami dowodził, zabici. Siedmiu innych oficerów podzieliło ich los. Piętnastu zostało ranionych lub wziętych do niewoli. Ogół strat 230 zabitych i rannych i 59 wziętych.

Ta klęska zakończyła wojnę. W kilka dni później Sir Ewelyn Wood, który objął dowództwo, otrzymał rozkaz zawarcia pokoju, który stał się większą plamą dla wojennej czci angielskiej, aniżeli nieszczęsną bitwą na Mayuba Hill. Dla Burów przeciwnie, ta bitwa pod Mayubą była początkiem, jutrzezną historyczną, dobrze zaczętej doby. Jeden z pisarzy angielskich, podając historię tej wojny i tej bitwy, takie o nich wypowiada zdanie:

„Czy będą gotowi wracać do boju, straciwszy dwie piąte swoich towarzyszy w bitwie, jak to nasi żołnierze zrobili w bitwie pod Ingogo, wątpić wolno. Odwaga ich i męstwo prawdopodobnie, jak ich germańskich przodków, jest flegmatyczna, uparta i stanowczo zacięta, prawie bez przymieszki celtyckiej rzutności, lub skandynawskiej gwałtowności. Pamiętać jednak zawsze potrzeba, że Hollendrzy, gdy się naprawdę rozgrzeją, gdy ich rzeczywiście porywa poczucie niesprawiedliwości albo przekonanie, że ich wolność i prawo są zagrożone, zawsze walczyli z niezachwianą stanowczością. Przekonali się o tem dotkliwie hiszpańscy generałowie w XVI wieku i angielscy admirałowie w XVII wieku. Są to w każdym razie i dziś nieprzyjaciele, których lekceważyć nie wolno.“

## VIII.

Bitwa pod Mayubą w dniu 27 lutego 1881 roku pociągnęła za sobą konwencyę z Wielką Brytanią, zawartą 3 sierpnia tegoż roku. Konwencya ta w angielskich aktach nosi dziwny tytuł: „Konwencya dla organizacyi terytoryum Transwaalu“ (Convention for the settlement of Transvaal territory). Wstęp do niej tak brzmi:

„Kommissarze Jej K. Mości dla organizacyi terytoryum Transwaalu, należnie wyznaczeni w tym celu przez kommissyę królewską z dnia 5 kwietnia 1881 roku, nadają i poręczają w imieniu Jej K. Mości od dnia 8 sierpnia 1881 roku rząd autonomiczny zupełny (complete selfgovernment), z zastrzeżeniem władzy zwierzchniej Jej K. Mości i Jej następców i spadkobierców, mieszkańcom terytoryum Transwaalu w granicach danych, pod warunkami i zastrzeżeniami następującemi“.

Konwencya ta nie usuwa konstytucyi, nadanej sobie przez Transwaal w 1858 roku, ale ją w wielu punktach zmienia i poprawia. Przewszystkiem zmienia stosunek Transwaalu do Wielkiej Brytanii,

której przyznaje tylko protektorat, wykonywany przez rezydenta brytańskiego w kraju, posiadającym zupełną autonomię wewnętrzną. Konwencya obok tego stara się wprowadzić postanowienia, nie tylko na korzyść swoich krajowców, ale i opiekujące się *czarnymi tubylcami*. Konstytucya bowiem z 1858 r., pomimo charakteru najzupełniej demokratycznego, nie tylko odmawiała prawie wszelkich rękojmi tubylczym krajowcom, ale odbierała wszelką wolność religijną członkom innych wyznań chrześcijańskich, jedynie tylko wyznanie hollendersko-reformowane za państwowe i prawne uznając. Artykuł czwarty stawiał zasadę, że nie może być nigdy zaprowadzone porównanie ani w państwie, ani w Kościele, pomiędzy białymi a murzynami, czy kolorowymi. Artykuł dwudziesty pierwszy obejmował bezwarunkowy zakaz wyznania katolickiego, a nawet jakiegobądź wyznania protestanckiego, które by w zasadniczych punktach nie zgadzało się ściśle z Kościołem panującym. Należenia do tego Kościoła panującego wymaga też ustawa, jako niezbędnej kwalifikacyi do piastowania jakiego bądź urzędu. Otóż artykuły 13 i 16 konwencyi z 1881 wprowadzają pewne odstępstwa od tych zakazów, Rezydent angielski szczególnie był obowiązany opiekować się tubylczymi krajowcami.

Jakkolwiek ta konwencya, zawierająca tylko 33 artykuły, jest krótka, brak nam miejsca na jej wydrukowanie. Ograniczyć się musimy tylko do artykułu 18, wyliczającego obowiązki i prawa rezydenta wielkobrytańskiego. 1-o) Spełniać obowiązki i funkcye podobne tym, jakie posiadają sprawujący interesa i konsulowie generalni. 2-o) Co do krajowców, tubylców państwa, Transwaal obowiązany będzie: a) składać raporta kommissarzowi najwyższemu (High Commissioner, gubernator kolonii przylądka), jako przedstawicielowi władzy zwierzchniczej (souzerain) o stosowaniu i wykonywaniu rozporządzeń niniejszej konwencyi;—b) zdawać sprawę władzom Transwaalu o wszelkiem pokrzywdzeniu tubylców, albo wszelkich skłanianiach ich do buntu, o ile te do jego wiadomości dojdą;—c) używać swego wpływu na tubylców na korzyść prawa i porządku;—d) i wogóle spełniać wszelkie obowiązki urzędu, jakie mu nadaje konwencya, i robić zabiegi potrzebne dla opieki nad osobami i własnością tubylców w sposób zgodny z prawami kraju.

3-o) Co do tubylców nie mieszkających na terytoryum Transwaalu: a) będzie obowiązany uwiadamiać kommissarza najwyższego i rząd Transwaalu o wszelkim wiadomym mu zaborze ziemi, dokonany przez mieszkańców Transwaalu. W razie zaś sporu pomiędzy rządem Transwaalu a rezydentem brytańskim, co do kwestyi, czy był zabor, władza zwierzchnicza spór rozstrzygnie;—b) Rezydent brytański będzie



pośrednikiem w stosunkach z naczelnikami plemion krajowych, osiadłych poza granicami Traswaalu. Do tego też należy kontrola traktatów, z tymiż naczelnikami zawartych, z zastrzeżeniem zatwierdzenia ze strony najwyższego kommissarza, przedstawiciela władzy zwierzchniczej.

4-o) Co do stosunków z państwami zagranicznymi rząd Transwaalu będzie korrespondował z rządem Jej Kr. Mości za pośrednictwem rezydenta brytańskiego i najwyższego kommissarza.

Dla scharakteryzowania wpływu, jaki sobie W. Brytania zastrzegła w Transwaalu, można-by jeszcze kilka artykułów przytoczyć, ale musimy poprzestać na wzmiance, że artykuł 1-szy zastrzegał dla krajowców tuziemców swobodne krążenie po kraju lub wydalanie się z niego, czy to dla szukania pracy, czy to dla innego powodu prawnego. Artykuł 13 upoważniał tychże tuziemców do kupowania posiadłości ziemskich lub dziedziczenia. Artykuł 15 poręczał zupełną wolność religijną. Wszelkie wyznanie korzystać będzie z jednakowej opieki, nikt nie będzie mógł zostać dotknięty niezdolnością posiadania z powodu swej opinii religijnej.

Wogółekonwencya ta, uznająca tak wyraźnie władzę zwierzchnią W. Brytanii, która tak opiekuńczo występuje w obronie słabych, pokrzywdzonych, przeciw oligarchicznym uroszczeniom pewnej klasy ludności, przywłaszczającej sobie monopol rządzenia i zarządzania krajem z tytułu swego pochodzenia i języka, obiecywała zapewnienie spokojnego i pomysłnego, a normalnego rozwoju Rpltej Transwaalu, zupełnie zresztą swobodnej. Trwała jednak za krótko, a właściwie nigdy sumiennie przez rząd i oligarchię ziemską Transwaalu wykonywaną nie była. Tu, jak nas uczą dokumenta angielskie z tej epoki i o tej epoce, działacze zaczynają wpływy niemieckie. Nim jeszcze wyżej cytowana konwencya została podpisana, p. Krüger zaczął szukać pomocy Niemiec przeciw Anglii. Są dowody, a przynajmniej poszlaki, że jeszcze przed angielską aneksją Transwaalu w r. 1877 już tam myślano o przymierzu z Niemcami, które już wtenczas zaczęły myśleć o zostaniu kolonialnem państwem. Większość Burów zadowoloną była z konwencyi londyńskiej (1881); mniejszość szemrała, podburzana przez zagranicznych przybyszów. Już w 1883 p. Krüger jeździł do Anglii, starając się przeprowadzić usunięcie protektoratu. Ówczesne zamiary księcia Bismarcka robienia dla Niemiec nabytków w środkowej i południowej Afryce są znaue. W kwietniu 1883 p. Lüderitz wylądował w Angra Paquena, a w maju rozwinięto tam flagę niemiecką. W czerwcu p. Krüger zwró-

cił się do najwyższego kommissarza zawiadomieniem o zamiarze wyjazdu do Londynu deputacyi Burów dla przejrzenia z rządem królowej konwencyi z 1881 r. W kilka miesięcy później p. Krüger w ministerjum londyńskim projektował zupełną niezależność Transwaalu i rozszerzenie zachodnich granic Rzpltej do Kalahari, gdzie spotkano-by pionierów p. Lüderitza. Te propozycye nie tylko położyły-by koniec wielkobrytańskiej hegemonii w południowej Afryce, ale zamknęły-by jej drogę w pochodzie na północ do dzisiejszej Rodezyi, Ugandy i dalej. Lord Derby, ówczesny minister spraw zagranicznych, propozycye odrzucił, zgodził się jednak na konwencyę, podpisaną w lutym 1884 roku, w której o supremacyi Wielkiej Brytanii niema wzmianki.

Ten rok 1884 był ważnym w życiu Afryki południowej. Wystąpiły na jaw zabiegi ks. Bismarcka koło czarnego lądu. W tym roku odbyła się w Berlinie konferencya, na której chytry kanclerz niemiecki potrafił uorganizować coś nakształt koalicyi europejskiej przeciw Wielkiej Brytanii. Czy prezydent Krüger miał udział w tej koalicyi? Pewnego nic niema, ale fakta i daty świadczą dość wymownie. Wracając z Londynu, prezydent Krüger wstąpił do Berlina i był przyjęty z wielką serdecznością, tak przez starego cesarza, jak przez księcia Bismarcka. W miesiąc po jego przyjeździe do Pretoryi, zachodnia granica została zaniepokojoną przez zagony Burów, zabierające ziemię osłaniającą drogę północną. W tymże czasie inny najazd na wschód dotarł do morza, utworzył nową Rzeczpospolitą w krainie Zulu i wszedł w układy z Niemcami, co do wspólnego zajęcia zatoki St. Lucia. Ministerjum londyńskie zachowywało się obojętnie. Dopiero wystąpienie p. Forstera i p. Chamberlaina zbudziły je z tej ospałości. Sir Karol Warren został wysłany z dość znaczną siłą dla wyparcia Burów z kraju Beczuanów, a w zatoce St. Lucia zatknęto flagę angielską. Obie te czynności wywołały protesty ze strony Niemców. Co do kraju Beczuanów, nawet książę Bismarck był, jak się wyraża publicysta angielski, tak „bezczelnym“, iż twierdził, że Beczuani są naturalnym krajem tylnym (Hinterland) dla Angrapaqueny.

## XIII.

Przez dwa lata nie słydzano o nowych intrygach niemieckich, później zaś nie było dla nich miejsca. Przez te dwa lata Rzeczpospolita miała ciężkie kłopoty ze swemi na pół zbankrutowanemi finansami. W roku 1886 ogłoszono o odkryciu pokładów złotodajnych i otwarciu kopalni na Witwatersrand. Zaczęła się wędrówka ludów do nowego Eldorado. Rzeczpospolita pozbyła się kłopotów finansowych, stała się bogatą. Ale z bogactwem przyszły nowe kłopoty i niebezpieczeństwa. Powstały miasta, a właściwie jedno miasto, Johannesburg. Wytworzyła się nowa kasta ludzi. Przybysze z najrozmaitszych krajów, pracujący przy kopalniach i na kopalniach zarabiający, wprowadzali żywioł nowy, w stosunku do dotychczasowej oligarchii ziemskiej prawie rewolucyjny, a potężny, bo bogaty, bo ruchliwy, bo kierowany przez ludzi ukształconych, a przytem liczny. Są to owi tak zwani Uitlanders (obcokrajowcy), którzy nie chcą być obdzieranymi i krzywdzonymi przez krajowców dawnych, domagają się dla siebie porównania praw, naturalizacyi, obywatelstwa w kraju, który swą pracą i inteligencyą z bogacają. Prawda, że w tej napływowej zbieraniu mętów jest wiele, ale na ogół żądania ich są słuszne, nienczcziwe zaś wyjątki można za pomocą prawa ograniczyć, albo wyłączyć. „Gdyby prezydent Krüger był rzeczywistym mężem stanu—pisze angielski publicysta, znany dobrze pod pseudonimem Diplomaticus—byłby zrozumiał, że zwierzchność Anglii jest rzeczą nieuniknioną; gdyby zaś troskliwie pracował nad autonomiczną pomyślnością swego kraju i dla pokoju południowej Afryki, byłby przedsięwziął i przeprowadził środki stopniowej assymilacyi co lepszych żywiołów między nowymi przybyszami. Tymczasem działał on całkiem przeciwnie, w duchu nieprzyjaźni i reakcyi. Zdawało-by się, że tych nowo przybywających uważa, jako zakładników, wydanych dla wymuszenia całkowitej niezależności Rzeczypospolitej, wyzwolenia jej z pod zwierzchniego stanowiska Wielkiej Brytanii“.

Dowody, jakie Diplomaticus dla poparcia swego twierdzenia przytacza, pominąć musimy, jako zbyt obszerne. Zaznaczymy tylko, że w 1889 prawo o naturalizacyi po pięciu latach pobytu w kraju zostało samowolnie cofnięte, a obywatelstwo ograniczone tylko do Burów,

w państwie zrodzonych. Nastąpiły nowe targi z występującą ostrzej Anglią, a w 1894 wychodźcy zwrócili się do królowej Wiktorji z prośbą o opiekę. Rząd angielski wysłał lorda Loch z missją do Pretoryi. Prezydent Krüger zaczął targi od stawienia warunku takiego (całkowita zmiana konwencji londyńskiej), że lord Loch stanowczo musiał warunek ten odrzucić. Położenie stało się tak groźnem, iż obawiano się powstania w Johannesburgu, co pociągnęło-by za sobą wojnę. Wreszcie p. Krüger zrobił ustępstwo pozorne, ale prześladowanie wychodźców zwłaszcza Anglików, zwiększyło się. Na odezwy lorda Ripona w kwestyi prawa wyborczego nie odpowiedziano nawet. Petycye wychodźców w tym samym przedmiocie Wolksradd przyjmował wymyslaniem i szyderstwem. Zarazem podwyższano podatki, na wychodźców nakładane, urzędy państwowe oddawano świeżo przybyłym Hollendrom i Niemcom, Anglikom zaś odmawiano nawet w sądach przysięgłych sędziów, do tej narodowości należących. W szkołach też publicznych zabroniono języka angielskiego. W 1895 nastąpił najazd Jamesona i wzburzenie w Johannesburgu tak silne, iż groziło uwikłaniem całej Afryki południowej w wojnę ras. Wprawdzie umiejętne rozporządzenie generała Jouberta od razu położyło koniec napaści Jamesona, grozą zaś stłumiło faktyczne objawy wzburzenia; ale uspokojenie było tylko powierzchowne.

Wówczas p. Chamberlain znowu podał rękę dla załatwienia sporu. Zaprosił prezydenta Krügera do Anglii dla wspólnego rozpatrzenia stosunków. Zachęcony poparciem niemieckiem (słynny list Wilhelma II do rządu transwaalskiego), licząc na sympatyje Hollendrów w koloniach angielskich, na zrobienie sprawy Uiltanderów nienawistną przez zamach Jamesona, Krüger dał odpowiedź i śmiałą, i stanowczą. Zażądał a) usunięcia konwencji londyńskiej wraz z artykułem czwartym, b) zawarcia traktatu pokoju i handlu na podstawie najbardziej faworyzowanego narodu, c) wcielenia kraju Swazi i d) dostępu do morza. Warunki te odrzucono. P. Chamberlain, widząc jasno, co się święci, wystąpił z dowodzeniem, że Anglia ma prawo mieszania się do spraw wewnętrznych Transwaalu.

Odtąd zaczęły się ze strony Burów przygotowania do wojny, gromadzenie zapasów broni, a mianowicie dział, kupowanych w Niemczech. Przez rok 1896 Anglia przycichła, przez ten rok także gromadząc siły, ale innego rodzaju. Awantura Jamesona wskazała, że przedewszystkiem trzeba usunąć pierwiastek niemiecki z kwestyi transwaalskiej. To zadanie nie należało do wydziału p. Chamberlaina, nie można też było przeprowadzić go za pomocą gwałtownej i pośpiesznej dyplomacyi. Przedewszystkiem trzeba było usunąć rozgoryczenie, panujące między Londynem a Berlinem; następnie należało wyczeki-

wać chwili przyjaźnej. Lord Salisbury pracował nad tem, a kwestya chińska nie mało mu pomogła. P. Chamberlain popierał pierwszego ministra strzelistemi dowodzeniami konieczności przymierza z Niemcami. W roku zeszłym znalazła się upragniona sposobność pojednania się z Niemcami. Kłopoty Portugalii spowodowały rokowania w Londynie, których przedmiotem były ostateczne rozporządzenia tego państwa swemi posiadłościami na zachodnim i wschodnim brzegu Afryki. Zawiadomiono o tej sprawie Berlin i tajna konwencya anglo-niemiecka została ułożoną. Tym sposobem angielsko-afrykański interes uwolniony został od niemieckich w nim wystąpień.

To, co było niemożliwem w r. 1898, stało się teraz możebnem. W Pretoryi nic o tej kombinacyi nie wiedziano. Dopiero w październiku rozeszły się o konwencyi anglo-niemieckiej głuche wieści. Natychmiast rozkazano p. Leyds, pełnomocnikowi rządu transwaalskiego, udać się do Berlina i Lizbony, dowiedzieć się prawdy. Co mu powiedziano, niewiadomo; prawdopodobnie jednak nic takiego, coby mogło przestraszyć prezydenta Krügera, albowiem w Transwaalu polityka prześladowania nie tylko nie osłabła, ale się wzmogła. Wydano nowe rozporządzenia przeciw językowi angielskiemu w szkołach Randu (kraj wielkich kopalni złota). Wydano prawo, krępujące dzienniki, oraz nowe rozporządzenia o wydalaniu cudzoziemców i ograniczeniu immigracyi. Wszystkie te prawa i postanowienia sprzeciwiają się konwencyi londyńskiej. Jednocześnie ponawiały się ciągle próby pogwałcenia artykułu IV, dzienniki Uitlanderów samowolnie zawieszano, tworzono bardzo uciążliwe mouopole, nie zważano nawet na wyroki sądu najwyższego, jeżeli były przychylnie dla Uitlanderów. To wyzywające prześladowcze postępowanie doszło do takiego stopnia, że w końcu roku zeszłego agent rządu angielskiego w Pretoryi, p. Conyngham Greene, wprost oskarżał władzę wykonawczą Transwaalu, „że trzyma się polityki nieustającego drażnienia rządu królowej.“

W roku bieżącym rozpoczęły się na nowo dyplomatyczne, bardzo nieszczerze, targi. Prezydent Krüger zdawał się przeczuwać niebezpieczeństwo, na które się jednak potężnie przygotował, ale targi prowadził, może szukając rady, albo raczej pomocy, w Berlinie, gdzie mu podobno generałowie pozasłużbowi wypracowali plan wojny zaczepnej. Zamieniano mnóstwo depesz, w których nieraz odzywał się dźwięk groźby, i które, o ile drażniły interesowanych, o tyle mogły być nudne dla postronnych. Za każdą z nich jednak słabła nadzieja utrzymania pokoju. W pierwszych dniach października rząd transwaalski swoim ultymatum koniec wątpliwościom położył. Rozpoczęła się wojna, w której Burowie są stroną zaczepną, wojna bardzo krwawa, przeważ-

nie, jak dotąd, dla strony wyzywającej pomyślna, która jednak taką energię, zgodność, rozwój sił wojennych, a nawet zapal w W. Brytanii i w jej najważniejszych koloniach wywołała, jakich się może nie spodziewano w Pretoryi! Na brzegach Oranii rozgrywa się prawdopodobnie ważniejsza stawka, aniżeli istnienie małej hollendersko-afrykańskiej Rzeczypospolitej.

JÓZEF KENIG.

---

# KRONIKA GALICYJSKA.

---

Przez pierwszą połowę r. 1889 sprawa oszustw i sprzeniewierzeń, popełnionych w galicyjskiej kasie oszczędności, oraz akcja, celem ratowania tej instytucji podjęta, stały ciągle w pierwszym rzędzie spraw zajmujących naszą publiczność. Z niezmiernem zajęciem, choć zarazem z bólem i pewnem upokorzeniem, śledzono coraz nowe odkrycia w tej smutnej sprawie, która tyle przyniosła nam szkody w naszych zewnętrznych stosunkach, a niemniej zajmowano się stopniowem usmierzeniem się popłochu, jaki objawił się w tłumnem odbieraniu pieniędzy z kasy, następnie zaś reorganizacją zarządu kasy i zwolna postępującem uregulowaniem jej stosunków. Ostatecznym kulminacyjnym punktem w zainteresowaniu się publiczności miał być proces karny, wytoczony Zimie, Szczepanowskiemu i towarzyszym, w którym dopiero cały obraz nadużyć, od tylu lat systematycznie popełnianych, spodziewano się ujrzeć, a to tem bardziej, że ze względu na śledztwo karne prokuratorya nie dozwoliła ogłosić w dziennikach sprawozdania nowego wydziału kasy oszczędności, które zawierało już te same niemal szczegóły, co akt oskarżenia, a odczytane było na walnem zgromadzeniu

kasy. Oczekiwano też, że Zima przy rozprawie karnej poczyni dalsze zeznania, które wyświecą jeszcze lepiej, na co użyte zostały tak olbrzymie summy. Śmierć Zimy zniszczyła tę nadzieję, o ile dziś sądzić można, nieuzasadnioną, i zmniejszyła bardzo interes szerokiej publiczności w tym procesie. Pozostał Wędrychowski, powolny wykonawca i pomocnik nadużyć Zimy, który za tę pomoc otrzymał, ze szkodą kasy, korzyści finansowe, jakich potrzebował na opędzenie znacznych wydatków swej rodziny; dalej Karpiński, faktor przy wyrabianiu pożyczek u wszechwładnego dyrektora, a zarazem lichwiarz, i Furmanowa, kochanka Zimy, której proces o fałszywe zeznanie przed sędzią śledczym w sprawie Zimy zupełnie niepotrzebnie połączono ze sprawą główną. Ci wszyscy nie budzą większego interesu, jedynie Szczepanowski, któremu tak bardzo nie do twarzy w tej kompanii, zasługuje polityczną przeszłością swoją, jako filar stronnictwa liberalnego w Galicyi i jako wybitny poseł do rady państwa, na żywszy interes, niż go obecnie obudza.

Jaki będzie wynik tego procesu, który w chwili, gdy to piszę, już zaczyna mieć się ku końcowi, nie podobna dziś powiedzieć, gdyż na lawę przysięgłych wpływają, jak wiadomo, nie same tylko pobudki prawnej natury, a wszyscy podsądni, korzystając ze śmierci głównego obwinionego, na niego winę składają. Jeżeli Wędrychowski tłómaczy się, że działał pod przymusem ze strony Zimy, to wobec jego obowiązków, jako buchhaltera kasy, i wobec korzyści, jakie ciągnął ze zbrodniczego współnictwa, nie można przypuszczać, żeby to tłómaczenie znalazło wiarę u sędziów. Natomiast, co do Szczepanowskiego, powszechne jest muiemanie, że nie chciwość, lecz ambicya wytworzenia w kraju potężnego przemysłu, kierowała nim, kiedy zakładał swoje przedsiębiorstwa górnicze i w tym celu nadużywał poza wszelkie granice kredytu w kasie oszczędności, a muiemanie to znajduje potwierdzenie w tem, że Szczepanowski we wszystkich tranzakcyach był zawsze skłonnym do ustępstw na swoją niekorzyść, że wszystkim ufał, a przez wielu z ludzi, którym powierzał swe interesa, był haniebnie okradany. Owo zdanie o pobudkach działalności Szczepanowskiego usposabia poważną część opinii publicznej do więcej pobłażliwego oceniania czynów człowieka, w którym przyzwyczajono się widzieć przez szereg lat znakomitóść parlamentarną, otaczaną szacunkiem osobistym także ze strony przeciwników. Przychylne to usposobienie opinii publicznej wyzyskuje skwapliwie i zręcznie na rzecz uwolnienia Szczepanowskiego poczytny dziennik, wychodzący we Lwowie, którego Szczepanowski był współzałożycielem i wydawcą, ten sam dziennik, który zbyt szerokiemu kredytowi swoich założycieli



w kasie oszczędności zawdzięcza podstawę swego rozwoju. Skutkiem agitacji i owego pobłażliwego usposobienia opinii publicznej, która dla owej agitacji stwarza grunt podatny, skutkiem wreszcie wiadomej okoliczności, że Szczepanowski jest chory na serce, uwolnienie jego przez sąd przysięgłych jest bardzo możliwe.

Należę do tych, którzy podzielają powszechne zdanie co do pobudek działalności Szczepanowskiego i z tego powodu skłonni są łagodniej oceniać jego winy i przemawiać za jak najniższym wymiarem kary, usprawiedliwionym zresztą także ze względu na zdrowie jego. Jednakże muszę powiedzieć, że intencja i cele nie uświęcają nigdy środków, że nie można uniewinnić tego, który, znając zbyt niepomyślny stan swój majątkowy i wiedząc, że nie ma skąd oddać, mimo toczył ciągle dalej z funduszów, składanych przez najuboższe warstwy społeczeństwa, i naraził na straty instytucję krajową, a pośrednio ludzi, składających w niej swe fundusze. Nie można uniewinnić tego, który, znając rozpaczliwy stan swoich interesów, skorzystał ze zbrodniczego przyzwolenia dyrektora i wyjął z kasy oszczędności papiery wartościowe, służące za podstawę dla rachunku bieżącego, a przez to pozbawił kasę ostatniej ręką zwrotu choć cząstki pożyczonych z niej pieniędzy. Tak samo, jak winnym jest kupiec, lub inny przedsiębiorca, który jest niewypłacalnym, a mimo to coraz dalej pożyczka, tak samo winnym jest i Szczepanowski, który też czuł się winnym, skoro nawspół z Zimą ukrywał część swoich długów w kontaktach, pod obcemi nazwiskami otwieranych, i współudział w innych manipulacjach, mających na celu ukrycie istotnego stanu rzeczy. Od winy nie mogą tu uwolnić ani dalsze cele, jakie sobie obwiniony stawiał, ani jego wybitne stanowisko w życiu politycznym, gdyż kodeks karny takich względów nie zna, a przeciwnie musimy wymagać tem skrupulatniejszego przestrzegania zasad etycznych od ludzi zajmujących wybitne w społeczeństwie stanowisko, zwłaszcza, jeżeli, jak właśnie Szczepanowski, niejednokrotnie w mowie i piśmie występowali w roli apostołów moralności.

Szczepanowski sam w dotychczasowym zachowaniu się w toku procesu przedstawił się gorzej, niż się spodziewano. Oczekiwano powszechnie, że pokaże się fanatykiem idei rozwoju przemysłu krajowego, który, ufny w swoją wiedzę i pracę i w początkowe powodzenie, nadużył kredytu, chętnie mu ofiarowanego, w przekonaniu, że włożony kapitał wnet się wróci sownie, a który następnie, skutkiem zbytniego optymizmu i zbiegu niefortunnych wydarzeń, popadł w fatalne położenie finansowe, z którego chciał się ratować środkami prawnie niedozwolonymi, w nadziei, że wybrnie i szkodę naprawi. Tymczasem Szczepanowski przedstawił się w zeznaniach własnych i zeznaniach świadków,

jako człowiek niezdolny do wprowadzenia w czyn myśli rozwoju przemysłowego, którą tak pięknie głosił w słowie i piśmie, jako człowiek nie umiejący wcale prowadzić własnych interesów, nie liczący się ze środkami i marnujący grosz niepotrzebnie, ufający każdemu i dający się oszukiwać, nie kontrolujący swoich oficjalistów i wyzyskiwany skutkiem tego najhানiebniej. Nadto wystąpił Szczepanowski w świetle jeszcze bardziej niekorzystnem, gdy wezwany do wyjaśnienia, dla czego obecnie tłómaczy się inaczej, niż w śledztwie, zeznał, iż w śledztwie zeznawał fałszywie na podstawie porozumienia się z Zimą, i że w tym celu, aby mógł tak zeznawać, chciał od początku być przesłuchanym przez sędziego śledczego, nie w charakterze świadka (który jest odpowiedzialnym za nieprawdziwe zeznanie), lecz w charakterze obwinionego.

Położenie galicyjskiej kasy pod nowym zarządem stopniowo ciągle się poprawia. Zwykle czynności kasy rozwijają się normalnie, a szanse pokrywania szkód, wyrządzonych kasie przez Szczepanowskiego i Zimą, wzrastają, dzięki dobremu gospodarstwu w kopalniach pp. Wolskiego i Odrzywolskiego, które ci panowie oddali w zarząd kasy, celem pokrycia długów własnych i Szczepanowskiego. Do pomyslnego rezultatu przyczyniają się jeszcze okoliczności, od zarządu niezależne: podwyższenie cła wchodowego od nafty, które podniosło jej cenę w kraju, a następnie obfitość nafty w nowych szybach. Okazuje się teraz, jak trafnie postąpił wydział nowy kasy oszczędności, wstrzymując się ze sprzedażą kopalń. Podczas, gdy poprzednio oferty nabywców nie dochodziły do trzech milionów, obecnie mówią już o czterech milionach, a nadto zwiększony dochód kopalni otwiera widoki na możliwość umorzenia wierzytelności kasy oszczędności w ciągu lat kilku bez potrzeby uciekania się do sprzedaży. W tym ostatnim wypadku pp. Wolski i Odrzywolski odzyskali-by swoją własność, czego im z serca życzyć należy, raz ze względu na ich szlachetne i pełne poświęcenia zachowanie się wobec kasy i wobec Szczepanowskiego, a następnie ze względu na to, aby największe dziś w kraju przedsiębiorstwo kopalniane pozostało w rękach polskich. Gdyby się natomiast tak układały stosunki, żeby zarząd kasy musiał przystąpić do sprzedaży, było-by nadzwyczaj pożądanem, żeby mogła się utworzyć spółka krajowa dla nabycia tych kopalń. Zarząd kasy oszczędności będzie zapewne pamiętał o tem, że intencji sejmu, który przyjął gwarancję za kapitał wkładkowy, odpowie najlepiej, jeśli potrafi bez szkody dla kasy utrzymać owe kopalnie w ręku krajowców.

Proces w sprawie nadużyć w kasie oszczędności będzie miał swój epilog w procesie dalszym przeciw trzem urzędnikom, przesłu-

chywanym obecnie w charakterze świadków, którzy pomagali Zimie i korzystali przy tej sposobności sami. Ten proces jednak, którego zarysy przedstawiają się już w toku sprawy obecnej, nie będzie budził ogólniejszego interesu.

Niejednokrotnie wyrażono u nas obawę, że finansowa katastrofa Szczepanowskiego przytłumi w naszym kraju na czas dłuższy chęć zakładania nowych przedsiębiorstw przemysłowych i górniczych i odroczy wykonanie tej części programu ekonomicznego, jaką dla wszystkich zajmujących się sprawami publicznymi stanowi rozwój przemysłu, na zdrowych podstawach opartego, który-by mógł wyżywić zbyt gęstą, jak na kraj rolniczy, ludność, i zmniejszyć wychodztwo do krajów zamorskich. Owe obawy są, mojem zdaniem, całkiem płonne. Wszyscy wiedzą dziś, że Szczepanowski upadł nie dla tego, żeby nie mógł przezwyciężyć zewnętrznych trudności, z którymi, jako pionier przemysłu, musiał się łamać, lecz dla tego, że interesów swoich nie doglądał, nie kontrolował, dawał się oszukiwać, a przytem wkładał wielkie sumy w kopalnie węgla brunatnego, które dawno już znawcy uznali za niemogące się opłacać z powodu zbyt niskiego pokładu. Przykład Szczepanowskiego jest tylko jednym dowodem więcej, jeśli wogóle dowodów na to potrzeba, że przedsiębiorstwo przemysłowe wymaga dostatecznego kapitału własnego, wiedzy fachowej lub technicznej, jak i kupieckiej, a wreszcie pracy i pilnowania. Gdzie te warunki u nas się znajdują, tam znajduje się i powodzenie, jak świadczą przykłady przedsiębiorstw, rozwijających się pomyślnie, niestety, zbyt często obcych. I tak np. upadały u nas zakładane przez swoich i obcych cukrownie i utrzymywano już, że niema w kraju dostatecznych warunków powodzenia cukrowniczego, a tymczasem obecnie, dzięki wytrwałym usiłowaniom ks. Andrzeja Lubomirskiego i umiejętnemu kierownictwu, wielka cukrownia w Przeworsku rozwija się nader pomyślnie, uzupełniła się przez dobudowanie rafinerii i jest prawdziwym dobrodziejstwem dla całej okolicy. Znawcy stosunków naszych zgadzają się w tem, że jest u nas jeszcze pole dla pomyślnego rozwoju trzech lub czterech cukrowni. Tak samo i fabryka maszyn i wagonów w Sanoku, należąca do spółki akcyjnej z krajowców złożonej, znajduje się w pomyślnym rozwoju. To samo da się powiedzieć o wielkich dwóch fabrykach papieru w Czerlanach i Sasowie i o liczbie dość znacznej innych, większych i mniejszych, przedsiębiorstw przemysłowych. Prawda, że położenie handlowo-geograficzne Galicyi jest niekorzystne, i że konkurencya z wysoko rozwiniętym przemysłem Czech i innych krajów austriackich jest trudna dla Galicyi, nie mogącej się bronić ani cłem wchodowem, ani odpowiednimi taryfami kolejowemi. Mimo to, jak przykłady uczą,

rozwój przemysłu jest w kraju możliwym w tych gałęziach, które znajdują na miejscu pomyślne warunki w materiale surowym i w tanioci robotnika.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu przybył jeden bardzo cenny warunek rozwoju przemysłu krajowego, którego dawniej nie było, przynajmniej nie było w tak znacznym stopniu. Oto wzrosła w tym czasie bardzo znacznie konsumpcya szerokich warstw naszego społeczeństwa, fakt nie dający się zaprzeczyć, bo stwierdza go wzrost dowozu przedmiotów konsumpcyi masowej do kraju i wzrost ciągły sklepów i sklepików, które zaopatrują ludność w te przedmioty. Ów ciągły wzrost konsumpcyi w szerokich warstwach naszego społeczeństwa, wzrost, który nie popiera bynajmniej żalów na zubożenie warstw niższych ludności wiejskiej i miejskiej, świadczy wymownie o zwiększaniu się potrzeb cywilizacyjnych, o postępie cywilizacyi wśród ludu, a to tem bardziej, że odnosi się, jak to poniżej zaznaczę, jeszcze także do potrzeb umysłowych. W owym wzroście konsumpcyi daną jest podstawa dla produkcji przemysłowej, podstawa pewna, bo nie odbiera jej ani polityka cłowa państw obcych, ani też nie zniszczą jej zmiany w taryfach kolejowych. Wewnętrzna konsumpcya Galicyi jest już dziś w stanie utrzymać pewną liczbę zakładów produkcyjnych, obliczonych wyłącznie lub też przeważnie na tę konsumpcyę, którą dzisiaj zaspakajają fabryki wiedeńskie, czeskie, morawskie lub szląskie. Żeby dać jeden tylko przykład konsumpcyi zbytkowej, a bardzo rozpowszechnionej, nadmienię tutaj, że roczna konsumpcya cukierków w Galicyi obliczona jest co najmniej na cztery miliony złr., a sam zwiadzając sklepiki wiejskie w zachodniej Galicyi, miałem sposobność przekonać się, jak wielki jest odbyt na ten artykuł i jak dalece każdy sklepik, liczący się z miejscową klientelą, musi być zaopatrzonym w różne gatunki tego towaru. Mamy też w Galicyi już kilka fabryk cukierków, jednakże dopiero w ostatnich czasach jedna z nich dała podstawę do założenia, przy pomocy pożyczki z funduszu krajowego, fabryki syropu kartoflanego, która pozwoli rozwinąć fabrykacyę cukierków samodzielnie i na większą skalę, zatem z większą korzyścią. Dotychczas Galicya jest najbardziej pożądanem polem zbytu dla produkcji Czech, Morawii, Szląska i Austrii dolnej, gdyż jest to odbiorca potulny i niewybredny, lichym towarem zadawalniający się. Refakcye kolejowe i cła zapewniają owym krajom targ galicyjski wobec konkurencyi zagranicznej, lecz skoro-by w Galicyi samej powstały zakłady przemysłowe, skierowane ku zaspokojeniu konsumpcyi krajowej, konsumpcya ta w krótkim czasie musiała-by zwrócić się ku nim. W ostatnich czasach związki kartelowe fabryk austriackich, podnosząc ceny rozmaitych

wyrobów swoich na targu galicyjskim, i to czasem wyżej jeszcze, niż to czynią dla innych krajów (jeden z przykładów wyzyskiwania Galicji), naprowadzają nas same na myśl założenia własnej produkcji tych wyrobów. Tak poruszoną została myśl założenia fabryki worków z juty, których Galicja potrzebuje rocznie blisko dwa miliony, wobec podniesienia przez związek kartelowy fabryk austriackich ceny worka o 3 centy.

W społeczeństwie naszym przekonanie o potrzebie i możliwości rozwoju produkcji przemysłowej coraz bardziej się rozszerza i utrwała, a młodzież zwraca się coraz liczniej ku zawodom technicznym, jak świadczą wymownie tegoroczne zapisy na politechnikę lwowską oraz wzrastająca ciągle frekwencja szkół realnych. Jednak w przedsiębiorstwach przemysłowych powodzenie zawisło w równej, a nieraz nawet w większej mierze, od kalkulacji kupieckiej, od handlowej strony kierownictwa, a ta u nas zwykła szwankować i psuć powodzenie tam, gdzie kierownictwo techniczne odpowiada wymaganiom. Ludzi z wyższym kupieckim wykształceniem i takimże doświadczeniem nie mamy w kraju a bardzo ich nam teraz potrzeba, i można powiedzieć śmiało, że tacy ludzie mają u nas zapewnioną bardzo pomyślną przyszłość. Brak takich ludzi u nas jest przyczyną, dla której nie prosperują oddziały handlowe w naszych bankach, i przyczyną, dla której nie mogą powstać lub rozwinąć się różne przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, które wszyscy uznają za bardzo pożądane i które zdają się rokować wszelkie powodzenie. Na razie, póki otwarta świeżo publiczna szkoła handlowa we Lwowie nie podniesie poziomu naszego wykształcenia kupieckiego, musimy zasilać się z zewnątrz takimi pracownikami, przyczem oczywiście bardziej są nam pożądani Polacy, niż Niemcy, lub inni cudzoziemcy.

Warunki zewnętrzne rozwoju przemysłu, mianowicie cła i taryfy kolejowe, będą mogły w niezbyt już długim czasie ulegnąć zmianie przy sposobności odnowienia traktatów handlowych ze znaczną częścią państw obcych w r. 1903. Za przykładem Niemiec, które w tym celu zebrały i zestawily bardzo szczegółową statystykę swojej produkcji rolniczej, leśnej, przemysłowej i górniczej, austriackie ministerya handlu i rolnictwa, wspierane przez radę rolniczą i przemysłową, zajmują się obecnie także szczegółowem badaniem stosunków produkcji i obdytu w każdej gałęzi gospodarczej, a ministeryum rolnictwa wydało właśnie, przy pomocy centralnej kommissyi statystycznej w Wiedniu, bardzo piękną a obszerną pracę pod tytułem „Das Getreide in den Culturstaaten“, która przedstawia produkcję zboża i handlu zbożem w państwach cywilizowanych w szeregu lat ostatnich. Niebawem bę-

dą i w naszym kraju rozesłane do znaczniejszej ilości producentów i kupców arkusze z pytaniami o stosunki reprezentowanych przez nich gałęzi, a to za pośrednictwem towarzystw rolniczych i izb handlowych z zapewnieniem ścisłej dyskrecyi, co do zeznanych szczegółów. Zebrany materiał będzie uzupełniony datami, czerpanemi z innych źródeł, i posłuży do obrony interesów ekonomicznych krajów austriackich wobec Węgier i wobec zagranicy, obrony, która tym razem zapewne będzie lepiej zorganizowaną, niż w czasie rokowań o traktaty z r. 1892, kiedy przez niewiadomość stosunków własnej produkcji popełniono cały szereg ciężkich błędów. Mamy nadzieję, że ci, którym przypadnie zadanie wyświecenia stosunków naszego kraju przy sposobności rzeczonych badań, nie zaniedbają skorzystać z nich, celem przygotowania obrony specjalnych interesów krajowego rolnictwa i przemysłu.

Dla obrony interesów galicyjskiego rolnictwa i przemysłu nadzwyczaj wielkie ma znaczenie ciągła ewidencya taryf kolejowych, tak wewnętrznych, jak i zagranicznych, wiadomo bowiem, jak ważną część kosztów własnych każdego przedsiębiorstwa oraz przedsiębiorstw konkurencyjnych stanowią koszta przewozu. W uznaniu owego znaczenia sejm krajowy od szeregu lat żądał, aby Wydział krajowy utworzył osobne biuro ewidencji taryf kolejowych, które miało-by zadanie udzielać informacyi o stosunkach taryfowych i wykazywać, jakich zmian w taryfach należało-by się domagać w interesie kraju. Do utworzenia takiego biura, które zrazu zamierzono połączyć z biurem dla kolei lokalnych, dotąd nie przyszło, z powodu trudności w znalezieniu osobistości odpowiedniej; jednakże w najbliższym czasie urządzenie to wejdzie w życie i będzie nieść pomoc, nie tylko wydziałowi krajowemu, lecz także towarzystwom rolniczym i izmom handlowym. Niesłychanie skomplikowany system taryf kolejowych austriackich niezbędnie wymaga takiego urządzenia, a to tem bardziej, że przy ocenianiu położenia krajowego rolnictwa i przemysłu nie podobna ograniczyć się do znajomości taryf austriackich, lecz trzeba brać zawsze pod uwagę taryfy węgierskie i zagraniczne, które decydują o możliwości konkurowania rolnictwa i przemysłu krajowego nie tylko na obcych, ale i na własnych krajowych targach.

Namiestnik Galicyi hr. Leon Piniński z początkiem października powrócił do Lwowa po dłuższym pobycie za granicą i objął rządy kraju. Trzeba przyznać, że dotychczasowe jego urzędowanie odbywało się wśród niezwykłych, anormalnych warunków. Zaraz na wstępie swoich rządów trafił na rozruchy przeciw żydom w zachodniej części kraju, których uśmierzenie, a zarazem wyśledzenie winnych i oddanie ich w ręce sądów wymagało całej energii i wytężonej pracy naczelnej władzy administracyjnej. Zaledwie po paru miesiącach nastąpiło uspokojenie umysłów w powiatach, które były widownią owych rozruchów, i mógł być zniesiony stan wyjątkowy w zachodniej części, kiedy z końcem roku ubiegłego wydarzyła się katastrofa w kasie oszczędności, wyjawiająca dawno popełnione nadużycia. Sprawa ta znowu musiała zająć całą uwagę Namiestnika z pominięciem spraw innych, jako najnaglesza, a doniosłością swoją usuwająca na drugi plan inne zadania. Następnie, skoro połączonym usiłowaniami sejmu i marszałka oraz rządu krajowego udało się sprawę kasy oszczędności wprowadzić na drogę stopniowej sanacji stosunków tego zakładu przez reorganizację zarządu, porękę kraju i dostarczenie potrzebnych na razie funduszków, a Namiestnik mógł już się oddać czynnościom właściwym administracji krajowej, nawiedziła go uporczywa choroba gardła, która nie pozwoliła mu zwiedzać kraju, powierzonego jego zarządowi, i przekonywać się osobiście o stosunkach i potrzebach poszczególnych okolic, ani nawet stykać się we Lwowie ze zgłaszającymi się do niego interesantami ze wszystkich stron kraju. Później musiał Namiestnik wyjechać na paromiesięczną kurację za granicę tak, że od wczesnej wiosny, aż do niedawna, bądź wcale nie urzędował osobiście, bądź sprawował rządy jedynie z biura swego bez możności zetknięcia się z publicznością.

W naszym kraju osobiste kierownictwo sprawami administracji rządowej ze strony Namiestnika, bezustanny nadzór nad urzędowaniem władz podrzędnych i ciągła styczność jego z ludnością i jej potrzebami, są więcej niż gdzieindziej konieczne i to szczególnie w obecnym czasie. To też w kraju z radością powitano powrót Namiestnika i oczekują, że obecnie z całym zapałem odda się sprawom administracyjnym i, poznawszy braki dzisiejszej organizacji rządowej, weźmie inicjatywę w jej naprawie. Od roku 1867, kiedy ś. p. hr. Gołuchowski (ojciec) wprowadził w Galicyi dzisiejszą organizację władz dla

administracji rządowej, organizacja ta, zaprowadzona następnie w innych krajach austriackich ustawą z dnia 18 maja 1868, pozostała w głównych zarysach tą samą. Wówczas wydzielono z zakresu władz rządowych sprawy policyi miejskiej i majątkowego zarządu gmin i oddano je nowo urządzonym, wychodzącym z wyboru, radom i zwierzchnościom gminnym; zarząd majątkowy powiatów, sprawy drogowe i nadzór nad zarządem gminnym oddano utworzonym wtenczas reprezentacyom powiatowym, również wychodzącym z wyboru, a ze względu na umniejszenie zajęć władz rządowych, jakie stąd wynikło, zmniejszono z 170 na 74 liczbę powiatów administracyjnych, nazwanych oddziałami starostwami, i zmniejszono też odpowiednio liczbę urzędników ze znaczną dla skarbu oszczędnością. Od tego czasu przez lat 32 ustawodawstwo państwowe i krajowe przysparzało co rok nowych czynności rządowych władzom administracyjnym, każda bowiem niemal nowa ustawa wykonanie zawartych w niej przepisów poruczała tym władzom. Ustawy wodne, nowe ustawy przemysłowe, liczne ustawy sanitarne, ustawy o ubezpieczeniach robotniczych w razie choroby i nieszczęśliwych wypadków, nowe ustawy o służbie w wojsku, obronie krajowej i pospolitem ruszeniu, nowe, kilkakrotnie zmieniane ustawy szkolne, sprawy dzierżaw propinacyjnych i cały długi szereg ustaw pomniejszych następowały po sobie z licznym orszakiem rozporządzeń wykonawczych i instrukcyi, tak, że urzędnik administracyjny znalazł się wobec rosnącego ciągle w nadzwyczajny sposób zakresu czynności, które mu nakładano, a absorbowany wymaganiami bieżącej służby, nie miał nawet czasu obznajomić się dostatecznie z temi nowemi przepisami, a tem mniej był w stanie każdy z nich w życie wprowadzać i czuwać ściśle nad poruczonymi jego pieczy interesami publicznymi. Nie mogąc wszystkiemu podołać, wybierał to, czego władze wyższe z największym domagały się naciskiem, karząc za zaniechanie, zatem sprawy podatkowe i wojskowe oraz wybory do ciał administracyjnych, i te przede wszystkim załatwiał, a resztę dopiero wtedy, gdy po tamtych sprawach czasu i sił starczyło. Wynikały stąd zwłoki i niedokładności w załatwianiu bardzo ważnych spraw, dotyczących zwłaszcza ekonomicznego rozwoju powiatów, liczne skargi stron na zaniechanie spraw dla nich żywotnych, a o inicjatywie starostów na tem polu zaledwie wyjątkowo kiedy mogła być mowa.

Nie tylko jednak ilość czynników władz administracyjnych niższych, a w dalszem następstwie i wyższych, uległy znacznej zmianie i to w kierunku powiększenia. Także jakość tych czynności zmieniała się bardzo znacznie w ciągu ostatnich lat trzydziestu. Wymagania, jakim działalność urzędnika administracyjnego powinna odpowiadać, są



dział bez porównania wyższe, niż dawniej. Podczas, gdy dawniej urzędowanie odbywało się przeważnie w drodze piśmiennej, dziś coraz znaczniejsza część czynności urzędowych odbywa się ustnie, co wymaga większej znajomości przepisów, więcej przytomności i taktu ze strony urzędnika, który reprezentuje władzę. Mianowicie odnosi się to do interwencji na posiedzeniach stowarzyszeń i na zgromadzeniach ludowych, których niegdyś było bardzo mało i tylko w większych miastach, a które obecnie odbywają się w znacznej części po miasteczkach, a nawet po wsiach. Kontrola administracji przez trybunał administracyjny i kontrola sprawowana przez trybunał państwa, obie z innych względów bardzo pożądane, zwiększyły obowiązki władz i uczyniły je trudniejszymi, a wreszcie rozwój dziennikarstwa wszelkich odcieni, mianowicie rozwój znaczny prasy prowincjonalnej, przysporzył czynności władzom.

Pomimo znacznego wzrostu obowiązków władz administracyjnych i zwiększenia wymagań pod względem jakości służby, liczba urzędników administracyjnych w Galicyi od lat trzydziestu pozostała niemal tą samą aż do ostatnich czasów, a nawet poniekąd zmniejszyła się wskutek tego, że młodzież kończąca wydział prawny stroniła od gałęzi służby, coraz cięższej i odpowiedzialniejszej, często przykrej i niepopularnej, a nieprzedstawiającej dosyć widoków awansu w porównaniu mianowicie ze sądownictwem, służbą o wiele spokojniejszą i usuniętą od walk politycznych. Nadto odstręczało wielu zapatrywanie, nie jednym przykładem uzasadnione, że w tej gałęzi służby stosunki rodzinne, protekcyjne, o wiele więcej pomagają do awansu, niż rzeczywiste zdolności i dowody pracy. Krótko mówiąc, jest niezaprzeczoną fakt, że rządowa maszyna administracyjna taka, jaka jest dziś w Galicyi, nie odpowiada zwiększonym pod względem ilości i jakości wymaganiom, a przybytek sił nowych wykazuje niedostateczny. Nowy namiestnik w ciągu krótkiego czasu swoich rządów miał sposobność przekonać się o tych brakach i postarał się o zaradzenie im w pewnej części, wprowadzając w życie pomnożenie liczby starostw, postanowione jeszcze za jego poprzedników, a następnie wyjednał pomnożenie liczby urzędników namiestnictwa. Pozostaje jednak część druga zadania, tj. poprawienie jakości sił urzędniczych, zadanie, którego spełnienie wymaga czasu, gdyż nie może ono nastąpić inaczej, jak przez staranny dobór i należyte wyćwiczenie sił świeżo wstępujących do służby administracyjnej przez usuwanie sił nieodpowiednich, które dotąd nieraz ze szkodą interesów publicznych w służbie cierpiano, wreszcie przez ciągły nadzór i częste a niespodziane wizytacje ze strony delegatów władzy krajowej. Bez tej drugiej części zadania, sa-

mo pomnożenie urzędów i urzędników nie poprawi administracji rządowej.

Skoro mowa o brakach administracji rządowej w Galicyi i potrzebie jej poprawy, trzeba wyznać, że i samorządna administracja państwowa wiele pozostawia do życzenia i mniej odpowiada obecnym potrzebom i wymaganiom, niż odpowiadała przed trzydziestu laty ówczesnym stosunkom. Wówczas praca bezpłatna, honorowa, we władzach publicznych, wychodzących z wyboru, była nie tylko zaszczytem i zadowoleniem ambicyi, ale obudzała interes, jako nowość, do której wielkie przywiązywano nadzieje, nie zdając sobie na razie sprawy z organicznych braków urzędu, jakim jest reprezentacja powiatowa, złożona z żywiołów ochotniczych, nie mogących poświęcić całego swego czasu urzędowi, a przytem nie posiadająca samoistnej egzekutywy. W miarę, jak wzrastały regularne czynności urzędowe, fachowej wiedzy i rutyny wymagające, w miarę, jak nowe ustawy i jak polecenia wydziału krajowego obarczały wydziały powiatowe coraz dalszemi sprawozdaniami, wykazami, sprawami kasowemi itp., punkt ciężkości w urzędowaniu przenosił się od członków rady i wydziału, wysłanych z wyboru, na płatny personel kancelaryjny, który stawał się nieraz wszechwładnym, tem bardziej, że nie był dostatecznie kontrolowanym. Dziś w wielu powiatach, zwłaszcza tych, w których niema miast większych i liczniejszego obywatelstwa ziemskiego, brak dostatecznych sił do należytego obsadzenia miejsc w wydziałach powiatowych, wielu bowiem usuwa się od ciężkich obowiązków honorowych, połączonych z odpowiedzialnością, a pociągających za sobą zaniedbanie własnych interesów gospodarczych. Przytem dualizm władz administracyjnych, to jest istnienie obok siebie hierarchii władz rządowych i równoległej hierarchii władz samorządnych, pociąga za sobą ociążałość administracji publicznej, częste wątpliwości co do kompetencyi, a do pewnego stopnia także znaczniejsze koszta. Uczuwano to u nas jeszcze w r. 1875, kiedy późniejszy minister Dunajewski wystąpił ze swoim zarysem organizacyi władz administracyjnych, w którym doniosłość władz miała być ustalona nietylko w powiecie, ale i w kraju przez połączenie wydziału krajowego z namiestnictwem. Warunkiem uchylenia dualizmu była jednak, według projektu Dunajewskiego, odpowiedzialność rządu krajowego przed sejmem za załatwianie spraw, wchodzących dziś w zakres wydziału krajowego. Kiedy następnie w roku 1881 ministerium hr. Taaffego poruszyło w kwestyonaryuszu, wystosowanym do sejmów, myśl „ograniczenia podwójnej administracyi“ w ten sposób, żeby starosta stanął na czele wydziału powiatowego, zatem tylko przy pierwszej instancyi, natenczas sejm galicyjski, wobec scięra-

jących się w nim przeciwnych prądów, nie dał stanowczego oświadczenia, jednakże z dyskusji ówczesnej wynika, że brak odpowiedzialności starosty rządowego za czynności wydziału powiatowego, którego byłby przełożonym, stanowił główny zarzut przeciw propozycji rządowej, zawartej w kwestyonaryuszu. Możliwość wprowadzenia takiej ograniczonej odpowiedzialności starosty wykazał Dunajewski w mowie, którą miał w radzie państwa, jako poseł przed r. 1880. Dzisiaj coraz liczniejsze głosy z różnych okolic kraju wzywają znowu do poważnego zastanowienia się nad tem, czy i pod jakimi warunkami należało-by dążyć do zniesienia dualizmu przynajmniej powiatowego. Mojem zdaniem, dla stosunków galicyjskich najodpowiedniejszą była-by organizacja władz powiatowych, zbliżona do pruskiej, w której na czele powiatu stoi landrat, urzędnik, który ma przy boku wydział powiatowy, wybrany przez sejmik powiatowy. W oznaczonych ustawą sprawach, tak samorządnej, jak i rządowej administracji, decyduje wydział powiatowy pod przewodnictwem landrata, do którego należy wykonanie uchwał, kontrola zaś nad samorządną administracją powiatu i uchwalanie potrzebnych funduszy należy do zgromadzenia (sejmiku) powiatowego. W ten sposób w merytorycznej decyzji mają stanowczy udział żywioły samorządne i toż samo do nich należą zasadnicze uchwały co do gospodarki powiatu, wykonanie zaś skoncentrowane jest w ręku fachowego, stałego urzędnika. Trudności tej doniosłej reformy leżą, tak jak w wielu innych sprawach galicyjskich, w podzielonej pomiędzy sejmem a radą państwa kompetencji ustawodawczej, skutkiem czego oba ciała ustawodawcze musiały-by zgodzić się na reformę tego rodzaju.

---

Niepewność stosunków politycznych w Austrii, od trzech lat ciągle trwająca, oddziaływała nader niepomysłnie i na nasze stosunki krajowe. Najpierw osłabia ona zaufanie w trwałość każdego istniejącego rządu i w obliczalność przyszłej polityki rządowej, a nawet zarządzeń administracyjnych bez jakiegokolwiek charakteru politycznego, następnie zaś sprawia, że rząd sam wstrzymuje się od jakichkolwiek planów i zarządzeń na dalszą przyszłość, a załatwia jedynie sprawy bieżące. Taki stan rzeczy paraliżuje wszelkie ważniejsze czynniki administra-

cyi rządowej, które wymagają z góry obmyślonego planu i wydatków na szereg lat rozłożonych, a równocześnie sprowadza także zastój we wszystkich tych pracach wydziału krajowego, które, jak nowe roboty melioracyjne i regulacyjne, jak nowe szkoły rolnicze i przemysłowe, zależą od finansowej pomocy skarbu państwa. Jaskrawym przykładem nieporządków, jakie pociąga za sobą chwiejność stosunków politycznych, jest fakt, że przy uniwersytecie krakowskim z początkiem roku szkolnego nie mogły być otwarte kliniki, z powodu, że ministerium nie zaasygnowało w porę potrzebnych funduszków. W zakresie finansów kredytowych Galicyi, i tożsamo innych krajów austriackich, owa niepewność stosunków politycznych i zmiany w kierownictwie ministerium skarbu sprowadzają największe kłopoty, gdyż kraje nie mogą się doczekać kwot, należących się im wskutek zrzeczenia się prawa nakładania dodatków do podatku dochodowego, oraz kwot, przyrzeczonych z powodu podwyższenia podatku od spirytusu. Tymczasem we wszystkich krajach wydatki na oświatę ludową, na komunikacje, na budowy wodne i melioracje, na szpitale i inne instytucje pożytku publicznego ciągle rosną, a zarazem obciążenie ludności dodatkami krajowymi do podatków bezpośrednich (w Galicyi 60 wględnie 66% od każde reńskiego podatków) zniewala do obmyślenia innych źródeł przychodu.

W szczególności na polu administracyi szkolnej, tj. szkół ludowych publicznych, wzrost wydatków jest w Galicyi prawdziwie imponującym. Mam przed sobą nieogłoszone dotąd zestawienie wydatków na publiczne szkoły ludowe w Galicyi w r. 1897, zatem jeszcze przed ostatniem podwyższeniem płac nauczycielskich, i wyjmuję z niego najważniejsze daty summaryczne. Otóż według tego zestawienia wynosiły zwyczajne wydatki rzeczowe (uajem lokalu, utrzymanie go, obsługa, opał itp.) w całym kraju 914,242 złr., z czego fundusz szkolny krajowy ponosi 23,338 złr., a resztę miejscowi interesanci, tj. gminy i obszary dworskie. Nadzwyczajne wydatki rzeczowe (budowy i przebudowy szkół) wyniosły w r. 1897 334,270 złr., z czego na fundusz krajowy przypada 73,559 złr., a reszta na gminy i obszary dworskie. Wydatki rzeczowe wynosiły tedy ogółem, zwyczajne i nadzwyczajne, 1,248,512 złr. Wydatki osobiste, to jest płace i inne pobory nauczycieli i nauczycielek wynosiły w r. 1897 4,202,252 złr., z których fundusze miejscowe, tj. gminy, obszary dworskie i powiaty, poniosły 1,084,853 złr. a fundusz szkolny krajowy dopłacił 3,117,498 złr. Dodawszy do tego 454,015 złr. wydatków, poczynionych na szkolnictwo ludowe publiczne bezpośrednio z funduszu szkolnego krajowego, w czem główną część, bo 282,852 złr., stanowi dopłata do funduszu emerytalnego, otrzymujemy ogólną summę rocznych wydatków na publiczne szkolnictwo ludowe

5,805,778 złr., zatem blisko sześć milionów! Obecnie ta poważna summa jest już znacznie przekroczoną, albowiem podwyższenie płac nauczycieli podniosło ją o 400,000 złr. rocznie. a nadto normalny roczny wzrost budżetu szkolnego krajowego, wskutek otwierania nowych klas i nowych szkół, wynosi 180,000 złr. Jak daleko jesteśmy już od 1874, w którym na płace nauczycieli wydawano tylko 424,271 złr., zatem dziesiątą część tego, co w r. 1897. Nie potrzeba jednak dla ocenienia postępu wydatków na cele szkolne sięgać wstecz tak daleko, gdyż w r. 1893, zatem cztery lata wcześniej, wydatki na płace nauczycieli ludowych w Galicyi wynosiły 3,986,480 złr., zatem mniej o 1,215,771 złr., niż w r. 1897. Podniesienie wydatku na same płace nauczycieli o przeszło 1,200,000 złr. w ciągu lat czterech, to przecież wymowne świadectwo, jakie znaczenie kraj, stosunkowo ubogi, przywiązuje do oświaty elementarnej. Dzięki też tak znacznej ofiarności społeczeństwa, rada szkolna była w możności obsadzenia w tym roku wielkiej liczby szkół, dotąd nieczynnych, a napływ uczniów do seminariów nauczycielskich zwiększył się do tego stopnia, że niema obawy jakiegokolwiek o brak sił nauczycielskich w przyszłości. Z drugiej strony zaznaczyć należy, że tej jesieni także zapisy do gimnazyów i szkół realnych wykazały przyrost o 1,500 uczniów.

---

*P. S.* Wyrok w sprawie o oszustwo i sprzeniewierzenia w galicyjskiej kasie oszczędności zapadł. Wszyscy podsądni uwolnieni zostali od winy. W nadziei że tych słów kilka dojdzie do Warszawy, jeszcze przed wydaniem numeru listopadowego „Biblioteki“ dorzucam parę uwag dla nacechownia wrażenia, jakie sprawiło tak niespodziewane zakończenie procesu. Wrażenie to, mianowicie, że względu na uwolnienie Wędrychowskiego, jest wprost przygnębiające. Wystąpiło ono w telegramie prezydenta sądu apellacyjnego d-ra Tchórznickiego do ministra sprawiedliwości, w którym prezydent wyraził się, iż uwolnienie nastąpiło „ku przerażeniu wszystkich uczciwych ludzi“. Ujemne wrażenie występuje także w licznych artykułach dzienników naszych i dyskusjach na różnych zebraniach towarzyskich. Wiadomo tutaj, że na pytanie, dotyczące Wędrychowskiego, padło osiem głosów potwierdzających winę, zatem Wędrychowski był już skazany, lecz przed

wyściem zwierzchnika przysięgłych z sali narad jeden z przysięgłych, ulegając namowie trzech kolegów cofnął swój głos, czego właściwie zwierzchnik nie powinien był dozwolić. Do uniewinnienia podsądnych przyczynił się też niepomiernie prokurator, biernem zachowaniem się w toku procesu, niezręcznym plaidoyer i zrzeczeniem się repliki. W każdym razie jedna to klęska więcej taki rezultat procesu, klęska. tem przykrejsza, bo moralna.

## U.

---

# Pierwotne rozmiary społeczeństwa.

---

## III.

Prawo przyrostu ludności podczas okresu dzikości. Rozmiary dzieciobójstwa u Australczyków. „Zweikinder-system“ stanowi wielką zasadę w życiu ludów pierwotnych. Wzrost zaludnienia na wyższych szczeblach kultury.

Z całą stanowczością możemy twierdzić, iż każdy okres rozwoju społecznego posiada właściwe sobie prawo wzrostu zaludnienia. Naturalnie, niepodobna go odbudować w sposób apriorystyczny, bo tylko głęboka znajomość faktów może nam dostarczyć wskazówek, niezbędnych dla odcyfrowania zasad rozmnażania się ludzkości w pewnej epoce.

Jakiem jest więc to prawo wzrostu liczebności społecznej podczas fazy dzikości?

Z pewną obawą podnosimy to pytanie, tak trudną jest jako tako dokładna odpowiedź.

Trudności te pochodzą z wielu powodów.

Naprzód nasza znajomość dzikiego okresu kultury pod tym względem jest bądź co bądź niedostateczna, ażebyśmy śmieli zbyt ufać nawet własnym co do tego wywodom. Sceptycyzm nasz posuwa się tak daleko, iż podajemy poniżej przytoczone cyfry, a tembardziej wy-

prorowadzone z nich wnioski, z jak największem zastrzeżeniem. Powtórze, nie powinniśmy i o tem zapominać, iż najazd europejski zmienił prastare warunki bytu dzikich szczepów: zmniejszył ich płodność, tj. oddziałał nawet na ich działalność fizyologiczną, odebrał im źródła utrzymania, przetrzebił liczbę plemieńców i nawet wzbudził w nich postanowienie zejścia ze świata bez potomków, którzy nie będą przecież posiadali ani piędzi wolnej ziemi. Już przed laty pięćdziesięciu ktoś pisał, na podstawie własnych spostrzeżeń, iż w okolicach Melbourne dzicy odbierają życie wszystkim dzieciom natychmiast po przyjściu na świat, mówiąc w zepsutej angielszczyźnie; „no country—no good, it have picaninies!“ tj. nie będą rodzili dzieci, bo te nie będą miały żadnego kawałka ziemi <sup>1)</sup>. Może z tego źródła także pochodzi w pewnej mierze tak rozpowszechniony zwyczaj sztucznego poronienia u niektórych plemion Australskich <sup>2)</sup>, sprawiający, iż bardzo niewiele dzieci przychodzi na świat. Są to wszystko stosunki nienormalne, obce w takim napięciu wcześniejszemu okresowi istnienia ludów dzikich. Liczby więc, jeśli są wiarogodne, często mogą charakteryzować tylko chwilę obecną—zanikania szczepów pierwotnych, i z wielką ostrożnością należy traktować wszelki taki materiał statystyczny, dotyczący zmian ludności, o ile pragniemy z niego wyciągnąć wnioski, ogarniające nie tylko teraźniejszość, ale także i przeszłość.

Za punkt wyjścia weźmiemy znowu tubylców Nowej Hollandyi. Są oni i lepiej zbadani, i rozmiary lądu, jaki zamieszkują, sprzyjały tu i owdzie zachowaniu się dawnych stosunków aż do ostatnich czasów.

Dzieciobójstwo stanowiło główną zasadę bytu społecznego Australczyków. Istniało ono przed przybyciem Europejczyków, chociaż nie posiadało tak olbrzymich rozmiarów, jak dzisiaj. Co do starożytności zwyczaju, mamy pod ręką liczne świadectwa, wyraźnie zaznaczające, iż dzieciobójstwo istniało przed najazdem europejskim, iż było znane „od czasów niepamiętnych“, iż jest zwyczajem „starej daty“ <sup>3)</sup>. O jego powszechności na lądzie kopalnym daje pojęcie ta okoliczność, iż w liczbie przeszło 50 wzmianek o zwyczaju usuwania niemowląt,

1) „Remarks on the probable Origin and Antiquity of the Aborigines of N. S. Wales, by a colonial Magistrate“ Melbourne, 1846 r., str. 19. Por. Curr II, 474, 330 i t. d. o wzroście dzieciobójstwa z przybyciem białych.

2) Curr np., I. c., II, 182/3.

3) Patrz u E. Curra I. c., I, 343, 396; II, 37, 322, 427; III, 164.



jakie zebraliśmy, spotkaliśmy tylko cztery, iż mordowanie dzieci nie est znane (E. Curr dodaje do paru z nich uwagę, iż spostrzeżenie to wymaga dalszego potwierdzenia, tak nieprawdopodobną wydała mu się a informacya <sup>1)</sup>).

Liczne przyczyny sprzyjają dzieciobójstwu.

W okresie dzikości hodowla zwierząt, które-by dostarczały mleka zamiast pokarmu matczynego, ani uprawa roślin nie istnieją, niema więc pożywienia, które zdołało-by zastąpić niemowlęciu piersi matki. Karmienie jest długie, trwa ono lat trzy i więcej, ojciec Salvado wspomina o latach czterech i nawet powiada, iż nieraz sześćioletnie dziecko podbiega ku matce, ażeby na chwilę wziąć do ust jej piersi <sup>2)</sup>. W takich warunkach niema miejsca na drugie dziecko, póki pierwsze nie zostanie odchowane. „Jeśli matka miewa dzieci w zbyt szybkim następstwie... to niemowlę bywa zabijane... Na swe niewinność kobiety powiadają, iż nie mogą karmić i pielęgnować jednocześnie dwojga dzieci, mężczyźni zaś umywają ręce, oświadczając, że nigdy nie są obecni przy morderstwie“ <sup>3)</sup>. „Tubylec z plemienia Arunta nie zawaha się zamordować niemowlęcia, jeśli starsze potrzebuje pokarmu matczynego“ <sup>4)</sup>. Nadto nie zapominajmy, iż w bycie koczowniczym matka musi na własnym grzbiecie nosić niemowlę i nawet paroletnie dziecko, zanim nie nabierze ono sił do towarzyszenia gromadzie w jej ciągłej wędrówce. I znowu ta okoliczność każe poświęcać dziecko, które przyszło nie w porę, tj. kiedy poprzednie wymaga takiej pomocy. Z tych powodów, niemowlę, którego matka odumrze, bywa wraz z nią chowane <sup>5)</sup>; dla tego samego jedno z bliźniąt, a nawet oboje, bywają także poświęcone (przyczem w ostatnim przypadku działają jeszcze pewne przesady) <sup>6)</sup>. I kaleki są usuwane dla tych samych powodów—zwyczaj spotykany w klasycznej Grecyi i nawet w Rosyji <sup>7)</sup> przed Piotrem Wielkim, który go zniósł. W związku z tą pobudką

<sup>1)</sup> E. Curr, l. c., I, 298; III, 18, 252, „*Jour. of Antr. Inst.*“, XXIV, 180.

<sup>2)</sup> Salvado, l. c., 311, Baldwin Spencer i F. J. Gillen, l. c., 264; W. Wyatt u Woods'a, l. c., 162, 187.

<sup>3)</sup> C. W. Schurman u Woods'a „*The Native Tribes of S. Austr.*“, 223/4.

<sup>4)</sup> B. Spencer i F. J. Gillen, l. c., 264, także 51. Nie cytujemy innych źródeł, zbyt licznych.

<sup>5)</sup> E. Curr, I, 352.

<sup>6)</sup> B. Spencer i F. J. Gillen, l. c., 52.

<sup>7)</sup> Petri „*Antropologia*“, Petersburg, 1890, I, 131.

znajduje się obyczaj mordowania pierworodnego dziecka. Zdarzało się, iż kobiety dziewięcioletnie zostawały już żonami, mając zaś lat 12/14, były matkami. Potomstwo, zrodzone w tak wczesnym wieku, musiało odznaczać się wątłą budową, i doświadczenie wiekowe wskazało, iż nie należy pozostawiać takich niemowląt przy życiu <sup>1)</sup>. W niektórych dzielnicach N. Południowej Walii przesąd nakazywał plemieniu spożyć każde pierworodne dziecko. Naturalnie, tam, gdzie moralność plemienna toleruje dzieciobójstwo w takich rozmiarach, zdarzać się także musiało, iż dziecko traciło życie wskutek złego humoru matki, np. gdy za nadto wrzeszczało, gdy trzeba było szybko związać obóz, wykarmić psiaki itd. <sup>2)</sup>

Próbowałem ująć materiał, dotyczący rozmiarów dzieciobójstwa u Australczyków, w formy statystyczne.

Już Eyre <sup>3)</sup> powołując się na urzędnika służby tubylczej, Moorhooze'a, zaznaczył, iż Australka przeciętnie miewa pięcioro dzieci, dziewięcioro zaś jest największą liczbą znaną, ale matka wychowywa tylko dwoje, choroby i zabójstwo usuwają resztę. Oberländerowi pokazywano kobietę, króra zamordowała 10—11 dzieci, zresztą już pod wpływem najazdu białych <sup>4)</sup>.

W plemieniu Dyjarów mordowano 30% wszystkich niemowląt, przychodzących na świat. Dzieci pierworodne były nieuniknienie skazane na śmierć. Zabijano wszystkie słabe i chore niemowlęta. Niektóre kobiety przyznawały się Gasonowi, iż usunęły ze świata dwoje i nawet czworo własnych dzieci. <sup>5)</sup>

O innym plemieniu E. Curr pisze: „Wobec powszechnego stosowania dzieciobójstwa trudno powiedzieć, ile dzieci pojedyncza kobieta wydaje na świat. Przeciętna liczba porodów nie przekracza pięciu. W pewnym specjalnym przypadku, który zbadałem, istniał 16 letni

<sup>1)</sup> Na 6 wypadków, w których podaną została wiadomość o pierworodnych, znajdujemy cztery wyraźnie mówiące, iż pierworodne dziecko jest zabijane, Brough Smyth l. c., I, str. XXI; II, str. 311); Curr, II, 46 (Gason); II, 182 („stary zwyczaj“); dwa zaś, twierdzące, iż niema specjalnego zwyczaju. J. A. J., XXIV, 192, 177. Dane pochodzą z różnych plemion.

<sup>2)</sup> E. Curr, l. c., I, 376, J. Mann w „Proc. of the Geogr. S. of Australia“, N. S. Walesa. „Victoria Branches“, tom I, 58.

<sup>3)</sup> L. c., II, 378.

<sup>4)</sup> Globus IV, 278.

<sup>5)</sup> Gason u Curra, l. c., II, 46.

<sup>6)</sup> E. Curr, l. c., III, 164 (plemię Kabi).

przeciąg czasu pomiędzy wydaniem na świat najstarszego i najmłodszego dziecka. Matki usuwają dzieci, ażeby nie ponosić trudu karmienia ich. Niektóre z nich bez ogródki przyznawały się, iż zamordowały kilkoro dzieci. Zwyczaj ten posiada wszelkie pozory starożytności“.

U Narrinyjerów <sup>1)</sup> „z ręki matek ginęła połowa dzieci“. Taplin, jako misyonarz, przebywał czas dłuższy w tem plemienu; znał kilka matek, które zamordowały po dwoje i troje dzieci. Zabijano każde niemowlę, które urodziło się, zanim poprzednie zostało odchowane, robiono to samo z kalekami i bliźniętami, oraz z dziećmi zrodzonymi przez dziewczynę przed zamążpójściem. O pewnem innem plemienu z tej samej dzielnicy czytamy: „zabijają oni dzieci słabowite, niekształtne lub nieprawe, a nadto dzieci kobiety, która już ma dwoje potomstwa. Żadnej matce nie wolno mieć więcej nad dwoje dzieci“ <sup>2)</sup>.

Plemiona, zamieszkujące okolice portu Darwina i zachodnie wybrzeża zatoki Carpenteria, mordują dzieci po urodzeniu, jeśli matka posiada więcej niż troje lub czworo potomstwa, usprawiedliwiając swoje postępowanie tem, iż zbyt wielka liczba dzieci utrudnia rodzicom przechodzenie z miejsca na miejsce <sup>3)</sup>.

Jasną jest rzeczą, iż dzieciobójstwo, praktykowane w takich rozmiarach, musi jak najjemniej oddziaływać na wzrost zaludnienia. Wielu autorów, którzy mieli okazję poznać Australczyków bezpośrednio, nie waha się ani chwili w tym zwyczaju widzieć przyczynę małej liczebności tubylców lądu nowo-hollenderskiego. Uwaga ich dotyczy obecnych czasów, ale niema wątpliwości, iż sprawiając dzisiaj zmniejszenie się liczby tuziemców, ongi, w przeszłości, powstrzymywał on wzrost zaludnienia. Wogóle pojedyncze stadło małżeńskie pozostawiało po sobie niewiele potomstwa. Liczby wyznaczyć dokładnie niepodobna, bo zresztą prawdopodobnie wahała się ona w poszczególnych punktach lądu. Zebraliśmy przecież garstkę danych statystycznych co do ilości wychowanego lub miewanego potomstwa. Z faktów tych okazuje się, iż Australki odznaczają się płodnością. Spostrzeżenia, dotyczące przeciętnej liczby urodzonych dzieci, podają ją na 4—8 <sup>4)</sup>. inne, przytaczające liczbę dzieci, które miała ta lub owa pojedyncza

<sup>1)</sup> Taplin, l. c. 11.

<sup>2)</sup> H. E. A. Meyer u Woods'a, l. c., 186.

<sup>3)</sup> Foelsche w „Journ. of Anthr. Inst.“ XXIV, 192.

<sup>4)</sup> Curr III, 164 (4/5 dzieci); Eyre II, 378 (5 dzieci), Curr II, 37 (8 dzieci).

kobieta, mówią o 9—13<sup>1)</sup>. Zebraliśmy 15 świadectw co do ilości wychowywanego potomstwa<sup>2)</sup>. Dwa z nich poprzestają na wzmiance, iż rodzice posiadają mało dzieci. Z pozostałych przypada

na 5	dzieci (liczba przeciętna)	. . . .	1	świadectwo
" 4	" ( " najwyższa)	. . . .	2	"
" 3—4	" ( " przeciętna)	. . . .	3	"
" 3	" ( " " )	. . . .	3	"
" 2	" ( " " )	. . . .	3	"

W dwóch przypadkach mamy podaną liczbę urodzonych i wychowywanych dzieci: kobieta miewa 5 dzieci przeciętnie, wychowuje dwoje; miewa 6, wychowuje troje<sup>3)</sup>.

Ilość pozostawionego przy życiu potomstwa nie była więc znaczną<sup>4)</sup>, a nadto nie powinniśmy i tego spuszczać z uwagi, iż choroby musiały robić jeszcze dalsze szczyby w młodej generacji, przeznaczonej do wyrosnięcia i zajęcia miejsca przodków. Zarazy i głód prawdopodobnie dziesiątkowały zastępy maleństwa, mającego utrwalić istnienie plemienia. Taplin<sup>5)</sup> powiada, iż śmiertelność wśród dzieci jest niezmierną. W ciągu 1859—1869 w plemienu Narrinyjerów zmarło 101 osób, w tej liczbie znajdowało się 36 niemowląt poniżej dwóch lat, 15 starszych dzieci, oraz 50 dorosłych. „Niemowlęta—pisze ten autor—cierpią bardzo dużo od dolegliwości dzikiego życia. Znam wypadki, kiedy dzieci umierały skutkiem uderzenia krwi do głowy, wystawione na grzbiecie matki na operację słońca w ciągu długiej wędrówki wśród znojnego dnia; wszelka poważna choroba, która dotknie dziecko, postę-

<sup>1)</sup> Eyre II, 378 (9 dzieci); Brough Smyth I (10, 12, 13 dzieci).

<sup>2)</sup> Nieliczne dzieci: Curr II, 19, Stirling w „Report on the Work of the Horn Expedition to Central Australia“ część IV, str. 34. Pięcioro dzieci: Curr I 338. Co najwyżej czworo dzieci: Woods l. c., 223/4, Dawson, l. c., 39/40. Troje lub czworo dzieci: Curr, II, 332, I, 402; „Jour. of Ant. Inst.“ XXIV, 192. Troje dzieci: Curr, II, 474, III, 4; Curr, I, 70. Dwoje dzieci: Curr, III, 21; Woods, 186, Eyre, II, 378. Woods, str. XV, zaznacza, iż mordowano 3/4 pierwsze niemowlęta.

<sup>3)</sup> Eyre, II, 378, Curr, I, 70.

<sup>4)</sup> Co do oddziaływania dzieciobójstwa na wzrost ludności, patrz Curr, l. c., III, 96. Także Brough Smyth, l. c., II, 289.

<sup>5)</sup> Taplin u E. Curra, II, 259.

puje swobodnie i kończy się fatalnie, chociaż w początkach swoich była uleczałą. I jeśli dziecko nie zginie z ręki matki zaraz po urodzeniu lub nie umrze przedwczesną śmiercią z braku pomocy, to jeszcze czekają je w wieku niemowlęcym inne przejścia. Wiele plemion australskich należy do liczby ludożerców z potrzeby i nawet z prostego łakomstwa. Gdy dziecko dobrze wygląda, „jest tłuste“, jak czytamy u pewnego obserwatora, bywa pożarte<sup>1)</sup>. Może upatrzeć go któryś z plemieńców i, korzystając z nieobecności matki, porwać<sup>2)</sup>. Prawdopodobnie takie wypadki zdarzają się rzadko. Natomiast w razie powszechnej posuchy i wynikającego stąd braku pożywienia, to, co w normalnym biegu jest wyjątkiem, staje się ogólną zasadą. Posiadamy pod ręką wiadomość o plemieniu Birria<sup>3)</sup>. Kraj tego plemienia nawiedzały straszne posuchy, podczas których jego członkowie nie mieli co jeść. Podczas klęski, która dotknęła tę dzielnicę Australii w latach 1876/7, Birriowie pożarli wszystkie niemowlęta i mniejsze dzieci.

Wszystko to musiało oddziaływać powstrzymująco na wzrost zaludnienia. Ale istniały może jeszcze inne środki, mające wywołać ten sam rezultat. Jeden z nich wypłynął z warunków bytu; drugi, jeśli wyjaśnienie jest słuszne, byłby środkiem celowo stosowanym przez niektóre plemiona. Mamy mianowicie na myśli wczesną starość kobiet i zwyczaj, słynący u Anglików w Australii pod nazwą „terrible rite“. Nad tym ostatnim nie będziemy się zatrzymywali.

Dziewczyna jest oddawaną mężczyźnie, kiedy ma dziesięć, najwyżej czternaście lat. Staje się matką bardzo wcześnie. Dodajmy do tego ciężkie warunki życia, a wobec tego spostrzeżenie Frazera<sup>4)</sup>, iż gdy dojdzie do lat trzydziestu, traci płodność, bynajmniej nie wyda się nam nieprawdopodobnem. Z drugiej strony wczesne zamążpójście sprawia, iż pierwsze dzieci są wątłe, a nadto wychowanie niemowlęcia jest nad siły młodej matki, która sama jest jeszcze, na dobrą sprawę,

<sup>1)</sup> E. Curr, l. c. I, 380; III, 159.

<sup>2)</sup> J. Frazer „The Aborigines of N. S. Wales“, Sydney, 1892 r., str. 3.

<sup>3)</sup> Curr, l. c., II, 378. Także patrz plemię Mungerra, podczas głodu pożerające pewną liczbę dzieci płci żeńskiej. Co do dzieciożerstwa, patrz Curr, I, 252, 342 (dzieci przeznaczone na pożarcie, znaczone po urodzeniu), 376 (matka pożera dwoje wrzeszczących dzieci), II, 159, 322, 371. Także „Jour. of Anth. Inst.“ tom XXIV, 182, 196; Brough Smyth, l. c., I, 52 (przesąd każe zjadać dzieci).

<sup>4)</sup> J. Frazer, l. c., str. 4.

dzieckiem. Jakiśmy wspominali, niektóre plemiona z tego powodu usuwają pierwsze dziecko, może i następne, aż póki młoda kobieta nie dojrzeje pod względem fizycznym. J. Frazer, oświadczając, iż dzieciobójstwo jest ogólnym zwyczajem, dodaje, iż w ten sposób ginie 2—3 pierwszych dzieci, następne zaś, oszczędzone, są otaczane wielką troskliwością<sup>1)</sup>. W innym plemieniu pobliskiej okolicy, związki małżeńskie mają miejsce w wieku lat 14—16, małżonkowie mogą pozostawić potomstwo tylko kiedy dojdą lat trzydziestu, dzieciobójstwo jest więc tam powszechne<sup>2)</sup>. U Ominjów kobiety dzienne liczą zwykle, jak się zdaje, lat 28—40. Cyfry, przez nas podane, przeczą powyżej przytoczonym danym J. Frazera, trudno jednak rozstrzygnąć, kto ma słuszość. Jest rzeczą możliwą, że wszystkie świadectwa są w równej mierze prawdziwe, mianowicie, iż w pewnych plemionach, w których dziewczę zostaje żoną w starszym wieku, okres bezpłodny następuje nie tak rychło. Ale wszystkie one świadczą, że dzieciobójstwo dąży do skrócenia czasu funkcjonowania kobiety, jako reproduktorki przyszłych pokoleń; nadto niepłodność może zjawia się tam wcześniej, niż w naszych społeczeństwach.

Następuje pytanie, o ile wzory, zaczerpnięte z Australii, mogą służyć za skalę powszechną przy rozpatrywaniu bytu obecnych ludów pierwotnych?

I znowu trudność polega nie na tem, ażebyśmy nie mieli pod ręką materiału, ale na tem, iż nie zawsze możemy ręczyć za jego wiarygodność, i że przedewszystkiem nie wiemy, czy przedstawione stosunki nie wynikają z obecności ciśnienia ze strony kultury europejskiej, lub wyższej wogóle. Jako przykład możemy przytoczyć tubylców Kalifornii i Weddów.

Bailey<sup>3)</sup> w przyczynku swoim do etnografii Weddów zaznacza nieznaczną liczbę dzieci, przez nich posiadanych. W Nilgila przebywało 72 Weddów, w tej liczbie 50 dorosłych i 22 dzieci. (W jednej z gromadek nilgilskich na 9 dorosłych osób przypadało tylko jedno dziecko, w drugiej było osiem dorosłych i jedno dziecko). W Bintenne z liczby 308 osób, było 175 dorosłych, w tej liczbie 16 powyżej lat 50, i 133 dzieci. Bailey, zaznaczając taką małą liczbę dzieci i jednocześnie nieobecność dzieciobójstwa, wyprowadza tę niepłodność ze zwyczaju żenienia się *in and in*, tj. tem w samym niewielkiem gronie.

<sup>1)</sup> J. Frazer, l. c., str. 3.

<sup>2)</sup> E. Curr, II, 378, 19.

<sup>3)</sup> Bailey, l. c.

Deschamps<sup>1)</sup> podaje mniej więcej podobny obraz: w jednym przypadku 19 rodzin posiadało ogółem jedynie 32 dzieci, innym 10 stadeł małżeńskich ani jednego. Wyprowadza on to z niepłodności kobiet; bracia Sarasinowie, przeciwnie, twierdzą, iż płodność jest znaczna, jeno dzieci umierają na febrę. Mężczyzna żeni się, mając lat 13/14; dziewczyna wychodzi za mąż w wieku lat 11/12 i miewa dzieci w czternastym roku życia<sup>2)</sup>. Jeden z autorów, bezimienny, oświadcza, iż istnieje dzieciobójstwo—w tym razie, jeśli stadło małżeńskie miewa więcej nad 2/3 dzieci<sup>3)</sup>.

To samo spostrzegamy u Kalifornijczyków. Pewien pisarz z drugiej połowy zeszłego wieku oświadcza, iż wiele kobiet jest niepłodnych, znaczna zaś liczba miewa nie więcej nad jedno dziecko. Zaledwie kilka z pośród 100—200 rodzi 8--10 razy, i nawet wtedy zdarza się często, iż tylko jedno lub dwoje dzieci osiąga dojrzałego wieku, „osoby, nieznajdujące się w związku małżeńskim, i dzieci wogóle stanowią mniej liczną grupę, aniżeli żonaci i wdowcy.“<sup>4)</sup>

W ostatnim przypadku mamy może do czynienia z wymieraniem tubylców skutkiem niepłodności kobiet i wątłości dzieci,—fakt, niemal stale występujący przy zetknięciu wyższej kultury z dziką, i może pokrewny temu, iż słoń w niewoli traci zdolności rozplodowcze. Mniejsza zresztą o przyczyny takiego zaniku. Jedno nie ulega wątpliwości, mianowicie, iż na podobnych faktach *nie* możemy opierać się, jeśli pragniemy poznać zasady, rządzące wzrostem ludności w normalnem (to jest wolnem od wpływów cywilizacyjnych) społeczeństwie dzikiem. Zwrócimy tylko na jedno uwagę. Starcy u ludów dzikich dosięgają bardzo późnego wieku, ciesząc się szacunkiem współrodaków, kobiety może tracą bardzo wczesnie zdolność wydawania dzieci, nasi wyrostkowie i podlotki są tam często już mężami i żonami; u Australczyków istnieje zwyczaj zgładzania potomstwa rodziców, będących w zbyt młodym wieku. Otóż wszystkie te przyczyny mogą sprawiać, iż w gromadzie dzikiej, osoby, nie znajdujące się w związku małżeńskim, i dzieci stanowią stosunkowo mało liczebną część ludności, daleko mniejszą, niż w naszych społeczeństwach. G. A. Farini<sup>5)</sup> podaje skład pewnej hordy buszmeńskiej. Znajdował się tam ojciec z żoną i dwiema zamężnymi córkami, jedna z nich miała dwoje dzieci, druga jedno. Był to szkielet gromady, bo reszta, „młodsza część“, przybyła potem. Autor

1) Deschamps, cytowany przez braci Sarasinów, str. 469.

2) F. i P. Sarasin, l. c., str. 469.

3) Bezimienny autor, cytowany u braci Sarasinów, l. c., str. 469.

4) J. Baegert, l. c., 368.

5) G. A. Farini, l. c. str. 253.

nie wymienia, z kogo się składała, ale ponieważ tylko matka niańczy tam dzieci, przeto możemy przypuścić, iż nie zawierała większego procentu dzieci, niż ile dostrzegł ojciec Baegert w Kalifornii. Co do Fuegieńczyków, mamy dane Weddella <sup>1)</sup>: w pewnej gromadzie było tam 3 osoby poniżej lat 50, 24 około 40, 27 w wieku lat 20 — 30, wreszcie 27 dzieci i wyrostków. Ażeby ocenić doniosłość tych faktów, zestawimy powyższe dane z cyframi statystycznymi, dotyczącymi paru krajów cywilizowanych, oraz murzynów w Stanach Zjednoczonych. Z ogólnej liczby osób przypadało tam <sup>2)</sup>:

	Fuegień- czycy	Niemcy 1890	W. Brytania 1880	Stany Zjed. Murzyni 1890
poniżej lat 20	33.3%	44.9%	46.3%	53.4%
między 20—30	35.3%	29.0%	28.9%	23.7%
40 lat i wyżej	33.3%	26.1%	24.8%	17.9%

Co do Fuegieńczyków, zawdzięczamy missyi naukowej francuskiej do przyłądka Horn zebranie danych, zupełnie dokładnych. Zbadano

<sup>1)</sup> Weddell, l. c., str. 184.

<sup>2)</sup> „Wörterbuch der Volkswirtschaft“, Jena, tom I, 1898. str. 60. Co do Fuegieńczyków (specjalnie plemienia Iachanów) posiadamy dane z roku 1884 misjonarza Bridgesa. Odliczając 50 sierot i innych dzieci, co do których niema bliższej wzmianki, i które samo źródło informacyjne oddziela, mamy tam, z ogólnej liczby 949 osób, 37.5% dzieci. W pozostałych 62.5% zamieszczono wyrostków powyżej lat 17. Procent dzieci jest wyższy, niż u Weddella, zwłaszcza gdybyśmy włączyli jeszcze 50 dzieci nieuwzględnionych. Ale Iachanowie są pod wpływem missyi, sieroty w ich dawnym bycie prawdopodobnie nie istniały w takiej mnogości. Dzieciobójstwo już ustało. Patrz Deniker i Hyades, l. c. Co do Australczyków, zestawiliśmy pewne cyfry, korzystając z materiału, zgromadzonego u E. Curra. W plemienu Larrakia, które nie zmniejszyło się pomimo najazdu białych, dorośli stanowią 44%, dzieci 56% — cyfry wyjątkowe (I, 251). Dla sześciu plemion, które przedstawiają nieraz zaledwie szczątki dawnej wielkości, dostaliśmy dla dorosłych 73%, dla dzieci 27% — stosunek nienormalny, pokazujący, iż najazd przede wszystkim wpływa ujemnie na liczebność najmłodszej generacji (cyfry z zestawienia danych: tom II, 187, 256, 307, 360; III, 45, 79).



tam płodność 17 kobiet, — cyfrę bardzo znaczną, jeśli weźmiemy pod uwagę dzisiejsze rozmiary ludności tamtejszej. Poszukiwania dotyczą tylko liczby dzieci żyjących.

Według tych danych znajdowało się przy życiu:

u 4 kobiet w wieku lat 25 razem 8 dzieci.

" 5	"	"	20	"	10	"
" 4	"	"	35	"	9	"
" 2	"	"	40	"	5	"
" 1	"	"	44	"	2	"
" 1	"	"	60	"	2	"

Jeśli weźmiemy liczby przeciętne, okaże się, iż „Zweikindersystem“ stanowi istotną zasadę przyrostu ludności na Ziemi Ognistej. Deniker i Hyadès, którzy kierowali działem antropologicznym, oświadczają, iż prawdopodobnie nie bardzo będą dalecy od prawdy, szacując na czworo liczbę dzieci, posiadanych przez pojedynczą kobietę w ciągu jej życia. Przytaczają parę wyjątków, które za nimi powtarzamy, ponieważ rzucają ciekawe światło na panującą tam śmiertelność wśród młodocianego pokolenia. Jedna 50-letnia kobieta miała 14 dzieci, z nich tylko troje nie zmarło śmiercią przedwczesną; inna, 35-letnia, z pośród dziewięciorga dzieci pochowała w niemowlęctwie ośmioro. Wyjątek: jedna 38-letnia miała siedmioro, z których tylko jedno zeszło ze świata przedwcześnie <sup>1)</sup>.

I dodajmy, że tę samą nieznaczną płodność spotykamy u wszystkich ludów, które, gdybyśmy użyli terminologii Morgana, znajdują się na wyższym szczeblu dzikości i w początkach niższego barbarzyństwa. Północne obszary Ameryki północnej przedstawiają nam sporo przykładów na udowodnienie naszej tezy.

U Eskimów nadmiernie płodna kobieta bywa przedmiotem jeśli nie pogardy, to szyderstw, iż, jak suka, rodzi często. U grup labradorских, przynajmniej tych, które przebywają w cięższych warunkach bytu, liczba dzieci ponad pięcioro zdarza się rzadko, wiele stadeł małżeńskich zadawała się dwojgiem dzieci, a nawet jednym. Dzieciobójstwo służy za środek regulowania ilości potomstwa. Niemowlę bywa systematycznie poświęcane, jeśli matka uważa, że jest niezdolną wy-

<sup>1)</sup> Deniker i Haydes, l. c., 189/90.

karmić uowoprzybywające dziecko. Podczas głodu, pada ono, jako ofiara samolubstwa rodzicielskiego, i zarazem jako środek pożywienia <sup>1)</sup>.

U Tinnehów w dawnych czasach dzieciobójstwo było często praktykowane, zwłaszcza względem dziewcząt, gdy głód poczynał się srożyć. Dziewczyny wychodziły często za mąż w wieku lat dziesięciu, były zaś zdolne do wydawania potomstwa od roku 14-go do 45 — 50. Ale, pomimo takiego długiego okresu płodności, liczba dzieci nie była znaczną. „Rodzina w przeciwieństwie zawierała troje dzieci, w tej cyfrze już i zmarłe; dziesięcioro dzieci jest największą liczbą, jaką widziałem. Tubylcy uważali ten przypadek za tak niesłychany, iż nadali ojcu nazwę: „Hon - neu - ua - be - ta“, to jest ojciec dziesięciorga“ <sup>2)</sup>. U Atapasków z nad rzeki Miedzianej zdarza się rzadko ujrzeć rodziców, posiadających więcej, niż troje dzieci, przyczem ktoś dodaje: „nie umiem powiedzieć, czy takie małe rozmiary rodziny pochodzą z ciężkich warunków otrzymania pożywienia, czy też z jakiegoś nadużycia“ <sup>3)</sup>.

Poprzestaniemy na powyższych faktach, zaczerpniętych z niższych szczebli rozwoju społecznego, tj. szczebli, względnie wolnych od ciśnienia ze strony ludów, wyżej stojących w kulturze. Chociaż możemy powątpiewać o wiarygodności tego lub innego szczegółu, przecież mniemam, iż wniosek, wyciągnięty przez nas z całokształtu zebranego materiału, jest bliski rzeczywistości, mianowicie, iż w rozpatrzonym okresie kultury wzrost zaludnienia odbywa się bardzo wolno. Widzieliśmy, jak u Australczyków ilość potomstwa jest nieznaczną: przekonaliśmy się, iż u Fuegieńczyków stadło małżeńskie wydawało w przeciwieństwie czworo dzieci, w tej liczbie zmarłe, że u plemion Kanady oszacowano odpowiednią liczbę na troje. A jeśli weźmiemy teraz pod uwagę, iż śmiertelność dzieci i podrastającego pokolenia chyba w okresie dzikości nie jest mniejszą, niż w naszym społeczeństwie, to musimy wynioskować, iż dzikie plemię zaledwie może utrzymać swoje rozmiary

<sup>1)</sup> Turner L. M.: „On the Indians and Eskimos of Labrador“ (Proceedings and Transactions of the R. S. of Canada, tom piąty, sekcya druga, str. 103).

<sup>2)</sup> B. Ross. „The Tinneh Indians“ (w „Ann. Rep. of the Smithson. Inst.“, 1866, 310 oraz 305).

<sup>3)</sup> H. T. Allen; „Atnatanas, of Copper river, Alaska“ (w „Ann. Rep. of the Smithson. Inst.“, 1886, 258).

na stałym poziomie. Tem to można objaśnić tak małą liczebność Tasmańczyków, lub Fuegieńczyków, albo wreszcie Australczyków, chociaż zawierano tam związki małżeńskie w wieku znacznie młodszym, niż my to czynimy. Tasmania posiadała w chwili przybycia Europejczyków zaledwie osiem tysięcy mieszkańców. Przypuszczając, iż każda para rodziców pozostawiała troje dzieci, oraz, iż na stulecie przypada cztery generacje (liczba raczej za niska), doszli-byśmy do wniosku, że zaludnienie tylko co wymienionej wyspy, w ciągu lat dwustu, wzrosło z 400 — 500 głów na osiem tysięcy, — rzecz zgoła nieprawdopodobna! Plemię, w warunkach dzikiego trybu życia, bywa zawsze narażone na to, iż liczebność jego nie tylko nie będzie wzrastała, ale, pod wpływem głodów, może nawet być uszczuploną. Prócz przyczyn przyrodzonych, niezależnych od człowieka, w tym samym kierunku działają także i czynniki społeczne, naprzykład przesady, iż nikt nie umiera naturalną śmiercią, jeno skutkiem czarów, co wymagało przelania krwi wynalezionego za pomocą praktyk zabobonnych winowajcy. Wojny, nawet pochłaniając rocznie tylko paru dorosłych członków grupy, czyniły już znaczną szcerbę. Ale najważniejszą niezaprzeczoną przeszkodą mnożenia się plemięców było dzieciobójstwo. Przyczyny, pod których działaniem zwyczaj ograniczania liczby żyjących niemowląt ustał, są zarazem warunkami zwiększania się gromady społecznej i postępu organizacyi społecznej.

Jakie więc czynniki odegrały rozstrzygającą rolę w ograniczeniu rozmiarów dzieciobójstwa?

Uwzględniając głosy pisarzy źródłowych, podających szczegóły o poźyciu gromadnem Australczyków, na miejscu pierwszym, wśród przyczyn dzieciobójstwa, znajdziemy niemożliwość dla matki karmienia nowego dziecka, póki poprzednie nie zostało odchowane. „Zdaje się, istniał zwyczaj zabijania niektórych dzieci natychmiast po urodzeniu, ażeby zaoszczędzić sobie mokołu i ciężaru podczas posuch, kiedy trzeba było przechodzić znaczne przestrzenie dla wyszukania pożywienia i wody. Przy strasznym skwarze było niepodobieństwem przenieść parę małych dzieci w ciągu znojnego dnia na odległość dwudziestu mil (angielskich), i nawet więcej, nie posiadając przytem więcej wody, uż zdołały zmieścić w sobie worki skórzane“ <sup>1)</sup>. I ta sama pobudka dzia-

<sup>1)</sup> F. Bonney: „On some customs of the Aborigines of the r. Darling“ (Jour. of Anthr. Inst., XIII, 125). Przy okazji winniśmy nadmienić, iż dziecio-

ła, nieco zmieniona, nawet podczas rolnictwa barbarzyńskiego: wobec tego, iż matka sama karmi własną piersią, a odstawienie następuje dopiero po dwóch i trzech latach, każde niemowlę było skazane na śmierć, jeśli przyszło nie w porę. Tak działo się między innymi u Słowian pomorskich <sup>1)</sup>. U Australczyków, prócz trudności odkarmienia dziecka, wywierała wpływ jeszcze jedna przyczyna, której przyglądaliśmy się, mianowicie konieczność noszenia potomstwa podczas nieustających wędrówek, właściwych koczownicemu trybowi życia. Dla zmniejszenia więc rozmiarów dzieciobójstwa, trzeba było przedewszystkiem, ażeby ukazał się bardziej osiadły tryb życia. Mniejsza, pod wpływem jakich czynników odbywało się to przejście do mniej wędrownego życia, czy pod działaniem oswojenia przez mężczyznę zwierząt, lub rozpoczęcia uprawy roślin przez kobietę, czy wskutek obfitości pokarmu, dostarczanego samorzutnie przez przyrodę w pewnej okolicy; to przecież w każdym przypadku, kiedy koczownictwo dzikie zostawało ograniczone w swoich rozmiarach, ustawał zasadniczy powód dzieciobójstwa, i wraz z tem pojawiała się możliwość zmniejszenia wpływu innych czynników, działających w tym samym kierunku. Plemię mogło wzrastać poza granice, nakreślone przez przyrodę w okresie dzikości (tutaj należało-by zrobić pewne zastrzeżenia, do których powrócimy nieco dalej). Ale ażeby nastąpiły czasy, kiedy obfita płodność zaczęła uchodzić za przymiot dodatni, kiedy, jak u Kafrów, na każdą zameźną kobietę przypada czworo żyjących dzieci <sup>2)</sup>, na to trzeba było zupełnego prze-

---

bójstwo u mieszkańców N. Hollandyi szło w parze z niezmiernem przywiązaniem do tych niemowląt, które pozostały przy życiu. Spetykamy opisy rozczułające, jak naprzykład pewna matka w ciągu lat 18 — 19 nosiła na karku dziecko, dotknięte kalectwem i powstrzymane we wzroście swoim; jak ojciec nosił syna w ciągu lat 2—3 itd. Między innymi patrz: J. Frazer, l. c., str. 44.

<sup>1)</sup> „Usque ad haec tempora, si plures filias aliqua genuisset, ut ceteris facilius providerent, aliquas ex eis iugulabant, pro nihilo ducentes parricidium“. Herbord: „Vita Ottonis ep. bamberg.“, II. 33.

<sup>2)</sup> Patrz wyliczenia J. Sandersona: Jour. of Anthr. Inst., VIII, 254/260. Na pojedynczą osadę poligamiczną przypada tam 14.6 dzieci (z nieżyjącymi, w niewielkiej liczbie). Szeik Bejet ma 3 żony i 20 dzieci, W. Munzinger, l. c., 327. Warto tutaj zestawić cyfry potomstwa stadł poligamicznych Australii. Australczyk pewien posiada 5 żon i 8 dzieci, drugi 3 żony i 10 dzieci (patrz Brongh Smyth, I, 78)

wrotu w ukształtowaniu sił wytwórczych danej grupy rodu ludzkiego. Dopiero rolnictwo i hodowla bydła dostarczają takich warunków, chociaż i wtedy, w pewnych okolicznościach, dzieciobójstwo jeszcze powtarza się w strasznych rozmiarach. Tak rzeczy stoją, a raczej stały na wyspach Melanezyi. Na niektórych wyspach archipelagu Fidżyjskiego zabijano połowę, i nawet dwie trzecie dzieci <sup>1)</sup>. Ograniczone rozmiary terytorium plemiennego, zamkniętego zewsząd przez wody Oceanu, przegradzające drogę odpływowi przez wychodźstwo możliwego nadmiaru zaludnienia, wywołały tak znaczną sztuczną śmiertelność niemowląt. Zwracamy na to uwagę, ażeby wskazać, iż zwyczaj dzieciobójstwa w różnych punktach globu, jeśli chodzi o odmienne szczeble rozwoju kulturalnego, posiadać mógł wyłącznie miejscowe pochodzenie, zrozumiałe tylko przy zbadaniu tam istniejących stosunków.

#### IV.

Streszczenie otrzymanych rezultatów. — Rozmieszczenie pniów lingwistycznych w Ameryce Północnej. — Zaludnienie, w dawnych czasach pierwotnej ludzkości, wzrastało tylko w pewnych punktach. — O ile uogólnienia, wyprowadzone z dzikiej teraźniejszości, możemy zastosować do początków rodu ludzkiego.

Przyjrzelśmy się pewnej stronie stosunków społecznych, właściwych najniższym z pośród obecnie istniejących szczepli rodu ludzkiego.

Na pierwszy rzut oka, pojedyncza gromadka osób, licząca co najwyżej kilkunastu członków, zasłania nam wszelką dalszą spójnię społeczną. Koczuje ona na pewnem terytorium, które troskliwie ochrania od wtargnięcia sąsiadów, komunikuje się z nimi rzadko, nieraz

<sup>1)</sup> Th. Williams: „Fiji and Fijans“, Londyn, 1870, 155.

posługuje się innym narzeczem. Pierwsi spostrzegacze, zwykle bardzo dorywczo zajmujący się zbadaniem tamtejszej więzi społecznej, odmówili więc ludom dzikim wszelkiej organizacyi i powtarzali o nich to, co najdawniejszy nasz kronikarz, Gallus (II, 42), powiada o Prusakach, iż żyją oni *sine rege et lege*. Poglądy te przedostały się do prac socjologicznych europejskich i wytworzyły tam cały kierunek, odznaczający się niepomierną zdawkowością i powierzchownością. Atoli gruntowniejsze poszukiwania wykazały, że poza taką gromadą ukrywa się „plemię“, które posiada niejednokrotnie bardzo złożoną organizacyę, nie tak łatwo odslaniającą przed profanem swoje zasady. Czem jest ta spójnia i jakimi prawami się rządzi, pytanie to pozostawiliśmy na uboczu, natomiast zatrzymaliśmy się nad rozmiarami plemienia, tej ostatecznej, w większości przypadków, normy życia społecznego w okresie dzikości. Widzieliśmy, iż rozległość jego jest bardzo nieznaczna: u Australczyków, Fuegieńczyków i Andamańczyków nie przewyższa ona w najlepszym razie paru tysięcy osób, a niekiedy spada nawet do kilkuset i paruset, jeśli możemy zawierzyć informacyom, nie zawsze wiarogodnym. Czasami poza plemieniem istnieje milcząca assocyacya paru ościennych, ale prawdopodobnie całość nie dosięga i nie dosięgała podczas dzikości kilku tysięcy członków, to jest przeciętnej miary plemienia barbarzyńców Ameryki północnej. Społeczeństwo dzikie, zawarte w granicach nielicznego plemienia, wzrasta w sposób bardzo powolny. Głód może je zniszczyć, zwłaszcza zaś pozbawić młodego pokolenia. Dzieciobójstwo nie pozwala mu powiększać swojej liczebności ponad istniejący poziom. Postęp społeczny tymczasem polega przede wszystkim na wzroście rozmiarów spójni społecznej. Plemię urzeczywistnia te warunki rozwoju tylko wtedy, gdy znajdzie się w okolicznościach, zmniejszających ciężar i częstość wędrówki codziennej i dzięki temu oswabdzających matkę od dolegliwości, związanych z wychowaniem niemowlęcia. Postęp jeszcze dalszy następuje wtedy, gdy technika dostarczy pokarmów, pozwalających kobiecie wcześniej odstawić niemowlę od piersi.

Tak przedstawia się stan, charakteryzujący pożyte społeczne najniższych grup rodu ludzkiego. Następuje pytanie, o ile możemy rezultaty, otrzymane podczas naszej analizy dotychczasowej, zastosować do dalekiej przeszłości społecznej.

Nim na to odpowiemy, musimy uczynić pewną uwagę. Mianowicie zaznaczyć wiśniemy, iż prawdopodobnie nigdy nie było takiego okresu w dziejach człowieczeństwa, ażeby ród ludzki rozwijał się jed-

nostajnie w różnych punktach globu ziemskiego. Owszem, jako zasadę, trzeba przyjąć znaczną nierównomierność, mianowicie, iż pojedyncze potoki kulturalne, biorące początek w odmiennych okolicach, były różnej siły i napięcia. Istniały terytoria, a raczej zakątki, bardziej i mniej sprzyjające postępowemu rozwojowi, a nawet i takie, które wywoływały uwstecznięcie. Pierwsze były źródłami, z których wydobywały się powódzie kolonizacyjne, — używamy tego wyrazu w nieco niewłaściwym znaczeniu dla grup wędrowców, z powodu przeludnienia opuszczających sadyby rodzinne — i zalewały coraz dalsze okolice, niosąc tam zdobycze kulturalne swego zakątka. Rozszerzanie to szło, w okresie najwcześniejszym, z miejscowości rybnych i zaopatrzonych w naturalne płody roślinne ku stepom i pustyniom, wogóle od rzek i gęszczonej ku gołemu, pokrytemu trawą łądowi. Mniejsze napięcie życia koczowniczego w takich punktach działało dodatnio, uszczuplając rozmiary dzieciobójstwa; głody, dotykając liczniejszą gromadę osób, zmuszały do rozchodzenia się. Przypatrując się mapie, pokazującej rozmieszczenie rodzin lingwistycznych w Ameryce północnej, możemy wybornie obserwować tę ekspansywną siłę niektórych grup, a z pomocą językoznawstwa wykryć także i kierunek ich rozsiedlania się wraz z prawdopodobnymi punktami wyjścia. Algonkinowie, to jest ludy, mówiące językami pnia algonkińskiego, siedzą tam dokoła wielkich jezior i od nich ciągną się ku zatoce Hudsonskiej, górą Skalistym i w dół porzecza Missisipi. Otoczyli oni ze wszystkich stron grupy rodziny irokieskiej, a niektóre plemiona znalazły się wyrzucone siłą pędu aż do Karoliny dzisiejszej. Jak o tem świadczą studia Amerykanistów, kolebką Algonkinów było wybrzeże Oceanu Atlantyckiego pomiędzy rzeką św. Wawrzyńca a zatoką Chesapeake, a plemiona Abnaków, Mohiganów, Lenaków, tam, w tej praojczyźnie zamieszkujące, uchodziły za „dziańców“. Stąd kolonie szły na północ, rugując Eskimów i prawdopodobnie Beotuków; na północo zachód wzdłuż rzeki św. Wawrzyńca i wielkich jezior; ku południowi aż do Karoliny. Niekiedy ci wychodźcy znajdowali w nowej ojezyźnie gorsze warunki bytu, aniżeli w ziemi macierzystej, a nie posiadając środków cywilizowanej walki z przyrodą, ulegali i spadali na niższy szczebel zarobkowania i pożywania. Inna rozległa rodzina, Atapasków, zajęła północ aż do 50<sup>o</sup> szerokości na południe, wydała z siebie oazy wzdłuż Pacyfiku, nieznacznych rozmiarów, i wreszcie rozlała się szeroką przestrzenią w kącie południowo-zachodnim Ameryki północnej w porzeczu rz. Rio-Grande. Jeszcze inny szczep, Siukowie, zajął dzielnicę prawego porzecza Missisipi, posiadając tam wśród siebie niewielkie oazy Kaddojów, a nadto siedzi w Wirginii i Karolinie. Poszukiwania doprowadziły do wniosku, iż pierwotną

ich ojczyzną były okolice nad źródłami rz. Ohio, skąd jedna część ułaja się ku Oceanowi, druga poszła z wodami Ohio, i z biegiem czasu znalazła się na stepie. Istnieją tam, w Ameryce północnej, liczne jeszcze pnie lingwistyczne, tylko jako oazy: wybrzeże Oceanu Spokojnego, okolice osad, znanych pod nazwą pueblów, obfitują w takie drobne rodziny lingwistyczne. Co do pueblów, możemy z całą śmiałością powiedzieć, iż są to szczątki możniejszych ongi rodzin, które, mniejsza o to, jakim zrządzeniem losów zagnane w te znojne a piaszczyste terytoria, wzięły się do uciążliwej uprawy roli i stworzyły osobliwą, osiadłą cywilizację<sup>1)</sup>. Niestety, nie posiadamy podobnych prac w zakresie ładu australskiego. Ale to, co wiemy z luźnych wzmianek, to jest opisów którejs jednej okolicy w stosunku jej do ościennych, pokazuje nam, iż i tam, na łądzie kopalnym, istnieć musiały takie powódzie, wychodzące z pewnych punktów. Tradycya o nich przechowała się i w nieważności, jaka w różnych punktach ładu istnieje pomiędzy plemionami, praktykującymi „straszny obrzęd“, a innymi, wolnymi od tego zwyczaju, i w tem, że tubylcy z dalekich miejscowości mogą porozumieć się nawzajem, tymczasem pomiędzy nimi zamieszkały zgoła obce szczepy, to jest należące do innej rodziny lingwistycznej (przypuszczalnie). Zresztą mamy i wyraźne świadectwa wędrówek<sup>2)</sup>: po epidemii roku 1830, która niemal zniszczyła niektóre plemiona N. połd. Walii, jedno, które ocalało, natychmiast zajęło obszary osłabionych sąsiadów. Słowem, wędrówki ludów i przewroty w rozmieszczeniu istniejących podówczas pniów lingwistycznych prawdopodobnie zdarzały się nawet w okresie najwcześniejszym: jedne ginęły, drugie rozszerzały się i pochłaniały tamte.

Całe pytanie polega na tem, w jaki sposób to wszystko odbywało się, zwłaszcza, jeśli ród ludzki wzrastał i wogóle rozmnażał się w okresie pierwotnym według wyprowadzonego przez nas prawa.

Z powyżej przytoczonych faktów wynosimy wniosek, iż wzrost ów odbywał się tylko w pewnych punktach globu,—punktach, które zresztą

<sup>1)</sup> Co do pierwotnych siedzib Algonkinów i Siuków, patrz J. Mooney: *The Siouan tribes of the East*, Waszyngton, 1894. Mapa lingwistyczna Ameryki Północnej została dołączoną do siódmego tomu Roczników waszyngtońskiego biura etnologicznego.

<sup>2)</sup> Taką wędrówkę plemienia podaje J. Frazer, l. c. str. 18. Co do nieprzyjaźni pomiędzy grupami, praktykującymi „straszny obrzęd“, a temi, u których niema tego zwyczaju, patrz między innymi E. Curr, I, 298, 303, 367, 377.



dla różnych epok rozwoju kulturalnego odgrywały niejednakową rolę. Grupa dzika, wyszedłszy z pewnego miejsca, bardziej sprzyjającego osiadłemu, a raczej nie tak koczowniczemu trybowi życia, przechodziła do okolic, wymagających nieustającego koczowania w warunkach jak najcięższych. Powstawało tam dzieciobójstwo, dokładniej: zwyczajów, istniejący ongi sporadycznie, doznawał spotęgowania. W tem rozszerzaniu się któraś z gromad mogła osiągnąć pewnego terytorium, dotychczas niezaludnionego, w którym nawet przy dzikim sposobie wyzyskiwania sił przyrody trzeba znowu było dokonywać nie tak znacznych wysiłków przy przechodzeniu z miejsca na miejsce, — *faux frais* ekonomiczne dzikiego społeczeństwa były tam mniejsze. Przyrost plemieńców szedł przyspieszonym tempem, po paru pokoleniach rozpoczynało się ciśnienie, idące od tego ogniska gęstszego zaludnienia na zewnątrz. Plemiona, żyjące w jałowszych okolicach, były mniej liczebne, a więc i mniej zdolne do oporu, zwłaszcza po okresie głodu, który gorzej dawał im się odczuć, aniżeli sąsiadom, zamieszkującym korzystniejsze obszary; siła odporna słabła; grupa, żyjąca w owym ognisku, sprzyjającym wzrostowi, rozszerzała się i znowu przechodziła w gorsze warunki bytu, gdzie zaczynała stosować dzieciobójstwo na zwiększoną skalę. Prawo przyrostu zaludnienia brzmiało-by więc odmiennie dla różnych punktów. Ludy dzikie, obecnie jeszcze istniejące, w większości wypadków zamieszkują najniegościnniejsze terytoria globu. Stosunki, które u nich spostrzegamy, mogą tylko o tyle być słusznymi w innych punktach, o ile warunki będą te same. A zatem i wykryte prawa możemy stosować, zachowując należyłą miarę ostrożności. To samo także dotyczy uogólnień co do istoty i wielkości gromady pierwotnej. Widzieliśmy, jak dalece posuwa się rozstrzelanie społeczne dzisiejszych ludów dzikich: pojedyncza gromada, przedzielona od innych dość znacznymi przestrzeniami, nie przewyższa liczby kilkunastu osób, a niekiedy spada do kilku. Jej rozmiary znajdują się w związku jak najściślejszym ze źródłami utrzymania. I znowu jest rzeczą widoczną, że tych wzorów bez zastrzeżenia niepodobna przenieść w daleką przeszłość. Uczynić możemy to tylko o tyle, o ile będziemy posiadali pewność, iż warunki bytu i kształtowanie się otoczenia były takie same, w jakich przebywa Australczyk dzisiejszy, Fuegieńczyk lub Buszman. Kwestyę tę zdołali-byśmy rozwiązać, posiadając wiarogodne dane co do pierwszych siedzib człowieka, z których on potem rozszedł się na cały glob. Nie jest bynajmniej rzeczą wyłączoną, iż przebywał on w okolicach żyzniejszych, pozwalających na byt liczniejszymi gromadami, a przytem nie tak daleko rozproszonemi jedna od drugiej. Naówczas wszystkie wyprowadzone przez nas wnioski, zachowując natural-

nie całą wartość swoją dla chwili ołecnej, nie dały-by się zastosować do tych zamierzchłych czasów. Wraz z tem nietylko rozmiary dzieciobójstwa, ale i wzrost zaludnienia, i formy stosunków rodzinnych, i wiele jeszcze innych stron życia społecznego kształtowały-by się według wzorów, dzisiaj spotykanych u najniższych szczeptów.

LUDWIK KRZYWICKI.

---

# KRÓLEWNA MÓRZ.

## I.

Gdzie blaski zórz  
Powstają z wód,  
Na samym dnie  
Spoczywa w śnie,  
Królewna mórz,  
Królewna cud...

Lecz cóż się stało jasnej pani?  
Próżno ocean śpiewa dla niej  
Pieśń najpiękniejszą, próżno wir  
Uderza w struny skalnych lir  
Aż echa grają,  
Naprawdę ranek krzesze skry  
I szczerem złotem dzierzga mgły,  
I złotą łuską fale drgają.

Nie słucha, nie,  
Nie patrzy, nie,  
Królewna mórz,  
Królewna cud.  
W głębinie wód  
Na samem dnie  
Spoczywa w śnie  
Na łożu z róż.

Czy nazbyt silne kwiatów wonie?  
Czy może zwiędły nazbyt wczesnie?  
Gdyż w białe ręce tuli skronie  
I pierś jej biała lka boleśnie.

Nie, to nie róż  
Zdradziecka woń.  
Rumień się, płoń,  
Królewno mórz.

Nie, to nie róż  
Zdradne wonności;  
To czar miłości,  
Trucizna dusz...

Jej dziwny sen  
To rybak ten,  
Ten rybak młody,  
Który w zawody  
Z falami — hen!  
W czasie wichury  
Przez wód lazury,  
Śród raf i skał,  
Jak wicher gnał.

Ujrzała raz  
W burzowy czas,  
Jak łódź swą wiódł,  
I kocha już  
Królewna mórz,  
Królewna cud.

Kocha nad szumy morskich fal,  
Co do snu ją kołyszą,  
I nad błękitną kocha dal,  
Choć przepojona ciszą.  
Nad pereł blask — nad róży kwiat,  
Nad życie swe — nad cały świat...

Czemże jest przy nim jasna zorza,  
 Co się zapala nad przestworzem?..  
 Nie masz jej życia w głębi morza  
 Nie masz jej życia poza morzem...

## II.

W słońcu się barwią roje fal.

Złote rzucając piany...

„Królewno mórz, o słum swój żal,

„Oto w błękitną płynie dal

„Twój rybak, twój kochany!

„O patrz, jak skrzydła śnieżnych mew,

„Lśnią rozpostarte żagle.

„Czy słyszysz? rybak nuci śpiew,

„Czarowny śpiew

„O najwonnejszej z róż...

„O sercu, co jak lód“...

„Królewno mórz!

„Czemu pobladaś nagle?!

„Królewno mórz,

„Jak lilia biała twoja twarz,

„I dziwny smutek w oczach masz...

„Królewno cud,

„Czemu pobladaś nagle“?

Nie mówi, nie,  
 Nie słucha, nie,  
 Królewna mórz,  
 Królewna cud.  
 O żegnaj już  
 Czarowny śnie,  
 O żegnaj już,  
 Śnie pełen złud,  
 O żegnaj już...

Nie do niej mknie rybak przez wodne głębinyl  
 Nie dla niej on śpiewa tak pięknie.  
 Nie do niej, nie dla niej, dla innej dziewczyny,  
 Do innej tak śpieszy przez wodne głębinyl  
 I... serce w niej niemal nie pęknie.  
 Do innej! I czemu?! Wszak fale, jej posły,  
 Najśłodsze wyznania miłości mu niosły,  
 Szeptaly, śpiewaly bez końca,  
 Że kocha, że kocha mórz pani, królowa,  
 Kochanka księżyca i słońca!  
 Że sługą mu będzie!

I stoi bez słowa,  
 Jak lilia, tak biała i drżąca,  
 I tylko szklanemi wpatruje się oczy  
 W łódź małą, co płynie po toni przez rzeczej  
 I fale tęczowe roztrąca...  
 A echa wciąż słowa przynoszą jej pieśni,  
 Słonecznej, jak wiosny poranek,  
 I coraz jej smutniej, i coraz boleśniej,

I coraz jej droższym kochanek.  
 I stoi bez słowa mórz pani, królowa.  
 Wszechwładna, lecz w wodnej krainie,  
 A fala w dal płynie, jak bajka tęczowa,  
 Prześniona w upojeń godzinie...

O zbudź się, zbudź,

Królewno mórz!

O zbudź się, zbudź!

Królewno cud!

Już fali prąd,

Już fali bieg

Daleko stąd

Na stromy brzeg

Z błękitnych wód

Unosi łódź.

O zbudź się, zbudź,

Władczyni burz,

Królewno mórz,

Królewno cud!

### III.

Po twarzy mórz pani, od smutków pobladłej,  
 Złowieszcze przebiegły płomienie,



I wichry jak psy się u nóg jej pokładły,  
Czekając na rozkaz, skinienie.  
Ocean błękitne w nią utkwił spojrzenie,  
I ucichł, jak gdyby z sił nagle opadły,  
I cisza, i wielkie milczenie,  
Nad tonią przejrzystą zapadły...

I tylko z oddali,  
Płynęła po fali,  
Piosenka rybaka miłosna.

...„Przez głębie, przez sine,  
Wraz z tobą popłynę,  
Gdzie słońce, i cisza, i wiosna.

„Gdzie nigdy wiatr chłodny  
Twój twarzy pogodnej  
Ostremi nie muśnie skrzydłami.

„Gdzie z snów cię nie zbudzi  
Głos burzy, złość ludzi,  
I oczy nie zalśni ci łzami.

„Przez głębie, przez siną,  
Popłyniem, dziewczyno,  
Do źródła wieczystej radości.

„Przez głębię, przez siną,  
 Popłyniem dziewczyno,  
 Na święto, na święto miłości!“

...I stoi bez słowa—mórz pani, królowa,  
 W miłosną wsluchana piosnkę;  
 Lecz lica jej płoną i mścić się gotowa  
 Za ból swój, za rozpacz, za mękę!  
 A echa wciąż słowa przynoszą jej pieśni,  
 Słonecznej, jak wiosny poranek,  
 I coraz jej smutniej, i coraz boleśniej,  
 I coraz droższym kochanek...

— W tem gniew jej brwi ściągnął i w jasne źrenice,  
 Blask rzucił, jak burza ponury;  
 Ocean zaszumił, załkały wichury,  
 Na słońce gromadą rzuciły się chmury,  
 I cieniem się nocy powlekły lazury,  
 Jak gniewem królowy mórz lice.  
 Fał tłumy, jak węże, skłębiły się w pędzie,  
 I lecą wichrami smagane,  
 I fale, i chmury, gromami wezbrane,  
 Pytają: „Królowo, co będzie?..“

Nie rzekła ni słowa,  
 Mórz pani, królowa,  
 Lecz dumą szalona, rozpaczą,  
 Śród ognia błyskawic, szklanemi oczyma,

Na których łyzy skrzepłe paliły się skrami,  
 Na łódkę wskazała rybaczą...

. . . . .

. . . . .

. . . . .

— Czy słyszysz, jak zawodzi wiatr, jak płacze, jak się żali?  
 — Widzisz te białe mgły, co idą tu po fali?  
 O cudzoziemcze, wiedz, że nigdy o tej porze  
 Żadna rybacza łódź nie puści się na morze,  
 Choćbyś miliony dał—bo tam wśród raf i skał,  
     Śmiałków tysiące ciał  
             Na ląd  
 Już wyniósł prąd.

Bo tam rok w rok, w pamiętny dzień,  
 Po ciemnej tafli wód  
     Biały się sunie cień.  
 I wnet ci wzrok przesłoni kir,  
 I łódź skierujesz na skały i wir.  
 — Bo tam rok w rok w pamiętny dzień,  
     Po ciemnej tafli wód,  
     Aż do świtania zórz

Do pierwszych brzasków ranka

Chodzi i szuka kochanka

Królewna mórz,

Królewna cud.

M. TATARKIEWICZ.

— Czy się wiesz, jak nawodzi wiatr, jak piosenka, jak się śmieje

— Wzrusza to takie serce, co się nie po śmieje

O samotności, wiede, że nigdy o tej porze

Żadna dziewczyna nie pukała się do drzwi,

Obchodziła się — to tam śród tań i śmiech,

Śmiechów i tańców

Na jej

Tam wysiadał pięk.

Po tam rok w rok w piosence śmiech,

Po cieniu tań wód

Śmiech się śmieje śmiech

I weseł ki weseł przesłonił śmiech

I śmiech się śmieje śmiech w weseł weseł

— Po tam rok w rok w piosence śmiech

Po cieniu tań wód

Śmiech się śmieje śmiech

---

# Wrażenia literackie.

---

## *Lili i Bronka*<sup>1)</sup>

---

Dwie dole, dwie sfery, dwa talenty, dwa rozczarowania pragnę-  
bym porównać pod świeżem wrażeniem dwóch przeczytanych książek:  
pp. Reymonta i Niemojewskiego. Często recenzent łączy z sobą  
w sprawozdaniu utwory, idąc jedynie tylko za przypadkową okolicz-  
nością ukazania się ich w jednym czasie. I gdyby chodziło tu o pokre-  
wienieństwo utworów, prawdziwie nie umiał-bym wylegitymować się  
z połączenia „żałośniei idylli“ Reymonta z pełnym rozterki protestem  
Niemojewskiego. Zbliżając je, miałem właśnie na uwadze pewne cha-

---

<sup>1)</sup> Wł. St. Reymont: „Lili“, żałośniei idylla; — Andrzej Niemojewski:  
„Listy człowieka szalonego“.

rakterystyczne pod względem literackim różnice tych utworów. Pierwszy bowiem, jak zwykle rzeczy Reymonta, jest wyrazem obserwacji zewnętrznej, rektyfikowanej, jeśli rzecz można, z wszelkiego subiektywizmu. Drugi zaś jest teorią bolesnych i sprzecznych uczuć, które płyną z podrażnionej duszy autora, jak krew, pędzona gorączkowym pulsem, upływa z rany. Świat zewnętrzny jest tu, ściśle biorąc, potrzebny o tyle, o ile autor „chce“ nam odsłonić zewnętrzne przyczyny tego krwawienia duszy.

I otóż ciekawem jest już samo w sobie zestawienie takiego prze-magania się dwóch pierwiastków twórczości, obserwacji i nastroju, w dwóch utworach. Ale nie koniec na tem. Każdy utwór artystyczny można-by porównać do okrzyku, rzuconego na los przez artystę. Otóż każdy okrzyk, nawet bezcelowy, budzi echo. Niekiedy echo takie w labiryncie myśli ludzkiej, gdzieś w dalekiem już odbiciu, potrąca strunę, która mu odpowiada nagle z wielką siłą. Zdaje mi się, że oba te utwo-ry, choć różną kolejną ech, budzą drganie jednej takiej, strasznie dziś w nas napiętej, struny.

## I.

Lili jest dziewczęciem o świeżej, jeszcze dziecinnej twarzyczce. Oczęta z takiej twarzy nie patrzą, tylko promienieją. Serce w takiej młodej piersi trzepocze się, jak skowronek w słońcu. W tych warunkach rączki takiej Lili mogą grabić z zimna w dziurawej mufce, nogi mogą dreptać w podartych bucikach, ale to nie przyćmi jej promiennych ocząt, nie zaboli jej. Lili taka maszeruje żwawym krokiem prosto do szczęścia. Jakie to szczęście? Gdzie ono? Rzecz zupełnie obojętna. Szczęście jest, czeka na nią—to grunt. Jakies ogromne, nieskończenie jasne szczęście, które się przecież zaczyna w tem skowronkowem zrywaniu się serca i ogarnia, naturalnie, cały świat!

Lili jest aktorką. To zapewne wielu wytrawnym i wyrafinowanym wyobraźniom zepsuje nieco wrażenie.

— Ach, taaak!.. — przeciągnie niektóry czytelnik. — „Więc to niby taka naiwna?“

Właśnie, że nie.

Jest to dziwny paradoks życia scenicznego, że owe „niby naiwne“, rzadko bardzo w rzeczywistości mają w sobie szczerą, naiwną

młodość. To jest raczej cechą „lirycznych“. I ciągnąc dalej ów paradoks, nadmienić wypada jeszcze, że taka „liryczna“ Lili, taka uśmiechnięta, jak wiosenny ranek, taka stworzona do szczęścia dziewczyna, nieodwołalnie prawie gaśnie we łzach i w bólu. Czem to się dzieje?

Reymont opowiada trochę o tem w swej „żałośnej idylli“. W małej jakiejś, śniegiem zawianej mieścinie, siedzi trupa aktorów. Oczywiście, nędza grasuje w trupie, gdyż „spektakle“ robiły „klapę“. Żle jest z garderobą, która idzie na fanty, i tylko taki rzetelny, kabotyński humor ocala tych ludzi od śmierci głodowej, albo zamarznięcia. Zresztą, pomysły są: trupa przy święcie postanawia urządzić nadzwyczajne przedstawienie, i sam „dyrektor“ wraz z „amantem“ wybierają się z biletami po okolicznych dworach.

Trudno było wybrać moment charakterystyczniejszy dla rozszucia niezawilej baśni „żałośnej idylli“. W nieskończenie barwnej panoramie epizodów przeciągają przed nami typy prowincjonalne. Wysuwają się oto naprzykład przez lufcik głowa szlagona z fajką, i słyszymy taki dyalog:

— Co za interes? — zapytuje głowa z lufcika, puszczając kłąb dymu.

— Jesteśmy artyści dramatyczni.

— Aktorzy! Niech Pan Bóg opatrzy!..

Gdzieindziej „pan dziedzic“ mówi do „dyrektora“:

— Cicho, Pan!..

Ale bilety swoją drogą rozkupione i spektakl się odbędzie.

Inaczej znów reaguje na „sztukę“ miasteczko.

W małym garnku życia drobnomieszczańskiego obecność trupy, aktorów i aktorek, musiała, oczywiście, nawarzyć zamieszania. Są więc zatargi i intrygi, plotki i odwracania się. Wreszcie, dla honoru miasta, przez dobrze zrozumianą miłość bliźniego, a głównie dla upokorzenia tych-że bliźnich, miasteczko, to jest pani aptekarzowa, burmistrzowa, konsyliarzowa, urządzają dzieło miłosierdzia na rzecz trupy. „Na gwiazdkę“ otrzymują aktorzy i aktorki od potentatów miasta upominki w naturze i gotowiznie: ciepłe kaftany, kielbasę, cukier i herbatę, po dziesięć złotych w papierku, cukierki...

Mniej więcej tak samo koczuje i żebrze tabor cygański, i trudno określić, czy bardziej dziki i godny litości ów tabor, czy ci, których tabor bawi? Bo też i owa „trupa“!

Trudno o coś bardziej paradoksalnego, jak takie „towarzystwo dramatyczne“. Są w niem zwichnięte w lotach ikarowych egzystencye; są wyaranżowane stare pudła z ulicy; są całkiem zażywne, starczo-egoistyczne i mieszczańskie z nałogów stadła „artystyczne“; są rozpaczliwi nędzą rodzin komicy; są amanci „z warunkami“, to jest lale

z buzią równie dekoracyjną, jak głupią; są starzy i młodzi cynicy; subretki, grające hrabiny, i hrabiny, grające subretki; są talenty na dobrotku i są talenty - łachmany, które wystrzępiła w szmaty gorzka nędza, nieudane życie. Wszystko to razem składa tak zwane „towarzystwo artystyczne“, któremu przewodzi zazwyczaj taki półsprytny i pechowaty dyrektor Cabiński.

Reymont w „Komedyantce“ dał już raz obraz cyganeryi artystycznej w naszym stylu; w „Lili“ maluje go po raz drugi, jako mistrzowskie tło „żałośniei idylli“.

A otóż i ona: Lili pokochała pierwszy raz, po dziecinnemu prawie, młodego aktora, Zakrzewskiego. Zakrzewski pokochał Lili. Że zaś nierządki traf zdarzył, że Zakrzewski jest synem „porządnej rodziny“, i na czas, z amatorstwa, przystał do trupy, więc kocha ją uczciwie i seryo myśli o ożenku. Przez kilka dni trwa to marzenie. Lili żyje w jakimś bolesnem przeczuciami zachwyceniu. W głowie jej prawie się nie mieści, że będzie miała „prawdziwą“ ślubną suknię, „prawdziwe wesele“. Wierzy i nie wierzy w to ziszczające się szczęście. Wigilijny nastrój rzuca na ich młodzieńcze zakochanie jakieś rzewne i czyste światło, że najdoświadczszemu dylettantowi te kartki zapierają dech w piersi i każą nieświadomie życzyć bohaterom, „żeby to się dobrze skończyło“. Niedobrze się kończy. Po owym sławnym spektaklu, na który „towarzystwo“ malowało dekoracye na prześcieradłach, „obywatelska młodzież (a jakże!) wyprawiła huczną kolacyę całemu towarzystwu, które bibę przyjęło skwapliwie“.

(Proszę zwrócić uwagę na ten frazes, daje on bowiem miarę ruchliwości wyobraźni autora: Jak tu świetnie ożeniona, „huczna kolacya“, przez obywatelską młodzież „wyprawiona“ z „bibą“, przez towarzystwo „skwapliwie przyjętą“. Pierwsze — to rzecz widziana od strony publiczności, drugie — od strony kulis. Całość jest arcydziełem charakterystyki, w jednym zdaniu zawartej).

Otóż po tej uczcie, Lili przyznaje się Zakrzewskiemu, że miała i ma kochanka, i Zakrzewski, cisnąwszy jej w twarz obelgę, ucieka.

I znowu widzę domyślny i pełen finezyi uśmiech na ustach wytrawnych i wyrafinowanych czytelników:

— „Aaa... no, tak... tego się można było spodziewać!“

Niestety, wytrawność ta nas zawiedzie, gdyż Lili — nie miała kochanka... Lili skłamała, skłamała własnemu szczęściu, własnej miłości, z rozpaczą w sercu oczerniła sama siebie w oczach kochanego człowieka.

Wymaga to, oczywiście, pewnego wyjaśnienia. Reymont je daje na swój sposób, i tu jest moje pierwsze rozczarowanie.



Lili ma matkę dziwaczkę, pochłaniającą całymi dniami romanse. Ta matka sama miała w życiu bolesny romans, i oto wytłumaczyła córce, że *takie* szczęście jest niemożliwe, że dziewczyna z *ich sfery* musi wcześniej czy później przypłacić szczęściem wdarcie się do sfery „porządnej”. Lili się z tem zgadza, i jak nowa Małgorzata Dumasa, nie bez teatralnego bohaterstwa, niweczy własną dolę, przynajmniej zaś — pierwszej ostatnią idyllę swego życia.

Otóż ja-bym to tłumaczenie Reymonta uważał za niewystarczające. Zgoda na taką matkę i na taką rozmowę z córką. Dla Lili jednak ten punkt wyjścia może być tylko *zewnątrznym pretekstem* samego postępku, nie zaś jego *wewnętrznem umotywowaniem*. Mnie się zdaje, że Lili musiała zerwać z Zakrzewskim, jak wogóle musiała z idylli wiosnianej swego życia wydobyć ból i łzy, z innych, bardzo głębokich przyczyn. Te przyczyny tkwią w charakterze i powołaniu aktorki z bożej łaski. Zakrzewski ofiarowywał jej ognisko rodzinne wzamian za życie na scenie. Otóż w Lili miłość sceny była silniejszą, niż miłość owego, w perspektywie widzianego, ogniska.

Młode dziewczęce serce nie umiało nawet sobie zdać sprawy z tej rozterki, lecz wybrało niepochybnie, bez obłudy, to, bez czego żyć nie mogło.

I dziwno mi, że Reymont po prostu i bez pozy nie dał nam wejść do tej dziewczęcej, zmaconej duszy, na której niespokojny geniusz sztuki położył swą płomienistą dłoń. Czy autor myślał, że artystka - Lili inaczej czuje wszechwładzę powołania, niż artysta - Reymont? Dusze artystów wszystkie jednak lecą ku powołaniu swemu, podobne do owych gołębi, które nie zdołają oprzeć się fatalnej sile wzroku węzowego. Meta ich tylko odmienna i siła lotu.

I tu następuje się mimowoli uwaga, że oto w tym doskonałym obiektywizmie opisowości, który z tła „Lili” stworzył arcydzieło, zabrakło autorowi czegoś na tę jedną, jedyną chwilę, kiedy trzeba było wcielić się w zmaconą duszę dziewczyny. Czego? Jeszcze przenikliwszej, jeszcze dalej idącej obserwacji — takiej obserwacji, która już jest prawie jasnowidzeniem. Więc, właśnie, mówiąc po prostu — subiektywizmu, uczucia, nastroju.

Całego, skończonego dzieła sztuki niema bez tego cudu przedzierzgnięcia się duszą w rzecz opisywaną.

## II.

Co się stało z Lili potem?

Na razie nie potrzebujemy się tem zaprzątać. Zostawmy ją pełną placu, wśród „młodzieży obywatelskiej“ i kolegów-artystów, sami zaś przejdźmy do innego cygańskiego obozowiska. Znajdziemy tu również obfitość młodzieży, artystów-kolegów i — Bronkę.

O filistrach, których okazy w „Lili“ odznaczały się przynajmniej typowością, mówić tu nie będziemy. W „Listach człowieka szalonego“ p. Niemojewski nie pokazuje właściwych, czystego typu filistrów, choć o nich wspomina. Pokazuje natomiast świat malarski, czyli tak zwaną „malaryę“. Mówiąc: „pokazuje“, mamy na względzie samą tylko intencję autora, nie zaś rzecz dokonaną.

Świat malarski nie da się tak łatwo scharakteryzować, jak świat aktorski. Tam, jak wiemy, nieoconione usługi opisującemu oddaje istnienie tak zwanych „towarzystw dramatycznych“, to jest trup. Dalej, scena i kulisy łączą aktorów w pewną całość charakterystyczną, której „zespół“, nawiasem mówiąc, doskonalszym jest może w życiu samym, niż na scenie.

Inna rzecz z „malaryą“.

W akademii, w szkole, jest to właściwie typ wielce pokrewny typowi studenta zagranicznego. Potem zaś, w życiu, malarze podlegają ogromnemu zróżniczkowaniu się typów, i twierdził-bym, że na ogół mniej jest między nimi profesjonalnego podobieństwa, niż naprzykład między lekarzami, lub adwokatami.

Zresztą, p. Niemojewski daje nam taką „kolonię“ nie samych tylko malarzy, lecz wogóle ludzi, sztuce oddanych. Kto wie nawet, czy to pojęcie „malarz“ nie jest wprost symbolem? Trochę na to wygląda.

I przyznaję się z góry, że w nastroju całości „Listów człowieka szalonego“ nie szkodziło-by mi nic a nic, gdyby wszyscy występujący tu ludzie byli tylko symbolami. Zrównoważyło-by to wówczas utwór, którego trzy czwarte i tak są właściwie nieco scholastyczną rozprawą. Tezę tej rozprawy formuluje p. Niemojewski w jednym miejscu, jak następuje:

„Geniusze grzeszą nieraz ciężko przeciw ludzkości, ale mogiłą tych grzechów jest olbrzymia góra ich zasług. Talenty natomiast za-

chowują się względem ludzkości niemal odwrotnie. Na strzelistej gorze ich grzechów strzępi dumnie pióro pisklę ich dorobku duchowego.

„Czas strąca owo pisklę w otchłań wieczystego zapomnienia, a góra krzywd pozostaje“.

Doktorantem tezy jest właśnie ów „człowiek szalony“, który ją w formie „listów“ podał publiczności.

Człowiek szalony! Jakaż to trudna rzecz być człowiekiem szalonym! Bo sędzę, że czytelnik domyśla się z góry, o jakiego rodzaju szaleństwo tu chodzi? Chodzi o ten szal, którym się różni Mickiewicza „ludzie szaleni“ od „ludzi rozsądnych“, o ten, którym wołał: „bądźmy rozumni szalem“! Chodzi, słowem, o szal wodzów i proroków, szal natchnień, szal jasnowidzeń, szal myśli i uczuć przewodnich, które w ciemne noce dziejów rozpalają się przed pokoleniami w gorejące nieziemskim ogniem drogowskazy. Prawdziwie, szaleństwo takie jest równoznaczne z geniuszem, i napisać listy człowieka szalonego znaczy tyleż, co napisać listy człowieka genialnego.

Dlatego doznałem rozczarowania, czytając książkę p. Niemojewskiego. Spowodował je rozdźwięk między narzucającem się koniecznie wymaganiem miary, a miarą, osiągniętą przez autora.

Są to bowiem listy człowieka zdenerwowanego, nie zaś szalonego. Oto ich osnowa, pozbawiona kazuistyki i zakreślona na siąg wykonania, nie zamiaru.

Pewien człowiek uczciwy, znalazłszy się w sferze artystów, spostrzegł, iż ich życie codzienne zawiera sporo brudu i że ich ideały w sztuce zawierają mało człowieczeństwa. Zmysły służą za podścielisko tym ideałom, które znów z kolei służą za obłudne pokrycie gry tych-że zmysłów w życiu. Człowiek ten, słowem, dostrzegł to, co opisał naprzykład Max Nordau, i co specjalnie w osobie, czy symbolu malarza dał Sudermann w „Końcu Sodomy“.

Zaczem z wielkim rozmachem i głosem, którego podniesienie można tylko wytłómaczyć silnem zdenerwowaniem, człowiek ów jął na nowo prorokować o tych, już powiedzianych, rzeczach. Że nie napisał po prostu rozprawy, nie oświetlił rzeczy dość wszechstronnie; że zaś jednak sprowadził rozprawę w wątek zdarzenia życiowego — uczynił, jak czynią kazuści: zamknął uogólnienie w zbyt konkretnem zebraniu. Stąd nieuchronne pęknięcie całości.

Ogromnie trudny to rodzaj, ów rodzaj mieszany. W ostatnich czasach mieliśmy jedną taką dobrą rzecz: „Żywot i myśli Podfilipskiego“. Ta udała się między innymi właśnie dla tego, że zaczęta była z tonu niemal potocznej, banalnej rozmowy, nie zaś kazania, lub proroko-

wania. Na Zachodzie jeden może Anatol France robi te rzeczy w literaturze po mistrzowsku — i znowu dlatego, że przemawia z tonu niezmiernie dyskretnego, choć ma tyle do powiedzenia, i tak umie mówić!

Gubimy się już od dłuższego czasu w próbach ujęcia i scharakteryzowania „Listów człowieka szalonego“. Nie jest to łatwe, zmieniamy bowiem punkt wyjścia za autorem. Raz próbujemy rzecz ująć ze stanowiska bajki powieściowej—braknie bajki; drugi raz ze stanowiska charakterystyki sfery — brak charakteru; to znów ze stanowiska prorokowania — brak siły proroczej. Nie jest ten utwór rozprawą, nie jest powieścią. Jest ogromnie subiektywnym wylewem uczuć i refleksyi, w formie wycieczek lirycznych i filozoficznych, przypominanych scen i zdarzeń. I tu, zdaniem mojem, występuje na jaw zasadniczy błąd jego budowy.

Znamy p. Niemojewskiego z artykułów, poezyi i dawniejszych utworów jego prozaicznych. Zdaje się nam, że jest to umysł, pracujący bardzo normalnie, metodyczny nawet w fantazyi, o silnie wyrobionych przekonaniach i równie silnie zaakcentowanych sympatyach i antypatyach. I wyobrażam sobie rzecz p. Niemojewskiego na ten sam temat pod tytułem: „Listy człowieka normalnego“.

Pisząc taką rzecz, p. Niemojewski nie zrywał-by sobie wyobraźni na ściganie niedościgłej mary „szaleństwa“, lecz mógł-by z całą, sobie właściwą, dosadną solidnością i trzeźwością przekonań założyć ów protest, o który mu chodzi. Odpadło-by wówczas z utworu wszystko, co tu w formie wysilonego aforyzmu, lub nie dość ściśle obserwacyi razi kazuistyką. Rzecz natomiast zyskała-by na szczerości—pierwszym i zasadniczym warunku utworu subiektywnego. Bo utwór tak jest prawie spowiedzią, spowiedź zaś wszelka nie znosi pozy — nawet najszlachetniej przybranej.

I znowu tu stanęliśmy na owem pograniczu obserwacyi i nastroju: trzeba poznać i zdać sobie sprawę z własnych sił bardzo *obiektywnie*, żeby w rzeczach *świadomie subiektywnych* nie przeciągnąć tonu, nie uronić w niczem szczerości nastroju.

## III.

Nie mówiliśmy dotąd wcale o Bronce. Tymczasem postać jej z odczucia, obmyślenia i odtworzenia należy do najlepszych kart „Listów szalonego człowieka”.

Bronka jest modelką. Była kiedyś córką „porządnej” rodziny, wyrosła na wsi i przywiozła na bruk miejski sielską, naiwną, dobrą wiarę w ludzi. Z tej dobrej wiary krwawo sobie zadrzył taki Stefek, którego niepotrzebnie robi autor malarzem, bo to jest zwykły szubrawiec. Co to ma wspólnego z farbami?

Odtąd Bronka przechodzi z rąk do rąk. Żyje z nią Julek, Staś, Gutek. Dziewczyna rada-by zostać przy jednym, ale każdy z nich lubi zmianę, i Bronka, trochę nieprzytomna, wędruje z pracowni do pracowni.

Trafia się wreszcie chłopak, który ją pokochał, i Bronka mu wzajemna. Ale wówczas budzi się w „szalonym człowieku” Hialmar, który każe Bronce koniecznie opowiedzieć przyszłemu mężowi: „ile razy?..” W powodzi frazesów nie spostrzega nawet „szalony człowiek”, jak tę nieszczęsną spoilo znowu godne grono Julków i Gutków, i znowu doprowadziło do bezprzytomnego zbydłęcia.

„Narzeczony” naturalnie znika, jak robiony anioł na scenie na widok szatana, Bronka wreszcie cuci się na dobre i przeziera swoją dolę nawskroś,—przejrzawszy, topi się w Wiśle.

Autor odczuł Bronkę głęboko i boleśnie. Jej dobroć porywczą i naiwną, ten dziwny czad płaczących się myśli i nagłe ocknięcie się dziewczyny oddał znakomicie. Prawie, że sama tylko Bronka żyje w tym utworze pełnem życiem—tak ją ożywiło szczere, bolesne *współczucie* autora.

I rzecz szczególna. Tam, gdzie Lili, tak pysznie podmalowanej, brakło tylko jednego dotknięcia pędzla, żeby ożyła w niesłychanej sile kreacyi, tu, przeciwnie, przy dużych wadach tła, przy niewprawnem naszkicowaniu samej postaci, to jedno technienie jasnowidzącego współczucia czyni z Bronki tętniącą życiem postać obrazu.

Jeszcze po śmierci biednej modelki, po przez deklamację finału, której nie odmawia sobie „szalony człowiek“, staje mi w oczach rozplakana gorzko twarz tej dziewczyny nad Wisłą.

Ta twarz Bronki, idącej w śmiertelnej kąpieli obmyć się z grzechów i bólu, stoi mi w oczach po przeczytaniu „Listów szalonego człowieka“, jak po przeczytaniu „żałosnej idylli“ stawało w myśli pytanie: „Co będzie z Lili potem“?

Istotnie: dlaczego rzecz, w gruncie nie tak znów tragiczna, jak zerwanie narzeczeństwa (trafia się to najporządniejszym pannom po parę razy w życiu), pozostawia tu żal i gorycz? Dlaczego na Lili, która przecież ma cały świat pracy dla sztuki przed sobą, patrzemy, jak na skazaną?

I gdzieś w labiryncie myśli echo cichej skargi z „żałosnej idylli“ łączy się z bezsilnym płaczem Bronki, i uderza w jakąś bolącą, a znajomą strunę duszy.

Twarz Bronki wypływa skażona i blada tuż obok dziecinnej twarzy Lili, jak złowieszcze ostrzeżenie życia.

Dlaczego?..

Co jest wspólnie przynębiającego, bolesnego w tych dwóch dołach—co je wzajemnie uzupełnia, co je łączy w jakieś jedno upokorzenie człowieczeństwa?

W odpowiedzi wychyla się z ram „żałosnej idylli“ rozbawione grono obywatelskiej młodzieży, dalej „skwapliwie przyjmujące bibę towarzystwo artystyczne“, dalej sam Cabiński, dalej stare, o cynicznej masce aktorzyce, „robiące sobie twarz na scenę“, dalej znani z „Komediantki“ „redaktorowie“ za kulisami, dalej kilku „hrabiów“, wędzających w okolicy kulis, i tłum pokrewnych im mydlków gorszego urodzenia.

A gdybyśmy odwrócili kartę, znaleźli-byśmy znów liczną kompanię „nadludzi“, wyprawiających stypę i nurzających się w łoscocie frazesów o „sztuce“. Tuż Bronka i jej towarzyski ilustrują tę „sztukę“ pogładowo...

My znamy dobrze tę atmosferę nieczystych oddechów i gorączkowych miazmatów, w której hodujemy kwiaty swojej sztuki. Dlatego ogarnia nas smutek i budzą się echa jakiejś niesnaski sumienia, gdy jeszcze jedna egzystencja naiwnie dąży służyć naszym „ideałom“.

My wiemy, jak potrafimy zadrwić z tych dążeń, i w jakiej brudnej uludzie je zgasimy...

ANT. POTOCKI.

---

## *DWA ZJAZDY.*

---

Badania porównawcze zyskują w nauce znaczenie coraz wybitniejsze. Nie idzie za tem, by metoda inna, studyowanie przedmiotu samego w sobie schodziło na plan podrzędny; zbytby to było dowodzić, że w wielu razach, zwłaszcza, gdy mamy wykazać rozwój danej gałęzi naukowej w czasie lub przestrzeni, system porównawczy bywa niezastąpiony. Twierdzimy nawet, że w większości wypadków i tam także, gdzie badania naukowe ogarniają przedmiot oderwany, mimo woli uciekamy się do porównania, by tem wyraźniej uwydatnić różnostronne cechy i znaczenie naukowe przedmiotu. Stan nauki w danej chwili jest wynikiem usiłowań nad rozszerzeniem poprzednich jej zdobyczy. Etapy takie są nawet krótkie, gdy postęp kroczy nieustannie, a gdy się zatrzyma, nauka wczorajsza obumiera, wstępuje do archiwum wiedzy, traci samoistność i staje się tylko materiałem, z którego korzystają inne badania.

Metoda porównawcza, uwydatniając różnicę poziomów naukowych w rozmaitych momentach, posiada i tę stronę dodatnią, że określa stopień rozwoju rozpatrywanego przedmiotu; a im wyraźniej porówna-



nie wykazuje ten rozwój i postęp, tem skwapliwiej uznajemy naukowe jego znaczenie.

Względy powyższe sprawiły, że, będąc obecni na drugim zjeździe archeologów, zamkniętym niedawno w Kijowie, cofnęliśmy się o lat 25, by spojrzeć na podjęte tamże prace zjazdu pierwszego.

Ogólne ich cele były jednakowe: oba dążyły do przedstawienia zebranych wyników poszukiwań z daty ostatniej, wśród pomników przeszłości, zwłaszcza i przeważnie tych, które się znajdują lub znajdowały w promieniu, określonym z góry, przy uprzednim wyborze miejsca, dokąd zjazdy zostały zwołane. Wszakże pewne cechy ogólne i doniosłość wyników prac naukowych w działach pojedynczych zjazdów przedstawiają różnice znamienne. W r. 1874 archeologia nie była już wprawdzie krajem świeżo odkrytym, lecz cel jej i zakres nie zostały jeszcze do owej pory ściśle oznaczone. To też w rzędzie odczytów na tym zjeździe na pierwszym planie spotykamy takie, w których celniejsi uczeni wypowiadają własne zapatrywania na istotę archeologii, oraz inne, w których powagi nie mniejsze przeciwstawiają tamtym dowodzenia swoje.

Na wstępie wysunięto pytanie o zadaniach archeologii, jako nauki samoistnej, a wnioskodawca uznaje, że kwestya ta jest tak trudna do rozwiązania, iż podniesienie jej tłómaczy powszechnem tylko, a gorącym życzeniem, by ją na zjeździe rozpatrzono w zechstronnie<sup>1)</sup>. Istnieją bowiem — powiada — wątpliwości, czy archeologia jest istotnie nauką, czy ma swój osobny, określony przedmiot do poznania i czy jest w istocie systemat, metoda, za pomocą których materyał archeologiczny ma być badany.

Widzimy stąd, jakie wątpliwości nasuwały się jeszcze wówczas w umysłach ludzi oddanych archeologii.

Można-by sądzić, że sama jej nazwa grecka, „nauki o starożytnościach,“ zadanie, acz ogólnikowo, określa. Lecz rzecz ta nie wydawała się tak łatwą wnioskodawcy, skoro twierdził, że wyraz „starożytność“ ma znaczenie tak dalece obszerne, granice pojęcia w niem zawartego tak są nieuchwytnie, iż trudno orzec, co mianowicie, w znaczeniu naukowym, pod nim pozumieć należy. Nadto, pozostałości z czasów dawno upłynionych są to ułamki całości zrujnowanych, rozrzucone częstokroć bezładnie, a pochodzące z okresów rozmaitych. Dla wydobycia z nich wyników naukowych niezbędnem jest uprzednie ułożenie systematu, metody; lecz o metodzie archeologicznej nikt jeszcze, zdaniem mówcy,

<sup>1)</sup> „Trudy III arch. sjezda“ T. I, 1—17. Odczyt Zabcichina.

nie słyshał. Ułożenie jej nie jest wprawdzie wyłączone, jak tego dowodzą nauki inne—drogą rozumowania logicznego, opartego na analizie przedmiotów, poddawanych badaniom. By jednak dojść do celu, musiały one użyć środków specjalnych, obejść się z ogólnymi zasadami wiedzy, każda po swojemu; w archeologii zaś sposoby takie nie są wiadome.

Zdawało-by się po tym wstępie, że autor jego odrzuci powagę archeologii i samą jej nieodzowność naukową. Bynajmniej; sprawdza on tylko dotychczasowy fakt jej nieokreśloności, niepewności gruntu, po którym stąpa, a nieco dalej przedstawia taką genezę przedmiotu.

Narodziny archeologii przypadły z chwilą, gdy jutrznia wieków nowożytnych, okres odrodzenia nauk i sztuk, wydobył z zapomnienia pomniki, zostawione przez świat klasyczny.

Powstała nazwa „antique“, oznaczająca dzieła starożytne, lecz zastosowywana do tych tylko, które odpowiadały pojęciu o pięknie, były tworem sztuki. Czas jakiś archeologia poprzestawała na tym jedynie materyale, obejmowała zaledwo część tego, co dziś ogarnia. Wkrótce jednak narody, do niedawna barbarzyńskie, zwróciły uwagę i na dzieła własnych przodków, pojęcie o starożytności stopniowo się rozszerzało i powstały „archeologie“ różnych narodowości, które jednak, idąc już drogą utartą, na razie wprowadziły do zakresu naukowego to tylko, co się zgadzało z osobistym pojęciem narodowości tych o dziełach sztuki, o pięknie.

W porównaniu ze sztuką cywilizowanego świata starożytnego, z tem, co, jak widzieliśmy, nazywano „antique“, przedmioty takie początywał zawsze pseudoklasycyzm za barbarzyńskie; bez względu na to jednak, pojęcia nowe rozszerzały się coraz bardziej. Na gruncie nowym zaczęto gromadzić, obok istotnych dzieł sztuki, przedmioty dotyczące innych a przeróżnych objawów życia narodowego, nawet właściwie do archeologii nienależące. Wszystko, co było starodawnem, jak naprzykład zbutwiałe kości ludzkie, archeologia próbowała zagarnąć; lecz na tem polu spotkawszy antropologię, musiała ustąpić i przystać na sojusz, dzięki któremu, obie te gałęzie wiedzy dopomagają sobie wzajemnie.

Tak jest w istocie, jeśli pod wyrazem „antropologia“ rozumieć tę część nauki o człowieku starożytnym, która rozpoznaje tylko fizyczne jego cechy na podstawie wykopalisk kostnych. Tak też rozumiał w tem miejscu wyraz ten i autor pierwszego wniosku na zjeździe 1874 r.; gdyż objaśnił dalej, że Antropologia, pojęta w znaczeniu szerszem jest zbiorowiskiem wszelkich nauk, w których się przejawiają „gesta

Dei per hominem<sup>4</sup>. Mówiąc ściślej, antropologia, stojąc wśród nauk przyrodniczych z jednej strony—gdyż bada pochodzenie i ustrój człowieka,—z drugiej zalicza się do nauk o zakresie znacznie szerszym, gdyż obejmuje całą twórczość człowieka, zatem historię, językoznawstwo, etnografię, socyologię itp., a razem z niemi i archeologię. Wszystkie te części, z czasem, utworzą jedną, olbrzymią całość organiczną.

Za pomocą ogólnych pojęć antropologicznych, których wyrazem są nauki wyżej przytoczone, wytwarza się osobny dział wiedzy antropologicznej, „historii kultury“, w którym umysłowy i etyczny rozwój człowieka najgłówniejszym jest przedmiotem badań. Tę historię kultury autor wniosku utożsamiał do pewnego stopnia z archeologią, gdyż jej materyał poczytywał za przedmiot archeologiczny, a zadanie za to samo, co i zadanie archeologii. Jedyna różnica, na którą się zgadzał, polegała na tem, że historia rozpatruje twórczość człowieka z punktu ogólnie ludzkiego, dla którego jedynie znaczącym jest rozwój wytwórczości masowej, rodowej, podczas gdy archeologia zadawała się tylko badaniem wytwórczości jednostek.

To też i materyał naukowy, z którym ma do czynienia historia kultury, dzieli wnioskodawca na archeologiczny i historyczny. Pierwszym staje się on wówczas, gdy daje pojęcie o twórczości tylko pojedynczego człowieka, drugim zostaje wtedy, gdy wyprowadzane zeń wnioski dają się zastosować już nie do jednego osobnika, lecz do całego rodu.

Stanąwszy na takim stanowisku, musiał wnioskodawca zaznaczyć, że twórczość pojedyncza wydaje przeważnie, prawie wyłącznie, przedmioty dotykalne; dla tego też materyałem archeologicznym są głównie pomniki rzeczowe, zaczynając od papyrusu, a kończąc na piramidach. Wszakże—powiada dalej—wszelki kształt, nadany surowemu materyałowi przez człowieka, jest tylko odbiciem jego myśli; dla tego-to, chcąc objąć wszechstronnie byt ubiegły, pomnikami rzeczowymi archeologia się niezadawała i sięga do wyżyn idealnych, do sfer umysłowych, gdzie na nią oczekują pomniki obyczajowe, obrzędowe, wierzenia i wiele innych, wyrażających stronę duchową człowieka, zawsze jednak o tyle, o ile są wytworem sił jego osobistych, nie zaś zbiorowych rodu całego. Nawet początki historii języka zalicza autor wniosku do archeologii, ponieważ historia ta zaczynała opowieść swą od wytwórczości jednostki. Dla tych samych przyczyn historia sztuki, acz wydzielona z zakresu archeologii, w pewnej mierze pozostaje w nim faktycznie.

Stosownie do poglądu powyższego na wytwórczość starożytnego człowieka-jednostki, jako na przedmiot archeologii, wypada ułożyć system tej ostatniej i uporządkować materiał, z którym ma do czynienia. Ponieważ początki twórczości są nadzwyczaj proste, skierowane ku zdobywaniu pokarmu, odzieży i mieszkania, przeto i materiał pierwotny składa się z tego tylko, co dało rękodzielnictwo, po dawnemu sztuka, przemysł domowy. W ten sposób pierwszy dział archeologii zawierać powinien szereg pomników bytu domowego, ze wszystkimi jego szczegółami i we wszelkich kierunkach. Lecz w miarę, jak człowiek pierwotny ze sfery czysto praktycznej wkraczał w sferę rozmyślań nad otaczającym go światem, zjawia się „myt“, a jednocześnie na różne strony twórczości ludzkiej pada światło odmienne od dotychczasowego. Rzemiosło zaczyna nabierać cech sztuki: zdobi wytwarzane przedmioty wizerunkami uplastyczniającymi pojęciomistyczne. Dla tego też archeologia nie może się ograniczyć do tego materiału, który nazywano „antique“: przed nim bowiem już zawiązki, które, choć do sztuki czystej zaliczyć się nie dadzą, stanowiły jej zapowiedź, a zwłaszcza — dodaje autor wniosku, wierny swej zasadzie — były wyrazem twórczości indywidualnej. By tę zasadę, ten swój osobisty pogląd na archeologię, uwydatnić, określa on na zakończenie stosunek, zachodzący między archeologią a historią w ten sposób, że gdy ta ostatnia bada wielkie momenty twórczości rodu całego, pierwsza, zaopatrzona w mikroskop, rozgląda się w najdrobniejszych szczegółach twórczości jednostek, których następnie dostarcza tamtej do uogólnień. Faktycznie więc historia bez archeologii obejść się nie może, a tem jest uboższa, im mniej materiału dostarczyła jej towarzyszka.

Do pewnego stopnia, odczyt powyższy był syntezą wielu poglądów ówczesnych; zawierał jednak sporo oryginalnych zapatrywań się samego autora. Że spotkało go tuż na miejscu przeciwieństwo zdań, wprawdzie między sobą różnych, wnioskujemy naprzód z natychmiastowego przemówienia profesora Pawłowa, dowodzącego, że archeologia jest tylko gałęzią historii — potężną wprawdzie i obejmującą wszelkiego rodzaju nauki, o ile dotyczą pomników materialnych, wytworzonych przez technikę i sztukę. Tak pojęta, posiada ona swą odrębną metodę, za pomocą której dochodzi do wniosków naukowych drogą wzajemnego porównania jednorodnych pomników rzeczowych, czyli „monumentalną“, o ile pomniki te są wyrazem rozwoju cywilizacji. Lecz najsilniejszą opozycję spotkał wnioskodawca w przemówieniu samego prezesa zjazdu <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> „Trudy III arch. sjezda“, T. I, st. 19—38. Odczyt hr. Uwarowa.

Nie dzielając zdań opponenty pierwszego, przewodniczący twierdził, że pojęcie dotychczasowe o istocie archeologii należy rozszerzyć, że ją uważać trzeba jako naukę samodzielną, której przedmiotem jest byt starożytny człowieka, badanie „wszelkiego rodzaju pomników,“ świadczących o trybie życia narodów starodawnych.

Założenie takie było tem ważniejsze, iż dalszy ciąg przemówienia przewodniczącego zawierał szkic programu, w jaki sposób archeologia ma być wykładana w uniwersytetach. Za granicą istniały już wówczas katedry odpowiednie. W państwie Rosyjskiem nie tylko, że ich brakowało, lecz same towarzystwa archeologiczne nie wypracowały jeszcze prawideł, mających kierować pracami rzeczoznawców, acz pragnęły, by prace te miały znaczenie naukowe. W prawdzie od r. 1851 zaczynają się i tu utwierdzać granice nauki starożytnej, a zjazdy rozpoczynają działalność (swą od r. 1868; właściwie jednak dopiero zjazd kijowski w r. 1875 kładzie podstawy programu, którego wykonanie w krótkim przeciągu czasu wykazało, jak dalece on był podatnym.

Wnosząc z dzieła Kanngissera „Grundriss des Alterthumswissenschaft“, zadanie i zakres archeologii w początkach wieku bieżącego pojmowano nader szeroko. Stopniowo jednak pojęcie o nich uległo zmianom w kierunku odwrotnym, tak dalece, że już we dwadzieścia lat później archeologię pożyczano za naukę, której przedmiotem winny być pomniki sztuki. Dopiero w połowie stulecia naszego Caumon, w dziele „Rudiments d'Archéologie“, wystąpił z pojęciami szerszemi, chociaż i on uwzględniał wyłącznie pomniki rzeczowe.

Wkrótce jednak pojęcia o archeologii stają się tak dalece racjonalne, że, jak to widzieliśmy wyżej, na pierwszym zjeździe Kijowskim prezydujący określa archeologię jako naukę „badającą byt starożytnych narodów na podstawie wszelkiego rodzaju pomników, które nam przekazała przeszłość każdego narodu.“ Niemniej określenie to wymagało porozumienia, co pod nazwą pomników archeologicznych rozumieć należy, by wiedzieć, na podstawie jakich warunków pomnik może być zaliczonym do rzędu archeologicznych. Rozumiał to doskonale prezydujący i w dalszym ciągu przemówienia swego zaznaczył, że dla nauki ważną jest tylko ta pozostałość starożytna, z której wnioskować można o czasie i miejscu jej pochodzenia, a zarazem taka, której stan zachowania pozwala na badania mniej lub więcej dokładne. Dla tego też za przedmiot nauki archeologicznej może być uznana bądź pozostałość rzeczowa, bądź opowieść zapisana, bądź wreszcie podanie ustne, które są zdolne wyjaśnić stan kultury, dać obraz bytu starożytnego pewnego narodu lub w pewnym okresie.

Wychodząc z tej zasady, badacz naukowy wiedzieć powinien, na jakim miejscu ten lub inny przedmiot został znaleziony, lub gdzie się znajdował od początku istnienia swego; w jakich warunkach go odszukano, do jakiego czasu należy; jak dobrze jest przechowany. Nie wszystkie wprawdzie pozostałości mogą dać odpowiedź stanowczą na powyższe pytania, a większa ich część odpowiada zaledwo na jedno lub dwa, lecz w takich razach rzeczą jest badacza dopomódz sobie w rozwiązaniu reszty przez porównanie z innymi pozostałościami tegoż rodzaju. Za pomocą krytyki ściślej ndaje się czasami odnaleźć dane zatracone.

Skoro przedmiot został już zaliczony do rzędu pomników starożytności, należy rozpatrzyć zarówno stronę jego archeologiczną, jak i estetyczną, gdyż każdy z nich obie posiada.

Pierwsza wykaże znaczenie w czasach, z których pochodzi; określi do jakiego stopnia, za jego pośrednictwem, można wnioskować o bycie starożytnym z tychże czasów, lub też uwydatni, jak dalece przedmiot ten dopełnia dotychczasowy brak wiadomości w tej mierze, jak dalece wyjaśnia rzeczy ciemne, niedokładnie jeszcze zbadane, a wzmiankowane w innych dziełach starożytnych.

Prócz tego, w stronie archeologicznej pomnika, należy odróżnić dwie odrębne cechy: ogólną, powstałą pod wpływem otoczenia, wśród którego został wykonany, i szczególną, będącą odzwierciedleniem nastroju umiejętności, talentu, lub pojęć autora samego, czy też tych, którzy nim bezpośrednio kierowali przy wykonaniu dzieła.

Tyle o stronie archeologicznej pomników; w drugiej zaś, w estetycznej, rozróżnił prelegent dwa poddziały: ściśle estetyczny, wskazujący, do jakiego stopnia pomnik odpowiada pojęciu o pięknie, i techniczny, wykazujący sposób jego wykonania.

W stronie estetycznej upatruje on również takie same dwa pierwiastki,—wpływ otoczenia i osobisty twórcy,—jaki rozpoznawał w archeologicznej, z tą różnicą, że tu ów ślad wpływów otoczenia stanowi to, co nazywają stylem, szkołą, typem miejscowym itd. Bywają wprawdzie twórcy genialni, którzy się wpływom tym nie poddają, których twórczość jest nawskroś osobista. Skutkiem tego zdarzają się i pomniki archeologiczne, których strona estetyczna nie daje żadnego, lub zaledwo słabe pojęcie o tem, jak dalece ich autorowie byli nieodrodnymi synami swego czasu i otoczenia. Lecz i geniusze, i dzieła podobne do wyjątków należą.

Nie samej tylko archeologii przedmiotem jest badanie pozostałości bytu starodawnego: zgadzał się pod tym względem autor rozbiera-

nego odczytu z opponentem pierwszym. Nie ona jedna był taki stara się przedstawić. Cel ten dzieli z nią historia; a obie pojęte w ten sposób stają się gałęziami jednej nauki o kulturze przeszłości.

Wyraz ten słyszymy więc powtórzony po raz drugi. Obaj wnioskodawcy kładą nań silny nacisk i przyznają, że węzeł pytania daje się rozwiązać w ten tylko sposób: treścią, podstawą, celem nauki archeologicznej jest zajrzeć do głębin przeszłości, do ciemnych jej tajemnic, by wynieść stamtąd możliwie dokładny obraz kultury.

Lecz gdzie są i na czym polegają w tym wypadku różnice między historią, a jej dostojną towarzyszką? Widzieliśmy, jakie zajmował stanowisko wnioskodawca poprzedni, na innem zgoła staję przewodniczący obradom zjazdu.

Godząc swą wytworną krytyką zarówno w wypowiedziane przed chwilą zdanie poprzednika, jak i w jedno z dawniejszych dzieł jego, zaznacza, że chociaż w nich określono szeroko zadanie archeologii, chociaż wykazano, że przedmiotem jej jest zbadanie bytu narodowego w przeszłości, ze strony materialnej, umysłowej i obyczajowej, wszakże granica pomiędzy historią a archeologią została przeprowadzona z ujmą dla tej ostatniej. Charakterowi bowiem pomników archeologicznych przypisano zbyt jednostronnie ową wyłączność cech indywidualnych, gdy tymczasem w każdym prawie zabytku odcień indywidualny autora zawsze ma znaczenie drugorzędne, zawsze zasłonięty jest przez występujące na plan pierwszy piętno ogólne, tj. przez wpływ samego okresu, do którego przedmiot należy. Jeśli więc jest tak w istocie, to archeologia, uwzględniająca tylko twórczość indywidualną autora pomnika, nie ma racji bytu, i jako nauka samodzielna istnieć nie powinna, a przecież jest nią faktycznie i jest niezbędną. Stąd wynika, że samo jej zadanie musi być zakreszone znacznie szerzej, gdyż nie przedmiot badań stanowi różnicę między istotą archeologii a istotą historii, lecz „sposoby“, czyli „metody“, któremi się one posługują.

W odczycie prezydującego moment ten był punktem ciężkości, osią, naokoło której miały się rozwijać nie tylko dalsze wnioski zjazdu, lecz i późniejsze poszukiwania w zakresie archeologii miejscowej.

Niegdyś—mówił dalej—historia była tylko opowieścią o faktach, dziejami bitew. W miarę rozwoju krytyki historycznej, lecz i pod wpływem bezwarunkowym archeologii, dziejopisarstwo przybrało kierunek inny: powstała historia kultury narodów. Kierunek ten zadzierzga jeszcze mocniej węzły, łączące te dwie siostrzane nauki, które się dopełniają nawzajem, przyczem metoda badań starożytnych polega nie tyle na wyborze pomników rzeczowych, ile na tem, że w każ-

dym z nich poszukuje strony szczegółowej, detalicznej. wyjaśnia najmniej widoczne drobnostki, a wszakże takie, które wyglądają jakby żyjące resztki bytu starodawnego. Bardzo też często, dzięki tylko tym szczegółom, tym pozornym drobnostkom, jeśli je zestawimy ze sobą, jesteśmy w możności odtworzyć obraz kultury takiej, o jakiej kroniki milczą absolutnie. Jako przykład znaczenia pomników archeologicznych służyć mogą wykopaliska Stabii, bez których historia niechy o tej miejscowości nie powiedziała. Wreszcie metoda archeologiczna nie wyłącza metod innych przy badaniu jednego i tego samego pomnika.

Dzięki tej metodzie, w oczach naszych urosła nowa gałąź nauki—archeologia przeddziejowa.

Sama jej nazwa wskazuje, że jej zadanie zaczyna się w takiej pomroce i w tych głębiach, do których historia ani sięgnąć, ani się w nich rozejrzeć nie zdoła. Wówczas to ujawnia się całe dostojeństwo archeologii; powagę jej opromienia taka aureola, jakiej z nią historia wśród rozkopanych mogił, nasypów, grodzisk, nie dzieli.

Ażeby jednak archeologia godnie odpowiadała zadaniu swemu, niezbędnym jest układ systematyczny zbiorów przez nią gromadzonych. Słowo żywe działa skuteczniej, gdy jest poparte natychmiastowym przykładem, dzięki czemu ucho słuchacza, a oko widza nabywa takiej wprawy, że następnie, przy doświadczeniu osobistem, z łatwością rozpoznaje cechy i znaczenie wydobywanych przedmiotów. Aby dojść do tego, potrzebne są wszakże pewne przygotowania i w tym celu wykładom archeologii powinny towarzyszyć pravidła następujące: a) program wykładów będzie tem racjonalniejszy, im właściwiej będą pojęte zadania i zakres nauki, b) dla należytego wyjaśnienia, jak się przedstawiał byt starożytny pewnego narodu, należy badać starożytności, powstałe nie tylko w jego sferze, lecz i wśród tych narodów, które z nim w czasach starożytnych miały stosunki, c) pełne i zasadnicze wykłady możliwe są jedynie przy jednoczesnem badaniu pomników rzeczowych, piśmiennych i ustnych. Stąd, oprócz wykładów teoretycznych, niezbędne są zajęcia praktyczne, nauczanie poglądowe, d) ze względu na nieodzowność takiej poglądowości, wraz ze zbiorami starożytności rzeczywistych powinny istnieć zbiory naśladowań tam, gdzie niema oryginałów, by w ten sposób zapelniać braki przy wykładach poglądowych. Zwykle muzea publiczne, nieurządzone specjalnie w celach pedagogicznych, nie zastąpią zbiorów usystematyzowanych stosownie do potrzeb gruntownego nauczania.

Odczyty powyższe zasługiwały na streszczenie, ponieważ dają wyobrażenie o ówczesnych poglądach na istotę, horyzont, cele i sposo-



soby archeologii. Spotkaliśmy się na początku z zupełną prawie jej negacją, jako samoistnej gałęzi wiedzy, z zaprzeczeniem, by dotychczas istniała jakakolwiek metoda archeologiczna. Widzieliśmy również aż trzy naraz poglądy na istotę przedmiotu, a w krytyce wniosku najpierwszego usłyszeliśmy twierdzenie o bezwarunkowym istnieniu metody, również niezbędnej dla archeologii, jak i dla każdej innej nauki. Słuchając jednak samych tylko odczytów tych do końca, przyznać musimy, że w fakt istnienia metody tej musielibyśmy wierzyć na słowo, gdyby nie rozwój dalszych prac zjazdu.

Wszakże przekonanie o tem musiało być niezawodnym udziałem zebranych, skoro zaledwo jeden głos zaprzeczył samoistności archeologii<sup>1)</sup>. W istocie, dalsze prace zjazdu, w bardzo krótkim czasie doprowadziły do ułożenia tak dalece szczegółowych prawideł dla archeologów, że niepodobna przypuścić, by, nie uciekając się do zasad sformułowanych zawczasu w unysłach obecnych, prawidła te mogły już wtedy być ułożone.

Brakowało więc tylko syntezy, zebrania w jedno ognisko pojęć i przekonań luźnie rozrzuconych, i oto w sam dzień zamknięcia zjazdu kommissya wydelegowana w tym celu ogłasza „Instrukcyę, wedle której mają być opisane grodziska, kurhany i pieczary, oraz dokonywane poszukiwania w kurhanach,“ zastosowaną do otoczenia archeologicznego kraju, w którym się odbył sam zjazd.

Prezydujący miał więc słuszność: archeologia posiadała już swą metodę.

Wszystkim ważniejszym badaniom, jakie od tego czasu prowadzili ludzie fachowi, towarzyszy ona nieustannie.

I tak, kierując się wypracowaną przez towarzyszy w kommissyji przez samego siebie instrukcyą, prof. Antonowicz bada kurhany drewlańskie i daje w osobnem dziele opis szczegółowy tych badań, zakończając je wnioskami stwierdzającemi: że starodawny byt Drewlan z wielu względów, dzięki archeologii, przedstawia się inaczej, niż opowiadają kroniki; znakomite poszukiwania na południu kijowszczyzny, w okolicach Smiły, za Dnieprem i w innych miejscowościach, objęte w dwutomowem dziele hr. Bobryńskiego, uświetniają program, wypracowany na zjeździe; to samo rzecz można o pracach archeologów, badających dorzecza Prypeci i Bugu; Bielaszewski odkrywa stacye przedhistoryczne nad Dnieprem i dopływami jego; pani Mielnik, na zjeździe odeskim, zdaje sprawę z poszukiwań archeologicznych wśród dawnych pól

---

<sup>1)</sup> Trudy III arch. sjezda“, T. I, str. XXI.

dzikich i częścią na Podolu; starożytny Gerros nie przestaje wzbogacać materiału, wyjaśniającego historyczne wiadomości o Scytach; Radziwiński prowadzi dalej poszukiwania swe na Wołyniu; Puławski rozpoczyna je na Podolu; wreszcie na zjeździe, odbytym świeżo w Kijowie, dowiadujemy się, że w ciągu lat 25 rozkopano 4,000 kurhanów<sup>1)</sup>, co umożliwiło obecnie nie tylko scharakteryzowanie rozmaitych typów grzebalnych w południowo-zachodnich prowincjach państwa, w starej ziemi Kijowskiej i sąsiednich, lecz i przeprowadzenie niektórych granic osiadłości plemiennej w dobie przeddziejowej tych krajów. Nie wynika stąd jednak, by i przed zjazdem 1874 r. zbywało na systematycznych poszukiwaniach archeologicznych wielkiej doniosłości; w porównaniu wszakże z temi, o których zdano sprawę w roku bieżącym, rozmiary tamtych maleją. Niemniej musimy o nich wspomnieć, choć by dla tego, by uwydatnić późniejsze.

Pierwszy zjazd kijowski otrzymał zawiadomienie o nader ważnym odkryciu w dorzeczu Suły, po lewej stronie Dniepru. Była to stacya paleolityczna, czyli starokamienna, gdzie obok kości mamuta znaleziono okrzoski kamienne, dowodzące, że tu, w tak zwanym okresie polodowcowym, mieszkał już człowiek. Odkrycie to tem większą miało wagę, że stacya ta była najdawniejszą ze wszystkich odszukanych do owej pory na obszarze państwa, a zarazem jedną z najdawniejszych w Europie.

Wszakże znaczenie jej i doniosłość pod względem ilości dostarczonych przedmiotów błędnie w porównaniu z odkryciem, dokonaniem w samym Kijowie r. 1894 i następnym. Zbiory archeologiczne kijowskie w r. bieżącym przedstawiały olbrzymią ilość kości mamuta, znalezionych wraz z wyrobami ręki ludzkiej w głębi 20 metrów pod powierzchnią ziemi.

Ponieważ ślady pobytu człowieka w temże miejscu wraz z mamutem, niedźwiedziem jaskiniowym i hyeną okazały się i o kilka metrów wyżej, jak również pod samą powierzchnią ziemi, przeto odkrycie kijowskie dowodzi, że miejscowość ta, jeśli nie stale, to wielokrotnie, była już zamieszkaną około 20,000 lat temu, a potem w odstępach czasu zdumiewająco wielkich, zanim zawitał do niej użytek metalu. Bezwarunkowo przytem wyjaśnia się, że stacya kijowska, która się przechowała prawie bezpośrednio nad warstwą formacyi trzeciorzędowej, czyli

<sup>1)</sup> „Kij. Starina“, miesiąc sierpień str. VI.

w głębi 20 metrów w otoczeniu niebieskawej gliny dyluwialnej, jest najstarszą ze znanych do tej pory na całym obszarze państwa rosyjskiego.

Przy całej swej starożytności i nadzwyczajnem znaczeniu, o stanie kulturalnym ówczesnego mieszkańca tamtejszego daje ona wszakże bardzo mgliste wyobrażenie. Pod tym względem nieskończenie ważniejszym jest odkrycie stacy nad Dnieprem z czasów już znacznie późniejszych, bo do okresu kamienia gładzonego należących. Zarówno wystawa archeologiczna, jak i odczyt, wypowiedziany wobec przedmiotów znalezionych pod Trypołem, umożliwiły wnioski o stanie rozwoju nadnieprzan pierwotnych.

Wspomnieliśmy wyżej o poszukiwaniach Bielaszewskiego; dały one w swoim czasie i ciągle jeszcze dają materiał obfity, lecz ostatnie odkrycie pod kierownictwem p. Chwojki, w pobliżu Trypoła, zwłaszcza pod względem ceramiki, sposobu urządzania toków i scharanków, a nawet pod względem danych antropologicznych, przewyższa wszystko, czego dotychczas dostarczyły miejscowe stacy przedhistoryczne.

Jeżeli ważne a ciekawe były odkrycia Radziwińskiego i Głogera, dokonane dawniej na Wołyniu, objaśnione w swoim czasie z punktu antropologicznego przez Izidora Kopernickiego, jeśli one dowiodły, że w okresie kamienia gładzonego mieszkał tam człowiek wybitnie długogłowy, który w sposób nader skromny grzebał umarłych pod mogiłami, otaczając je cziłą religijną, to następne prace profesora Antonowicza, przedstawione wraz z ułożoną przez niego mapą archeologiczną Wołynia zjazdowi obecnemu, ukazały materiał nieskończenie bogatszy, a zwłaszcza umożliwiający pewne wnioski o kulturze Wołyńniaków pierwotnych.

Tym trybem śledząc rozwój nauki, jaki się uwydatnił na zjeździe obecnym, widzimy na każdym kroku postęp znamienity w dziedzinie archeologii przeddziejowej. Same liczby porównawcze odczytów o okresie przedhistorycznym przemawiają stanowczo na korzyść zjazdu ostatniego. Z innymi okresami dzieje się tak samo. Zwłaszcza słowiański zyskuje na porównaniu, gdyż podczas zjazdu pierwszego spotykamy się właściwie z jedną tylko pracą specjalną o bycie przedhistorycznym Słowian miejscowych, z odczytem o Siewierzanach<sup>1)</sup>. Do-

---

1) „Trudy III arch. Sjezda“ T. I, odczyt prof. Samokwasowa.

piero po pierwszym zjeździe kijowskim następuje szereg nowych odkryć archeologicznych, częścią ogłoszonych przed zjazdem tegorocznym, lecz również podczas niego w kilku odczytach opracowanych. Tak p-i Mielnik niesłychanie szczegółowo opowiada o swych poszukiwaniach pod Równem i Łuckiem, a prof. Antonowicz o mogiłach słowiańskich na Wołyniu zachodnim.

Lecz archeologia przedhistoryczna sięgała granic znacznie odleglejszych na ostatnim zjeździe. Dowiedziano się tu bowiem o wynikach poszukiwań na półwyspie Bałkańskim, ważnych zwłaszcza w Macedonii, gdzie delegowany rosyjskiej kommissyi archeologicznej w Konstantynopolu <sup>1)</sup> znalazł cmentarzysko, a w niem wykopaliska kultury, halsztadzka zwanej. Posiada ona swe odrębne cechy tak wybitne, że ją nadzwyczaj łatwo odróżnić od wszelkiej innej, przy nader szerokiem wszakże jej rozgałęzieniu w okresie początkowym użytku żelaza w Europie. Scytyjskie okazy tej kultury pod miastem Hallsztadt stały się punktem wyjścia do badań nad nią, pierwiastkiem porównawczym dla wykopalisk, sięgających aż do wysp greckich, a nawet takich, które są znane Kaukazowi.

Kultura taka, z jej obfitemi śladami, znalezionemi w południowo-zachodnich częściach państwa austriackiego, była już wykwittem dawniejszej, bronzowej, prawdopodobnie tu przyniesionej, lecz zawierała i pierwiastki miejscowe. Należało więc pragnąć znalezienia jeśli nie jej prototypu, to przynajmniej okazów dawniejszych, aniżeli hallsztadzkie, tem bardziej, że przedmioty, znajduwane na wyspach greckich, naprowadzały na wnioski o istniejących gdzieś typach pośrednich między hallsztadzkiemi, a dostarczonemi przez Archipelag. Obecnie cel ten został osiągnięty, dzięki odkryciom w Macedonii, a zjazd kijowski tegoroczny usłyszał odnośne, świetne, sprawozdanie samego znalazcy.

Dla świata słowiańskiego, a prawdy naukowej, nader ważnemi były dowody, złożone przez czeskiego uczonego, prof. Niederlego, o tem<sup>2)</sup>, że czas przejścia Słowian z krajów, leżących na północ od gór Karpackich, do dzisiejszej ziemi węgierskiej i Dunaju środkowego, nastąpił nie już po narodzeniu Chrystusa P., lecz znacznie wcześniej. W ten sposób uprzedzenia niemieckie, wprawdzie i dawniej zwalczane wywodami ściśle historycznemi, usuwają się ostatecznie, dzięki badaniom Niederlego na Węgrzech i porównaniom przedmiotów tam znalezionych z przedmiotami kultury łużyckiej; co przekonywa, że nad Duna-

<sup>1)</sup> „Izwestia XI arch. Sjezda“, str. 96. Odczyt Milukowa.

<sup>2)</sup> „Izw. XI arch. sjezda“, str. 75.

jem, Słowianie wcale nie zajęli ziem, zaludnionych uprzednio przez Niemców, lecz że je zastali niezamieszkanymi.

Z istoty zjazdów archeologicznych wynika, że działowi przedhistorycznemu w ścisłym znaczeniu, działowi wykopalisk przeddziejowych, towarzyszy wiele innych, jako to: geograficzny, etnograficzny, językoznawstwa i piśmiennictwa, bytu domowego, prawnego i społecznego, sztuki starożytnej, numizmatyki, archeografii itd. Odpowiednio do tak obszernego zakresu, zjazd pierwszy kijowski liczył sekcji osiem, drugi jedenaście. Porównywać prac wszystkich, w jakie obfitowały te działy, nie możemy; były one jednakowo ważne i doniosłego znaczenia naukowego wówczas i obecnie. Zwrócimy się tylko jeszcze z naszym porównaniem do prac obu zjazdów o starożytnej sztuce miejscowej.

Na pierwszym przeważają w zakresie tym badania wpływów bizantyjskich na budownictwo, malarstwo i zdobienie. Na drugim rozpatrywano przeważnie wpływy sztuki zachodniej, które przez Polskę dostały się na Ruś i uwydatniły w obrazach i freskach, zdobiących świątynie obu obrządków. Wpływy te, im dalej ku wschodowi, tem były słabsze, im bliżej ku zachodowi, tem wydatniejsze, zwłaszcza w XVII i XVIII stuleciach. Tak się dzieje w świątyniach miejskich, fundowanych szczodroliwością ziemian możniejszych, gdzie pierwiastek sztuki miejscowej ustępuje przed wpływem obcym. Inaczej w małych cerkiewkach wiejskich, zwłaszcza na Wołyniu, do których przeważnie uczęszczał lud wiejski. Tu oko w oko spotyka się on z pierwiastkiem swojskim, miejscowym, bardziej dlań zrozumiałym od tego, który, przeniesiony z ksiąg treści religijnej, widnieje na ścianach świątyń bogato zdobionych.

W pewnym związku z tą kwestyą wpływów obcokrajowych na sztukę miejscową zostawał odczyt p. Kopy, delegowanego przez akademię krakowską na ostatni zjazd kijowski—ponieważ zarówno odczyty o sztuce cerkiewnej<sup>1)</sup>, jak i o dziełach sztuki, znajdujących się obecnie w zbiorach rossyjskich, a przeniesionych z Polski<sup>2)</sup>, uwydatniały drogi i sposoby, któremi się sztuka zachodnia, przed stuleciem bieżącym, przedostała z zachodu do państwa rossyjskiego. Jeśli jednak w wiekach XVII i XVIII malarstwo miejscowe korzystało z rycin,

---

1) „Izwiad. XI sjezda“, str. 88.

2) „Izwiad. XI sjezda“, str. 144.

mieszczących się w dziełach treści religijnej, naprzykład w Biblii Fiszera, to później, w stuleciu XIX, mnóstwo rysunków i miniatur, objętych okresem sztuki polskiej z XI i następných, aż do XVII stulecia, zawartych również przeważnie w księgach duchowych, leżało spokojnie na półkach, mieszczących obecnie pierwsze zawiązki biblioteki petersburskiej, kilkadziesiąt tysięcy tomów, pochodzących z dawnej księżnicy Załuskich. P. Kopera w świetnym polskim przemówieniu wydatnił znaczenie artystyczne miniatur, spojrział z punktu historycznego na rozwój tej sztuki w Polsce, a nie poprzestając na żywym słowie, zasyłał salę odbitkami fotograficznymi. Słuchacze dowiedzieli się po raz pierwszy, jakie skarby archeologiczne w zakresie starożytnej sztuki, jaki materiał dla sztuki przyszłej posiada Petersburg, dzięki tej kulturze, która je w swoim czasie wydała, zgromadziła następnie po ziarnku i ułożyła w jednym miejscu, skąd przeniesione zostały tam, gdzie je obecnie Kopera odszukał.

Gdybyśmy szli dalej za szczegółowym rozwojem prac zjazdu kijowskiego w r. bieżącym, nie spotkali-byśmy zarówno w sekcjach specjalnych, jak i na posiedzeniach plenarnych, żadnego odczytu w rodzaju tych dwu, dotyczących znaczenia, celów i systematu archeologii, które były wstępem do tych obrad zjazdu pierwszego. Kwestye te zostały już wyczerpane—prawidła opracowane. Zdawało-by się więc, że drugiemu zjazdowi archeologicznemu w Kijowie pozostało tylko słuchać rozpraw i wniosków o doniosłości odkryć pojedynczych, aby z nich następnie układać całość naukową, podzieloną na kategorie.

Wszakże i na zjeździe ostatnim wypłynęła rzecz taka, która, aczkolwiek przedstawiona na razie w jednej tylko sekcji, nabrała krótko znaczenia ogólnego i zainteresowała zjazd cały. Treścią jej było urządzenie archiwów i wzajemny ich stosunek w całym państwie.

Jeszcze na zjeździe pierwszym można było wnioskować, że z czasem kwestya ta stanie się przedmiotem pierwszorzędnym obrad zjazdów następnych. Wówczas jednak dotknięto jej, za ledwo zaznaczając potrzebę uprawdliwienia działałności kommissyi archeograficznych <sup>1)</sup>.

Następnie, w ciągu obrad sześciu zjazdów, wypływała ona stale,

<sup>1)</sup> „Trudy III arch. sjezdu“, str. 49.

lecz nigdy tak wyraźnie i z taką, rzec można, natarczywością, jak na zjeździe obecnym.

Szereg odczytów i rozpraw gorących zapełniał niemal codziennie posiedzenia, odbywane w osobnym audytorium uniwersytetu, aż wreszcie, podobnie jak na pierwszym zjeździe kijowskim wyłoniła się synteza jego postanowień w postaci instrukcyi dla archeologów, tak na obecnym wypracowano ogólne zasady projektu urządzenia archiwów w ten sposób, by nadal mogły przynosić większą korzyść naukową od dotychczasowej. Zaproponowano więc reorganizację archiwów na wzór zachodnich europejskich i wprowadzenie do każdego z nich uczonych delegatów; celem zaś zachowania dokumentów zaprojektowano starania o rozporządzenia państwowe, by do czasu wzmiankowanej kodyfikacyi, wszelkie papiery w instytucyach państwowych i społecznych pozostały nie ruszone.

Archiwa zachodnie, zwłaszcza francuskie, nie są centralizowane; każda prowincya posiada na miejscu swoje, połączone z archiwum centralnem li tylko drogą administracyjną. Dzięki takiemu podziałowi pracy pod okiem rzeczoznawców, archiwa francuskie doszły do stanu kwitnącego.

Badania historyków i archiwistów tutejszych skłoniły zjazd do wniosku, że archiwa w państwie rossyjskiem w tenże sposób powinny być urządzone, a ponieważ czas nagli, ważność i znaczenie materiału archiwalnego wzrasta z dniem każdym—zwłaszcza gdy został otwarty dla historyków—przeto uznał on za nieodzowne zakończyć swe prace odnośną rezolucją. Zapadła ona w liczbie innych nader ważnych, jak np. przedsięwzięcie starań o założenie towarzystwa archeologicznego w Warszawie, kommissyi przy Watykanie, na wzór zaprowadzonej w Konstantynopolu, jak wreszcie uchwała, która uznała nieodzowność katedr archeologii oraz dziejów sztuki słowiańskiej i zachodniej w uniwersytetach.

Znaczenie uchwały tej uwydatnił odczyt sprawozdawczy przewodniczącej zjazdu, hr. Uwarowowej.

Tak się przedstawia przebieg w ogólnych zarysach obu zjazdów kijowskich. Jeżeli pierwszy nie był obfity w materiał, dotyczący archeologii przedhistorycznej do takiego stopnia, jak zjazd drugi, to najprzód dla tego, że się odbył o 25 lat wcześniej, nauka zaś przez ten czas znaczne uczyniła postępy; powtóre dla tego, że na nim-to dopiero wypracowano ostatecznie zasady i prawidła, dzięki którym, uświetnio-

no zjazd drugi odczytami o nowych odkryciach. Nawzajem: jeśli zjazd pierwszy odznaczył się programem naukowym, uznaniem dla metody archeologicznej, to zjazd drugi wywdzięczył się swemu poprzednikowi, budując na trwałych fundamentach, założonych przez poprzednika, gmach okazały, a obok niego zakładając własne podstawy pod nową budowę, której wzniesienie pozostawia następcom.

KŚAWERY CHAMIEC.



---

# Bolesław Śmiały i Biskup Stanisław

według nowej hipotezy.

---

His licet figmentis apud ignaros ali-  
quantisper derogatum sit martyri, non ta-  
men sanctitatis abrogari potuit auctoritas...

(Kadłubek, II, 20)

Trzeci zeszyt kwartalnika historycznego z 1898 roku przyniósł nam prawdziwą niespodziankę. Jest nią pośmiertny artykuł niedawno zmarłego, a tyle obiecującego, młodego historyka, d-ra M. Gumplowicza o św. Staniławie, drukowany prawie jednocześnie i po niemiecku w zbiorku prac tegoż autora <sup>1)</sup>.

Gumplowicz zyskał w swoim czasie rozgłos rozprawą swoją o Balduinie - Gallusie, którą prawdziwie zaimponował uczonemu świa-

---

<sup>1)</sup> Dr M. Gumplowicz: „Zur Geschichte Polens in Mittelalter“. Innsbruck“. 1898.

tu, jakkolwiek nie na wszystkie jej wyniki można się pisać; niestety, nie możemy powiedzieć tego o rozprawie, do której rozbioru przystępujemy.

Wziąwszy za punkt wyjścia dość lichy utwór pastora łódzkiego, Angersteina, którego słusznie krytykuje, w dalszym ciągu, na mocy niesłychanie śmiałych kombinacji, dochodzi do wniosku, że Bolesław Śmiały, wbrew dotychczasowym mniemaniom, był przyjacielem i gorliwym stronnikiem Grzegorza VII, a św. Stanisław przeciwnikiem celibatu duchownych, łączącym się wskutek tego z wrogiem ojczyzny i buntującym się przeciwko papieżowi i królowi biskupem. Tak więc najniespodziewanej zamienione zostały dotychczasowe role dwóch wielkich postaci zarania dziejów naszych: Bolesław został obrońcą Kościoła i praw jego, Stanisław — ich gwałcicielem, buntownikiem, a przytem zdrajcą kraju. Z takim zdaniem nikt jeszcze dotychczas nie występował; będzie ono związane z imieniem Gumpłowicza, — który tak świetnie rokował nadzieje, — ale bynajmniej nie ku podniesieniu jego zasług. Jedna rzecz tylko może go nieco usprawiedliwiać, która niech będzie przestrogą dla przyszłych wydawców: jest to rozprawka, raczej jeno jej szkic, — wyjęta z papierów pośmiertnych. Pocięszajmy się przypuszczeniem, że gdyby żył sam autor, nigdy-by w tej formie w świat jej nie wypuścił.

Już na samym początku swego artykułu zbyt pośpiesznie konkluduje Gumpłowicz, że niepochlebny sąd Gallusa o św. Stanisławie podzielał również niewątpliwie (?) stryj (?) naszego kronikarza, biskup krakowski, Balduin, a to z powodu tak blizkiego pokrewieństwa (?), — jak również i inni wybitni przedstawiciele kleru ówczesnego: arcybiskup gnieźnieński, Marcin, biskup krakowski, Maur, biskup kruszwicki, Paweł, biskup wrocławski, Żyrosław, i biskup płocki, Szymon, a ci znowu na tej jednej zasadzie, że im wszystkim Gallus poświęcił kronikę swoją. Do niczego to jeszcze nie upoważnia. Wszak i Kopernik przypisał swoje dzieło papieżowi, Pawłowi III, aby tym sposobem od przewidywanych napaści przeciwników swoich się ustrzedz; czyż stąd wypływa, że papież był tego samego zdania o obrocie ciał niebieskich, co i wielki nasz astronom? Prawdopodobnie też i Gallus przypisał swoją kronikę wszystkim ówczesnym dostojnikom Kościoła polskiego *ad captandam benevolentiam* dla siebie i swojego dzieła <sup>1)</sup>, co mu się, jak zobaczymy poniżej, nie udało. Gumpłowicz widzi potwierdzenie swego przypuszczenia w tym, jak mówi, fakcie, że kronikarz został szybko

<sup>1)</sup> . . . . . codicellum non nostro decrevimus sed vestris nominibus titulare . . .

awansowany z opata lubińskiego na biskupa kruszwickiego, choć jest to jeszcze wielką kwestyą, czy był on kiedy opatem, albo biskupem; tak więc mylne zdanie popiera nader wątpliwym faktem, co mu się nieraz w toku niniejszej rozprawy przytrafia.

Dawno już twierdzono, a obecnie znowu podnosi to nasz autor, że śmierć św. Stanisława faktycznie utorowała drogę do tronu Bolesławowi III, i że król, wskutek tego, nie miał żadnego powodu nienawidzieć męczennika-biskupa. Że nie miał powodu nienawidzieć, to więcej, niż pewno, — ale że wspomnienie o tragedii na Skałce było nietylko Bolesławowi Krzywoustemu, ale i wszystkim późniejszym Piastowiczom bardzo bolesnem, to także fakt, którego zaprzeczać nie można. Wszak już bezpośrednim tego skutkiem była ta okoliczność, że Krzywousty, którego panowanie tak przypomina tradycyę wielkiego przodka, Bolesława, — do końca życia nie uwieńczył swej skroni koroną; nie nosił jej jego ojciec, Władysław, a nawet korona ta spoczęła, choć efemerycznie, na czole zawistnego czeskiego Władysława. Długosz skarży się, że książęta polscy nie dozwolali żadnego zachodu około kanonizacyi świętego; snać nie chciano odnawiać rany tak bolesnej. Kanonizacya mogła nastąpić dopiero, kiedy na stolcu krakowskim zasiadł pobożny Bolesław Wstydlivy, to jest aż w połowie XIII wieku. A czyż to nie było aktem upokorzenia dla każdego z późniejszych nawet królów, począwszy od Łokietka, że każdy, dniem przed koronacją, szedł uroczyście na Skałkę uczcić miejsce, na którym św. Stanisław poległ? <sup>1)</sup> Chodzi tu o to, że Gumpłowicz zwalcza zdanie tych, którzy mniemają, że Gallus nazwał biskupa „traditorem“, aby podchlebić Bolesławowi III, że miało być to niejako captatio benevolentiae Krzywoustego. Przypuśćmy nawet, że pogląd ten nie jest słusznym, jak chce nasz autor, ale to także pewne, że i wobec tronu, on, miłujący prawdę, Gallus nie miał żadnego interesu szczegółowo opisywać katastrofę. Dlatego-to, jak mówi Sarnicki, suchą nogą przeskoczył kwestyę tak drażliwą. A jednak, mimo to, choć i napiętnował niby-to biskupa, może pomimo woli i króla ostro osądził, kiedy zabójstwo św. Stanisława nazywa postępkim baniebnym, i że Bolesław grzech przydał do wpród popełnionego już grzechu zemsty na swoich poddanych <sup>2)</sup>.

Nie tu miejsce zastanawiać się nad tem, co Gallus rozumiał pod wyrazem „traditor“, i wchodzić w szczegóły tak trudnej kwestyi. Najprawdopodobniej wskazuje wprost ten wyraz zagadkowy na walkę

<sup>1)</sup> Ks. W. Kalinka: „Męczeństwo św. Stanisława i jego znaczenie w dziejach narodu“. Kraków, 1879, str. 68.

<sup>2)</sup> ...vindicantem sic se *turpiter*... *peccatum peccato adhibuit*...

biskupa z władzą świecką, na walkę z królem, ponieważ w jej skutku musiał się Bolesław z kraju wynosić (*qualiter sit ejectus*). Lecz w każdym razie dziwnie brzmi w rozprawie Gumpłowicza to zdanie, że nie tylko w oczach Gallusa Stanisław był zdrajcą, „ale także w oczach biskupa Maura, dalej Marcina, arcybiskupa gnieźnieńskiego, tudzież wspomnianych już biskupów: Pawła, Żyrośława i Szymona, słowem, całego ówczesnego, wiernego Rzymowi, duchowieństwa w Polsce“. A wszystko na tej jednej najkruchszej podstawie, że Gallus swą kronikę przypisał wymienionym biskupom! Czyż godzi się wnioski takie wyprowadzać? I czy się to nazywa, że owi biskupi pozwolili Gallusowi zniesławić św. Stanisława? Gumpłowicz tak pewnym jest swego, że nawet nie zadaje sobie pytania, jak kronika przyjętą była przez episkopat ówczesny. Tymczasem księgi I i II kroniki, które Gallus wprzód w świat wypuścił, wywołały oburzenie wśród biskupów na ich autora, tak dalece, że aby się zrehabilitować, pisze on swoją apologię we wstępie do księgi III <sup>1)</sup>. A nie tylko biskupom, ale podobno i samemu Gallusowi nie można robić tak stanowczo zarzutu, że chciał zniesławić św. Stanisława, jakkolwiek nazywa go „*traditorem*“. Nie wiemy, co pod tym wyrazem rozumiał; dlaczego go użył, a o ileż były wówczas inne stosunki, inne poglądy. Przecież, nawet taki przeciwnik św. Stanisława, jak Franciszek Stefczyk, przyznaje, że tu o zdradzie narodowej mowy być nie może <sup>2)</sup>.

Do charakterystyki poglądu biskupów ówczesnych na sprawę św. Stanisława może posłużyć nam jeszcze napis, który następcą męczennika, Lambert, położył na jego grobie:

Tumba Stanislai cineris tegit ista beati

Regis Boleslai *quia non favet impietati* <sup>3)</sup>,

gdzie Stanisława nazywa błogosławionym i wyraźnie wspomina o niezbożności króla. Ten-że sam Lambert, w liście do Władysława czeskiego, w aryndze mówi o królach, z których jedni panują pełni rozsądku i sprawiedliwości, inni są wyniosłego umysłu i grabieżnicy <sup>4)</sup>. Nie ule-

<sup>1)</sup> Kętrzyński St. Gall.: „Anonim i jego kronika“, str. 19 — 20.

<sup>2)</sup> „Upadek Bolesława Śmiałego“, „Ateneum“, 1885, tom I, str. 470.

<sup>3)</sup> Łętowski w katalogu, tom I, str. 36.

<sup>4)</sup> „Singulis terris, singulis regnis reges et dominos praefecit in iudicium: quorum quidam sanae mentis in iudicio regnant et iustitia, quidam vero

ga wątpliwości, że aluzyja to do Bolesława Śmiałego dość wyraźna, i do jego niedawnych rządów, na co słusznie zwrócił uwagę Bielowski <sup>1)</sup>. A zatem uważa Lambert króla Bolesława za niemal pozbawionego zdrowych zmysłów, zbyt pysznego i krzywdziela, więc chyba stanowczo stoi po stronie biskupa - męczennika.

Gumpłowicz nie wątpi, że i biskup krakowski, Balduin, pod którego okiem miały być niby spisane (?) *Annales Cracovienses vetusti*, był też przeciwnikiem naszego Świętego. I znowu na tej jednej zasadzie, że czyni go samowolnie, jedynie na podobieństwie imion (czy rzeczywiście Gallus miał na imię Balduin?), stryjem naszego kronikarza. Jak gdyby wszyscy stryjowie mieli być zawsze tegoż zdania, co i ich synowcy. Że w *Annales vetusti* niema wzmianki o św. Stanisławie, bynajmniej nas to nie dziwi. Rocznik niesłychanie krótki powstał zapewne w klasztorze świętokrzyskim, i był pisany za czasów Bolesława Krzywoustego. Już Bielowski zauważył, że między zapatrywaniem jego autora na wypadki, a zapatrywaniem się współczesnego mu Galla, zachodzi zupełne podobieństwo <sup>2)</sup>. Z tego więc powodu, co i Gallus, wolał roztropny jego autor - zakonnik pominąć kwestyę tak drażliwą dla panującego domu. Przeciwnie, z niejakim pietyzmem dla monarchów polskich, którego źródła szukać zapewne potrzeba w ofiarach już dokonanych, lub może spodziewanych tylko na rzecz klasztoru, — notuje rocznik wszystko, co się do domu krakowskiego odnosić mogło, a zatem śmierć Bolesława II, urodziny Krzywoustego, ożenienie się i śmierć Mieszka Bolesławowicza i t. d., nareszcie szereg zwycięstw Bolesława III. Jest on więc niejako urzędowym rocznikarzem, annalistą domu królewskiego, a zatem, nie dziwnego, że w króciuchnych jego notatkach nie znalazło się miejsca na opisanie śmierci św. Stanisława. Nie można jednak powiedzieć, że inne roczniki ówczesne milczą o tym fakcie. Zannotował go, jak się można było spodziewać, rocznik kapitulny krakowski w bardzo dokładnej formie, a chociaż ten, który do nas doszedł, jest późniejszego pochodzenia, to jednak bystre oko Wojciechowskiego potrafiło wydzielić zeń najdawniejsze zapiski krakowskie, w któ-

---

in mentis elatione et in rapina". MPIL, I, w. 372. Bielowski niesłusznie stawia datę: 1079—1082. Lambert nie był jeszcze wówczas biskupem, a Władysław królem: Stefczyk prostuje datę na 1086 — 1087). („Po upadku Bolesława Śmiałego“, *Ateneum*, 1887, str. 96), ale zdaje nam się, że należało-by postawić 1086—1093, bo niewiadomo, czy list pisany do arcybiskupa kolońskiego, czy do następcy jego, Hermana v Nordheim.

<sup>1)</sup> Ibid.

<sup>2)</sup> MPH, ssr. 54,

rych, oczywiście, jest zanotowaną śmierć świętego męczennika <sup>1)</sup>. Stąd przeszła ona wiadomość do innych roczników, a zatem do krótkiego, krakowskiego kompilowanego, małopolskiego (*Annales Polonorum*, rocznik Traski), miechowskiego. Niezależnie od kapitulnego, zapisuje śmierć męczennika kalendarz krakowski <sup>2)</sup>, założony około roku 1100, a wieść o tragicznym zgonie biskupa rozgłosnem echem odbiła się i na Szląsku, gdzie o niej mówią roczniki kamienieckie, kompilowany (*Annales silesiaci compilati*), Henrykowski, górno - szląski.

Zresztą, pytamy, czy można wiele od roczników naszych wymagać? Pozwalamy sobie w tem miejscu przytoczyć słowa St. Łaguny, ze względu na ich ważność: Fakt takiej w dziejach naszych doniosłości, jak wprowadzenie chrześcijaństwa, za ledwie że został w źródłach historycznych zaznaczony... Na to, żebyśmy posiadali opowieść o pewnem z odległych czasów zdarzeniu, zapisaną współcześnie, lub wkrótce potem, złożyć się muszą rozmaite czynniki: trzeba przynajmniej, żeby się w czasie odpowiednim znalazł ktoś zdolny i pochopny do pióra; trzeba wreszcie, żeby owoc jego pracy przechował się w czasy późniejsze. Gallia miała Grzegorza z Tours, który po sobie obszerną księgę zostawił: wśród pierwszych kapłanów, którzy zawitali do Polski, znalazł się za ledwie taki „kleryk“. który dla zapisania doniosłego wypadku na trzy tylko wyrazy umiał się zdobyć: „*Mysko dux baptizatur*“ <sup>3)</sup>.

Takie muż losowi uległa i katastrofa na Skałce.

Nie dowodzi to jednak, aby ten główny wypadek przeszedł bez wrażenia na współczesnych, lub tem mniej, jak chce wnioskować Gumpłowicz, że biskupi byli przeciwni św. Stanisławowi. Jeżeli więc partya królewska była tak silną, dla czegoż Bolesław musiał wynosić się z kraju, i to w dodatku po śmierci już tego, z którym walczył?

Aby zakończyć ze sprawą lakoniczności roczników, niech nam wolno będzie przytoczyć jeszcze słowa Wojciechowskiego, najlepszego u nas ich znawcy: „Ilość pomników rocznikarskich z tego czasu (przed

<sup>1)</sup> Najdawniejsze Zapiski krakowskie (*Notae cracovienses antiquissimae*): 1079 Stanislaus episcopus cracoviensis *sancte vite virtutum radians claritate... in ecclesia s. Michaelis de Rupella martirizatur... IH-o Idus Aprilis*. Wyrazy, oznaczone kursywą, stanowią dodatek późniejszy. Wojciechowski, O rocznikach polskich. Pamiętnik Akademii Umiejętności, tom IV, str. 162 i 227.

<sup>2)</sup> *Sts Stanyslaus Cracoviensis episcopus interfectus obiit. MP:1, str. 919.*

<sup>3)</sup> Pierwsze wieki Kościoła Polskiego. Kwartalnik historyczny, tom V, str. 550.

rokiem 1200) jest mało znaczną, tak pod względem ilości, jak i jakości. Autorowie ich nie mieli zamiaru historycznego, nie myśleli o całości wypadków dziejowych, a notowali tylko to, co właśnie wpadło pod pióro, bez wyboru i zastanowienia, *pomijając najważniejsze fakta historyi polskiej*, jak na przykład ustanowienie Kościoła polskiego w roku 1000, podział Polski między synów Krzywoustego i t. p., o których wcale nie wspomniano<sup>1)</sup>. Czyż będziemy się potem dziwili, że któryś z tak nie dołączonych roczników pokrywa milczeniem śmierć św. Stanisława?

Najbardziej jednak zadziwia Gumplowicza ten fakt, że papież Grzegorz VII, „w licznych swych listach i dekretach o zabójstwie św. Stanisława nigdzie ani słówkiem nie wspomina“! Już to wogóle najślabszą stroną autora jest ta okoliczność, że nader lubi wysnuwać wnioski z faktu, iż źródło jakieś o czemś nie wspomina. Metoda to bardzo niepewna i łatwo może doprowadzić do niesłychanych, ale bardzo karkołomnych, hipotez. Tak też i w tym wypadku. Zadziwienie autora byłoby najzupełniej uzasadnionem, gdyby istniały dla Polski owe liczne listy i dekrety papieskie; tymczasem, niestety, są one, ale przeważnie dla Niemiec, nie dla nas. Więc cóż dziwnego, że nie masz wzmianki o św. Stanisławie w publikacji Theinera i tym podobnych, bo i cóżby tam robił nasz biskup? Czyż Polska wchodziła wówczas w sferę interesów niemieckich? Czyż mało miał Grzegorz VII do czynienia z upornym Henrykiem, żeby mu stawiać jeszcze za przykład naszego Bolesława, który śmiał zabić biskupa? Wszak wiemy, że w sam dzień Bożego Narodzenia 1076 roku, dzięki papieżowi, nasz Bolesław przyozdobił swą głowę koroną; jest to przecież fakt w jego panowaniu wielkiego znaczenia. Nie mógł on nastąpić bez uprzednich pertraktacji, układów, a już niemożliwe, aby mu nie towarzyszyła bulla, a przecież onej ni śladu. Czyż to może dowodzić, że koronacja nie miała miejsca? Wiemy dalej, że podobno zjeżdżali się legaci papiescy do Polski, aby zorganizować nasz młody Kościół, a i o tem nic też absolutnie nie znajdujemy. Cały zaś zasób dyplomatycznych stosunków Grzegorza z naszym Bolesławem przedstawia jeden jedyny tylko list papieski, który cudem jakimś się przechował, dopóki go drukiem nie ogłoszono. Pochwaliwszy w nim króla za szczodrość dla kościołów i dotknąwszy hierarchicznych stosunków w Polsce, wzywa papież Bolesława, aby zwrócił skarby swemu pupillowi, Izasławowi kijowskiemu, którego, mówiąc po prostu, ograbił. Kwestye najważniejsze, bo dotyczące episkopatu u nas, są w nim poruszone tylko mimochodem, traktowane jako wstęp niejako, głównym zaś motywem są tu podobno owe nieprawnie

---

1) O rocznikach, str. 232 — 233.

zagarnięte kosztowności. A przecież list ten, który zawiera w sobie naganę dla króla <sup>1)</sup> i stanowcze wezwanie, aby rzecz zabraną zwrócił, służy Gumpłowiczowi za jedyną podstawę, na której buduje szerokie swoje rewelacje o przyjaźni Grzegorza VII z Bolesławem, i że skutkiem tego święty Stanisław był zdeklarowanym wrogiem papieża!

Dalej, że analogiczny z naszym fakt zabójstwa św. Tomasza Kantuarijskiego, zamordowanego przez Henryka II, króla angielskiego, większe wywarł wrażenie w zachodniej Europie, i skutek tego głębsze w literaturze historycznej pozostawił ślady, jest to rzecz również zupełnie naturalna. Anglia wchodziła wówczas daleko bardziej w sferę interesów ogólnoeuropejskich, niżeli Polska, — więc wypadek taki rozgłosnem echem odbił się wszędy. Czyż mogło tak być z naszym tajemniczym dramatem, kiedy staliśmy wówczas jeszcze na uboczu, a uwaga ogólna była skupioną na olbrzymie zapasy Grzegorza VII z cesarzem Henrykiem IV? A zresztą rozwiązuje stanowczo tę kwestyę jedna okoliczność. Katastrofa w Anglii więcej cywilizowanej miała miejsce równo w sto lat po umęczeniu św. Stanisława. Wiek cały je oddzielał, a wiek w pierwotnym rozwoju historycznym narodów bardzo wiele znaczy. Gdyby i u nas ten wypadek stał się o sto lat później, być może, że też mieli-byśmy szeregi legend, passyi, a i roczniki nie były-by tak lakoniczne.

Tak to Gumpłowicz lubi wyzyskiwać milczenie pewnych, pokrytych pleśnią wieków, urywkowych źródeł, a jednak nie wahał się w poprzedniej swojej rozprawie o Balduinie-Gallusie pasować pierwszego rocznikarza naszego na opata lubińskiego, a później na biskupa kruszwickiego, chociaż, jak słusznie zauważył dr Krotoski, ani „Liber confraternitatis“ klasztoru, ani księga bracka, ani nekrolog nie wspominają zgoła o takim luminarzu swego zakonu <sup>2)</sup>. To jest rzeczywiście trudnem do wytłómaczenia, a przecież nie uwzględnił tego autor w swoich wywodach.

Nie wiem też, co można budować na głuchej wieści o obłężeniu Krakowa przez św. Władysława, króla węgierskiego. Nic prawie o tym wypadku nie wiemy, zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że trzeba go odnieść do czasów nieco późniejszych, i że stał w związku z wojnami wewnętrznymi za Władysława Hermana. Bardzo słusznie przypusz-

<sup>1)</sup> Że list ten nie robi wrażenia takiego, żeby mógł służyć za dowód ścisłych stosunków między papieżem i królem, a raczej przeciwnie, zawiera dla ostatniego naganę, porównaj także Małeckiego: „Z przeszłości dziejowej“, Kraków, 1897, tom 1, str. 84.

<sup>2)</sup> Kwartalnik historyczny, X, str. 874.



cza Stefczyk, że miał on miejsce po śmierci Mieszka Bolesławowicza, i naznacza go dopiero na rok 1092—1093<sup>1)</sup>. Tak więc, nie może to być żadnym dowodem, że stronnictwo papieża, Grzegorza VII, zostało wiernem Bolesławowi Śmiałemu i po zabójstwie św. Stanisława“, jak chce Gumplowicz!

Zbyt też pośpiesznie chyba pokutę Bolesława II w Ossyaku uważa nasz autor za bajkę kronikarską, na mocy znanej rozprawy Pichlera. Uważamy tę kwestyę za zgoła nierozstrzygniętą, pomimo wątpliwości, wypowiedzianych także przez prof. Balzera<sup>2)</sup>. To, że Gallus naznacza miejsce zgonu Bolesławowego na Węgrzech, nie sprzeciwia się tak bardzo legendzie o Ossyaku, położonym w Karyntyi, bo jakkolwiek w swej kronice odróżnia te dwie krainy, to jednak mógł w tym wypadku być nie dość dobrze poinformowanym. Zresztą, łatwiej podać w wątpliwość prawdziwość podania o miejscu, gdzie miał skończyć Bolesław, niżli wytłumaczyć, jaką drogą legenda i nagrobek powstały, jeżeli nie mają za sobą realnej podstawy. A tego nikt dotychczas nie uczynił.

Również nie można stanowczo twierdzić, jak to uczynił autor, że bajką jest klątwa, rzucona przez Grzegorza VII na Polskę, a tem bardziej uważać za takową pozbawienie monarchy polskiego korony i tytułu królewskiego. Okoliczność, że Przeddziecki nie znalazł na to żadnych śladów w archiwach watykańskich, nie upoważnia jeszcze do tego. Chętnie się zgadzamy, że Aleksander Przeddziecki był niestrudzonego badaczem, i w dodatku pobożnym i wiernym katolikiem, jak pisze Gumplowicz, nie wystarcza to jednak do uzupełnienia dotkliwych luk w rzeczonych archiwach. Obłożenie kraju w takich wypadkach cenzurami kościelnymi było zawsze naturalną i konieczną konsekwencyą<sup>3)</sup>.

1) „W każdym razie zdarzenia te rozgrywały się nie wcześniej, jak z końcem roku 1092, i nie wiele później, jak w roku 1093“... Stefczyk; „Po upadku Bolesława Śmiałego“, „Ateneum“, 1887, str. 88. Ob. także Małecki: „Z przeszłości dziejowej“, t. I, str. 97.

2) Genealogia Piastów.

3) Małecki loc. cit. str. 90. Najdawniejsze wiadomości o interdykcje mamy w IV i V katalogu biskupów krakowskich (MPH, III, str. 344 i 345) I w „Zdarzeniach, pamięci godnych“ (MPH, III, str. 303). Jakkolwiek źródła te są późniejszego pochodzenia, godzi się jednak przypuszczać, że powstały niezależnie od siebie. Zwłaszcza wiadomość, podana w „Zdarzeniach“, robi wrażenie, jak gdyby się opierała na jakiejś dawniejszej, a pewnej notatce: „Interdictum vero... per totam Poloniam et Slesiam per quatuor annos strictissi-

Że zaś do czasów Przemysława II, to jest, przeszło przez dwieście lat, żaden z monarchów polskich nie nosił korony, to fakt ogólnie wiadomy, którego milczenie archiwów watykańskich osłabić nie może.

A teraz o Marcinie Polaku. Że ten po krótko tylko wzmiankuje o męczeństwie św. Stanisława, także wzbudza podejrzenie naszego autora. Marcina znamy (XIII wiek) jako sławnego w swoim czasie kaznodzieję i autora bardzo popularnej ongi kroniki papieżów i cesarzów, którą można uważać za pierwszą historię powszechną. Podał on w niej wiele bałamutnych i fałszywych wieści, czemu się wcale dziwić nie należy, zresztą, pisał ze znajomością rzeczy. Nie idzie jednak za tem, żeby miał być uważanym za autorytet historyczny, i to dla wypadków dawno minionych. I cóż tu można odpowiedzieć, dlaczego kronikarz po krótko tylko wspomina o pewnem zdarzeniu? I czy można nawet sąd Marcina uosabiać z „Kościołem“, jak czyni Gumplowicz? Bardzo być może, że jego lakoniczność zależała wprost od materiału, jakim rozporządzał; prawdopodobnie miał pod ręką więcej wiadomości o św. Tomaszu Beckecie, niż o św. Stanisławie, i dlatego o pierwszym rozpisał się dłużej. A może wchodziła tu w grę i pewna doza próżności narodowej, że, jako Polak, piszący w Rzymie dla całego świata, nie chciał zniesławiać swego kraju, opowiadając szczegóły o tak gorszącym postępku Bolesława, którego nazywa królem, pełnym nieprawości (*princeps iniquus*).

Nic też nie może być dziwnego w tem, że, według podania, kardynał Raynald opierał się kanonizacyi św. Stanisława. W nader rzadkich wypadkach (św. Franciszek Seraficki, św. Antoni Padewski, św. Klara) kanonizacya odbywała się dość prędko po śmierci, i bez poważniejszej opozycyi wobec ogólnie uznanej świętości mającego być podniesionym na ołtarze. Wogóle Kościół postępuje w tych rzeczach nadzwyczaj ostrożnie i roztropnie. Wiemy, że Inocenty IV przed kanonizacyą św. Stanisława kazał robić odpowiednie poszukiwania w Krakowie, i fakt, że biskupa-męczennika uznano takowym i świętym, mógł-by raczej na jego korzyść przemawiać przy rozpatrywaniu konfliktu z Bolesławem. Innego zdania jest Gumplowicz. Na tem, że pomieniony kardynał, Raynald, sprzeciwiał się kanonizacyi, funduje przypuszczenie, że istniały w Rzymie jakieś dokumenty, zgodne z relacyą Gallusa, a przeciwne Wincentemu Kadłubkowi i Wincentemu z Kielc. To już prawdziwie jest w swoim rodzaju *licentia poetica*. Przy procesach ka-

---

*mum* observatur. Wspomniano tu o Szląsku, o którym niema w katalogach. Oznaczony przeciąg *czterech lat* ma za sobą faktyczną podstawę, ponieważ rzeczywiście od 1079 do 1083 roku nie było w Krakowie biskupa.

nonizacyjnych wyznaczanym bywa z urzędu opponent, zwany: „procurator fisci“ vel fiscalis, znany więcej pod popularną nazwą: „advocato del diavolo“, którego obowiązkiem jest wynajdywać i wyzyskiwać wszystkie słabe strony i popełnione nieformalności w dokumentach, mających dowodzić świętości danej osoby. Prawdopodobnie Raynald był właśnie takim opponentem, a imię jego przechowało podanie z tego powodu, że sam właśnie w trakcie swej opozycji miał jakoby doświadczyć cudu od św. Stanisława (cudowne widzenie). Głównym zaś zarzutem kardynała było to tylko, że, czy mogła Polska, tak prędko po przyjęciu chrześcijaństwa, wydać męża takich cnót, żeby go można było aż kanonizować. Czy z tego nie przeziara tylko zwyczajna ostrożność Kościoła w zapisywaniu nowych imion do rzymskiego Martyrologium?

A jednak Gumpłowicz widzi w tem jeszcze jedno wytłómaczenie rzekomego milczenia w tej sprawie Grzegorza VII, do którego znowu powraca. Skąd wiadomość, że papież starał się o wprowadzenie syna Bolesławowego, młodego Mieszka, na tron ojcowski? Skąd wniosek, że Grzegorz VII zabójstwa św. Stanisława nigdy za zbrodnię wobec Kościoła nie uważał? Innemi słowy, „że uważał zamordowanie biskupa Stanisława przez króla za rzecz nic nieobchodzącą Kościoła“, biskupa Stanisława za zdrajcę, a śmierć jego za zasłużoną karę? Czy wszystkiego tego ma dowodzić jedyny fakt (?) zupełnie naturalnej opozycji w 174 lat później kardynała Raynalda, a choćby nawet i innych jakich jego towarzyszy, gdy chodziło o kanonizację świętego? A przecież autor nie wątpi o tem, co pisze, i zupełnie widocznem jest dla niego (nie wiadomo z czego), że biskup Stanisław nie należał do stronników Grzegorza VII.

Błędne to swoje przeświadczenie zaczerpnął podobno wprost z Lelewela, choć ten ostatni wypowiedział swoje zdanie tylko w formie bardzo lekkiego przypuszczenia, którego niczem nie mógł umotywo- wać, że św. Stanisław nie był co do małżeństw tej samej myśli, co Grzegorz VII <sup>1)</sup>. Domysł ten uczynił Lelewel w dodatku na mocy kroniki mistrza Wincentego, którą dzisiaj nowsi badacze dziejów ze źródeł do zatargu św. Stanisława z królem stanowczo wykreślają <sup>2)</sup>. Oto jedyna realna podstawa twierdzeń Gumpłowicza. Żeby choć we wszystkim przynajmniej opierał się na sądach uczonych tej miary, co nasz sławny Lelewel, tymczasem coraz gorzej.

<sup>1)</sup> Polska wieków średnich, tom II, str. 272.

<sup>2)</sup> Skorski, Stefczyk.

Jeżeli na początku rozprawy opierał się na tak kruchej podstawie, że jakieś źródło, czy późniejszy kronikarz, czy jakiś tam rocznik, czy z brewiarza wyjęty kardynał o męczeństwie św. Stanisława nie wspominał wcale, albo nie tak, jakby sobie życzył Gumplowicz, — to nie brak w dalszym ciągu jego rozprawki i takich faktów, które nigdy nie miały miejsca, i takich dokumentów, które nigdy nie istniały. Gdzie to naprzykład arcybiskup moguncki, Wesilo, „jedyny z ówczesnego duchowieństwa“, czyni wzmiankę o zatargu Bolesława Śmiałego z biskupem krakowskim, i gdzie to gorąco nawołuje króla polskiego do zgody?

Zapewne mowa tu o liście owego Wesila, który Gumplowicz adresuje do Bolesława Śmiałego, a który służy mu za podstawę niesłychanie śmiałej kombinacji: ponieważ arcybiskup jest stronnikiem Henryka IV i zaleca zgodę królowi polskiemu z biskupem, ergo Bolesław Śmiały jest stronnikiem Grzegorza VII, a św. Stanisław jego wrogiem! Otóż list taki, jeżeli on tu w grę wchodzi, nigdy nie istniał.

Jest wprawdzie list, znaleziony i wydany pierwotnie przez Peza, który Bielowski uważał w swoim czasie za list, niewątpliwie pisany przez Wratysława II czeskiego do Bolesława Śmiałego, choć bardzo wiele przeciwko temu przeświadczeniu przemawiało; ale dzisiaj już dokładnie wiemy, kto jest jego autorem i adresatem. Jakże Gumplowicza usprawiedliwić z tak grubego błędu? Nie można go oskarżać, że nie zaglądał do klasycznego dzieła W. Giesebrechta, boć przecież ten to uczony niemiecki dowiódł, że list, o którym mowa, pisany był przez Wesilona, i przytem mała różnica: nie do Bolesława Śmiałego, lecz do wroga jego, Wratysława czeskiego, gorliwego stronnika Henryka IV, a poróżnionego wówczas z bratem swoim, Jaromirem, biskupem praskim! Widocznie Gumplowicz pisał na pamięć, a ta go w tym wypadku fatalnie zawiodła. Oto jedna z podstaw jego kombinacji.

A jednak list ten, z którego tak fałszywie wnioskuje, że św. Stanisław był przeciwnym Grzegorzowi VII, choć o obydwóch niema tam ani słowa, daje assumpt autorowi do wyjaśnienia (?). dlaczego współczesni biskupi polscy pozwolili (?) Gallusowi w swej kronice nazwać zdrajcą św. Stanisława. Już wiemy, że kronika Gallusowa była przez tych dostojników Kościoła przyjęta z obrzezaniem.

Skąd znowu wiadomość, że Władysław Herman był stronnikiem antypapieża, Klemensa III? Jeżeli ma się to opierać na liście, który wydrukował Bielowski pod tytułem: „List Władysława Hermana do Klemensa III“, — to znowu jest błędem, ponieważ autorem jego jest znowu ten sam Wesilo, a nie kto inny, o czem Gumplowicz powinien był wiedzieć. A jednak nie wątpi nasz autor, że i biskup Czesław, erygowany przez Władysława Hermana, a złożony później przez legata papieskiego, Gualona, był również stronnikiem Klemensa III i jego na-

stępców. My nic o tem nie wiemy nad to, że Czesław zasiadł na stolicy biskupiej niekanonicznie, chodziło więc tu tylko o prawo inwestytury, którą w tym wypadku wykonał Władysław Herman <sup>1)</sup>. A zresztą, jakkolwiek tam było, co temu wszystkiemu ma być winien św. Stanisław, który dawno już nie żył? Tymczasem wszystko to ma dowodzić jego zdrady, i to względem Grzegorza VII!

Nareszcie kombinacye autora szybkim tempem coraz więcej tak się rozszerzają, że i ogarnąć je trudno. Więc biskup krakowski, Balduin, miał być wrogiem św. Stanisława, choć nigdy go nie widział, a to dlatego, że objął stolicę po złożonym Czesławie, czemu św. Stanisław chyba nie był winien; więc kronikarz, Gallus, który jest koniecznie synowcem biskupa Balduina, nazywa męczennika zdrajcą; a dalej tak się nasz autor rozhulał, że i cały kler krakowski ówczesny zdrajcami czyni, i to wobec Kościoła, a nareszcie i cały lud krakowski, który jest tak energiczny i stały, że jeszcze w 174 lata po śmierci biskupa Stanisława zostaje mu wiernym, czci go, jako swego patrona, dalej łamie opór kardynałów rzymskich i całej kuryi, która, jakkolwiek przeświadczona o zdradzie, — zapewne z obawy przed ludem krakowskim. — skwapliwie wpisuje Stanisława w poczet świętych! Oto treść rozprawy Gumpłowicza.

Że Bolesław Śmiały, wyrzucony z kraju, rzeczywiście Stanisława za zdrajcę uważał, to bardzo być może, i nic dziwnego, że Wincenty Kadłubek powstaje za to na króla. Otóż w tym postępku kronikarza widzi Gumpłowicz dowód owej zdrady, więc chyba, żeby w oczach naszych św. Stanisława oczyścić, powinien był mistrz Wincenty na swego świętego poprzednika napadać? Dalej, zupełnie słusznie i naturalnie uskarża się Długosz, że obawy przed gniewem książąt wstrzymywały rocznikarzy polskich od opowiadania męczeństwa św. Stanisława. Gumpłowicz pod tę kategorię podciąga też kopistów Kadłubka, którego egzemplarz bez opisu śmierci św. Stanisława widział podobno Sarnicki. Dotychczas jeszcze dobrze, ale znowu na jakiej to zasadzie twierdzi autor, że Długosz podsuwa annalistom fałszywy motyw, bo nie obawa przed gniewem monarchów polskich, lecz pamięć oporu biskupa przeciwko rozporządzeniom papieskim była prawdziwą przyczyną ich milczenia. Więc jakżeż to, tylko co cały kler miał być jednego usposobienia, co i św. Stanisław, a lud, pomimo oporu ze strony Rzymu, kanonizuje go, a tu znowu, kilka wierszy dalej, rocznikarze milczą gwoli

<sup>1)</sup> Abraham; „Organizacya Kościoła w Polsce“, Kraków, 1893, str. 69

rozporządzeniom papieskim? I znowu występuje kardynał Raynald ze swoją opozycją, której jakoś Gumplowicz strawić nie może.

Najwięcej jednak stosunkowo miejsca poświęcono w rozprawie kronikarzowi czeskiemu, Kosmasowi. Dlaczego? Niewiadomo, bo o zabójstwie św. Stanisława ani słówkiem nie wspomina. Ale przecież to jest ulubiony system Gumplowicza dowolnie wyzyskiwać czyjeś milczenie. Zastanawia się przedewszystkiem autor nad tem, dlaczego u Kosmasa jest luka w opowiadaniu od 1075 do 1082 roku, i dochodzi do wniosku, że kronikarz wypadki, zaszłe w tym czasie, opisał, a tylko później odpowiednie ustępy usunięte zostały przez syna jego, Henryka Zdika, biskupa morawskiego, albo też, że „wyszedł specjalny jakiś nakaz od biskupstwa praskiego do wszystkich czeskich klasztorów, by usunięto te lata z kroniki Kosmasa“. To drugie przypuszczenie jest wprost niemożliwe. Wydzieranie kart z kodeksów na mocy jakiegoś cyrkularza, choćby i biskupiego, jest to rzecz niesłychana, niepraktykowana i niemożliwa, bo jeżeli dzieło jakieś jest rozpowszechnionem, to niepodobna we wszystkich egzemplarzach poniszczyć pewne jakieś karty, albo ustępy, i nic więcej. Ale i to pierwsze przypuszczenie o złośliwej robocie syna Kosmasowego jest też zupełnie nieprawdopodobnem.

Dowód, że Kosmas odnośnie lata pierwotnie opisał, widzi Gumplowicz w tem, że, jeżeli pod którym rokiem nie notuje kronikarz żadnych wypadków, to mimo to wypisuje rocznikarskim sposobem ten rok z kolei, na przykład: „Anno Domini incarnationis millesimo LXXI“, a zatem nie zgoła; a tutaj, w tej luce kilkoletniej, która zastanawia autora, porządek lat nie jest wypisany. Nie jest to jednak żadnym dowodem.

Rok 1074 kończy Kosmas opisaniem wizyi, którą miał, będąc jeszcze klerykiem. Opowiadanie to zaczyna się od słów: *nec in pio quod eodem anno...* wyraźnie więc kronikarz odnosi ją do roku 1074. Mimo to Stefczyk, a za nim Gumplowicz, zupełnie samowolnie przesuwają to opowiadanie o kilka lat później, a to dlatego, że w wizyi występuje jakiś Czech, prawdopodobnie wyimaginowany przez Kosmasa, którego jednak obaj tak krytycznie usposobieni autorowie nie wahają się uznać za prawdziwego; a wszystko to dla tego, bo tak im koniecznie wypada, żeby ten tajemniczy, a bajeczny Czech został uwięziony w Krakowie w 1079 r., bo to jest równocześnie z katastrofą na Skalce. I znowu wielka licencya, bo już jeżeli ten Czech miał być rzeczywistym, to dla czegoż koniecznie naciągać czas jego pojmania na rok 1079, kiedy absolutnie nic nie wiemy o żadnem wówczas starciu z Czechami? Że do-

myślał się takowego Bielowski na mocy błędnie interpretowanych listów, to jeszcze wcale nie dowód. Tymczasem Kosmas swoją wizję stanowczo zapisuje pod rokiem 1074, i jeżeli rzeczywiście jego Czech był więzionym trzy lata w Krakowie, to wszystko jak najlepiej się składa, bo w 1071 roku, jak wiemy z roczników Lambert<sup>1</sup>, była wojna z Polską; więc niema żadnej potrzeby, ani powodu, tak bez ceremonii postępować z chronologią Kosmasa, jak to czynią Stefczyk i Gumpłowicz. Nietylko jednak nie zastanawiają się nad tem, ale gotowi są nawet w cuda Radima i dziwaczne oswobodzenie owego Czecha uwierzyć, który najpewniej nigdy nie istniał, byle tylko wmieszać jakkolwiek jego współbraci do zabójstwa św. Stanisława, i tym sposobem zdrając go uczynić. Dziwna to, zaiste, gorliwość!

Po kilkuletniej przerwie, poczyna Kosmas opowiadanie dalszych wypadków, ale już zaszłych w 1082 roku. Otóż tutaj ma być ta luka, którą uczynił, według naszego autora, syn kronikarza, Henryk, albo też który z biskupów praskich za pomocą specjalnego nakazu! Tymczasem Kosmas zaczyna opowiadanie od słów: „Nec praetereundum censeo, quod dux Vratislaus...“; robi więc to wrażenie, jak gdyby kronikarz otwarcie się przyznawał, że w tem miejscu coś świadomie opuścił: nie chce też tego pominąć..., a zatem coś pominął. Przypuszczenie to może być zresztą dowolnem, i kwestyi jeszcze nie rozstrzyga, ale też i nie na wiele zda się Gumpłowiczowi inny jego argument, że jeden z najdawniejszych kodeksów kroniki Kosmasa, dreźnieński, doszedł do nas w stanie straszliwie poszarpanym. Już chyba nie szarpano go całkowicie, aby zeń parę kart wyrzucić! Zupełnie przeciwnie; rozpatrzenie się w kodeksach wcale nie usprawiedliwia wniosku Gumpłowicza. Kodeks lipski, najstarszytniejszy ze wszystkich, wcale nie służył za podstawę innym, które posiadamy, i w żadnym z niemi nie stoi pokrewieństwie, a jednak w nim luka ma miejsce. I nic w tem dziwnego, bo Kosmas głośno wyznawał zasadę, że prawda w oczy kole, i że pożyteczniej jest o pewnych zdarzeniach zupełnie zamilczeć <sup>1</sup>).

Zresztą, nie myślimy dalej kruszyć kopii o to, czy Kosmas opisywał odnośne lata, czy nie, bo uważamy tą rzecz za zupełnie podrzędną

---

<sup>1</sup>) Proemium do księgi trzeciej: „Nam de modernis hominibus sive temporibus *utilius est, ut omnino taceamus, quam loquendo veritatem, quia veritas semper parit odium, alicuius rei incurramus dispendium*“. MGH, t., XI, (SS. t. IX), pag. 22.

a wszelkie wnioski, wyciągnięte z milczenia autorów, rzadko kiedy mogą się ostać wobec nauki. Ale o cóż tu właściwie chodzi autorowi? Oto przypuszcza, że w brakującym ustępie Kosmasa „było przedstawienie biskupa Stanisława, którego ówczesni biskupi krakowscy uważali za zdrajcę Kościoła, jako świętego męczennika (ale nie w myśli rzymskiego Kościoła)“. Oto dlatego tak prześladowano wszystkie kodeksy kroniki Kosmasa, a nawet drezdeński zapewne dlatego straszliwie poszarpano, że kronikarz pochwalił św. Stanisława, jak mniema Gumplowicz. To już poprostu jest śmiesznem. Nie wiemy najprzód, czy Kosmas napisał pierwotnie ten ustęp, którego dziś brakuje, i jeżeli napisał, czy potrafił w nim o katastrofę na Skalice; a gdyby nawet i tak było, jak można przypuszczać, że za jedno pochwalenie św. Stanisława, który, jak przeciw Gumplowicz rad dowodzić, miał być stronnikiem Czechów, — także, w Czechach, tak zapalczywie niszczone aż siedem lat narodowej historii, i to po wszystkich kodeksach! Czy może w owym czasie, kiedy Wratysław staczał krwawe walki w obronie Henryka IV, kiedy Czesi tak dzielnie walczyli pod Hohenburgiem (1075), pod Melrichstadt (1078), pod Flarcheim (1089), kiedy w 1081 roku aż do Włoch się jeden oddział Czechów wyprawił, — współczesny narodowy kronikarz nie lepszego nie miał do roboty, jak przez siedem lat z rządu wychwalać i wychwalać świętego Stanisława! To było-by poprostu naiwne. To też żaden z wydawców Kosmasa nie przypuszczał tutaj żadnej malwersacyi w niszczeniu przez kogoś odnośnych lat w kronice Kosmasa; uczynił to jeden Gumplowicz, i to najniefortunniej.

A jednak, z tego wszystkiego, co o Kosmasie powiedział, ma jakimś przedziwnym sposobem wynikać, „że i król czeski, Wratysław, miał swą rękę w zatargu między Bolesławem a św. Stanisławem, o czem później w Czechach nie wolno było pisać“. Tu godziło-by się zapytać autora, dlaczego-to w Czechach nie wolno było pisać? Gumplowicz na to nie odpowiada, ale widać na całym świecie zachował moc ów zakaz pisania o interwencji Czechów w sprawie św. Stanisława, bo żadne źródło nic o tem nie wie. Nie na wiele też chyba zdać się może cytowanie w tem miejscu Czackiego, bo najprzód zasłużony ten badacz zupełnie inaczej patrzył na te rzeczy, niż Gumplowicz, a powtóre, to, co mimochodem powiedział, opiera się, jak wiadomo, na błędnem mniemaniu, że Gallus pisze o zмовach z Czechami. Skoro zaś tak nie jest, należało-by Czackiemu już dać pokój.

Ponieważ nie mamy żadnego dokładnego opisu katastrofy, powiada dalej autor, musimy poprzestać na kilku domysłach, choć cała



praca jego dotychczas nie była niczem innym, jeno szeregiem niesłychanych domysłów i pomysłów. Zwraca się więc do tak lekceważonego obecnie niesłusznie Wincentego Kadłubka, z którego relacyi wpada mu w oko, że Bolesław Śmiały okrutnie prześladował kobiety. Wniosek stąd oczywisty, że chodziło o zaprowadzenie celibatu w Polsce, do czego wziął się Bolesław z polecenia Grzegorza VII, wywdzięczając się tem papieżowi za przyslaną koronę. Ale że Kadłubek wyraźnie opisuje, że wszystkie te kobiety były zamężne, i że w czasie nieobecności swoich mężów-rycerzy zaczęły się im sprzeniewierzać, a Gumpłowiczowi chodzi, zdaje się, tylko o celibat duchownych, więc dziwnie jakoś jedno z drugim się miesza, tak, że i związku doszukać się trudno. Wynik zaś ma być ten, że mistrz Wincenty naumyślnie całą tę historję wykoncypował, aby nie powiedzieć, że św. Stanisław był przeciwnikiem celibatu w Polsce. Dziwna, zaiste, przenikliwość!

Następnie zastanawia się Gumpłowicz nad wrażeniem, jakie musiało w Polsce wywrzeć zaprowadzenie celibatu, a dalej cofa się wstecz, przypomniawszy sobie o trybunie, który ongi Polacy Czechom płacili.

Idzie później krótki opis czesko-polskich stosunków aż do małżeństwa Wratysława z siostrą króla polskiego, co służy autorowi za most wygodny, po którym znowu wkracza w sferę swoich urojeń, że szlachta krakowska z powodu celibatu i reform gregoryańskich, buntowała się przeciw Bolesławowi Śmiałemu, i porozumiewała się z przeciwnym tym reformom królem czeskim. Przyszło do katastrofy, w której zginął św. Stanisław, a uwięziony został ów Czech, którego w wizyi widział młody Kosmas, — dwa fakty rzeczywiście równorzędnego znaczenia! Tylko w przypisku, czując snąc słaby grunt pod nogami, powtarza autor domysł Stefczyka, że jeżeli ongi nie mógł się Wratysław z królem polskim pogodzić, to każdy pojmie, że i w czasie walki ze św. Stanisławem nie był król czeski bezczynnym spektatorem. Mniemanie takie atoli nie może zastąpić faktu historycznego, tem bardziej, że obaj, i Stefczyk, i Gumpłowicz, zapominają o tem, iż Wratysław zajęty był wówczas sukkursowaniem Henryka IV, i choćby chciał, nie miał czasu mieszać się w wewnętrzne sprawy polskie.

Przypomniawszy zaś sobie, że w średnich wiekach kościoły bywały często inkastelizowane, przypuszcza, że się nie pomył, mniemając, iż św. Stanisław zamknął się ze swoją drużyną w kościele, jak w fortecy, i zginął z bronią w ręku. Zawsze to już zaszczytniej ginąć tym sposobem, niż jak chce pastor Angerstein, być sądzonym na śmierć przez Bolesława, choć oba te pomysły mają wobec historyi jednakowe znaczenie, bo oba zrodziły się w bujnej fantazyi swoich autorów.

Tak więc spiritus movens całej akcji — to celibat duchowieństwa, który Bolesław miał niby zaprowadzić. Już widzieliśmy, że wniosek ten na niczem nie jest oparty i stanowi dowolny wymysł Gumpłowicza. Bo choćby św. Stanisław był rzeczywiście przeciwnym celibatowi, co wcale nie miało miejsca, to i tak jeszcze nie możemy przypuścić, żeby z tego tylko powodu konspirował z Wratysławem przeciwko Bolesławowi. Ale jeżeli zaprowadzenie celibatu mogło obchodzić biskupa, jako osobę duchowną, to niepojętem staje się znowu tak silne zainteresowanie się tą kwestyą księcia czeskiego, który w dodatku zajęty był wówczas zwalczaniem Sasów, jak również niepodobna zrozumieć tak fanatycznego i gwałtownego zaprowadzenia owego celibatu ze strony Bolesława Śmiałego. Tymczasem ta kwestya reformy kościelnej u Gumpłowicza doprowadza do wojny z Czechami, którzy już, nie wiem, jaki mieć w tem mogli interes, aby się księża krakowscy koniecznienie żenili,—do zabójstwa św. Stanisława i do wypędzenia Bolesława z kraju. A wszystkiego tego powodem, *totius mali radice*, miał być celibat duchownych! Taki jest wynik pracy Gumpłowicza.

Na zakończenie jeszcze sprostować musimy jedną mylną wiadomość, którą autor zachował na ostatnią stronicę swojej rozprawki. Oto kronikarza Kosmasa czyni biskupem żonatym. Kosmas kronikarz, prawda, że był ożenionym, ale biskupem nigdy nie był. Otrzymał on tylko jednocześnie z nowomianowanym biskupem praskim, Hermanem, święcenia kapłańskie w 1099 roku, umarł zaś w późnej starości dziekanem praskim. Być może, że to w wywodach Gumpłowicza rzeczy nie zmienia, ponieważ Kosmas był księdzem żonatym, jakich podówczas nie brakło, lecz przecie biskupem nie był. Kładzie zaś nacisk na ten stan małżeński kronikarza czeskiego autor dlatego, aby niepojętym sposobem potwierdzić tem ogólny wynik swojej rozprawki, że św. Stanisław z powodu celibatu był zdrajcą wobec Rzymu i króla!

Na tem się kończy rozprawka Gumpłowicza.

---

Przypominamy w tem miejscu krytykę, jaką na pierwszą rozprawę naszego autora o Balduinie Gallusie napisał dr Krotoski. Nazwał on ją „szeregiem hipotez mniej lub więcej prawdopodobnych“, które „budzą bardzo poważne wątpliwości, jakkolwiek autor ogłasza je z niesłychaną pewnością siebie, kilkakrotnie za nieulegające żadnej kwestyi uważając“ <sup>1)</sup>. Mniej więcej możemy to samo i o niniejszej pracy Gumpłowicza powiedzieć, tylko z dodatkiem, że wszystkie jego hipotezy są bez wyjątku nieprawdopodobne, bo na żadnych poważniejszych podstawach nie oparte. Krytyk nazwał tamtą pracę eine Dichtung, w której ziarnka Wahrheit gdzieniegdzie się znajdują; i praca o św. Stanisławie może całkowicie na miano Dichtung zasługiwać, ale, niestety, zamiast ziarenek prawdy, tylko błędy gdzieniegdzie się spotyka... A wszystko to podejmuje autor w tym celu, aby św. Stanisława cięższemi zarzutami obarczyć Gorliwość godna lepszej sprawy.

Przy rozpatrywaniu walki z Bolesławem Śmiałym, żadnych sprzeczności, o których mówi Gumpłowicz, nie dostrzegamy, — bo nie możemy za takową uważać rzekomej opozycji kardynała Raynalda w czasie kanonizacyi naszego męczennika. Historyk, który te zawile kwestye traktuje, ma do zwalczenia dwie trudności. Jedną jest brak źródeł, co wyjaśnia po części świadectwo Długosza, że nie chciano do kładnemi opisami drażnić monarchów panujących <sup>2)</sup>, — z drugiej strony godną zastanowienia jest krótka, urywkowa notatka zagadkowego Gallusa o całym zajściu. Kim on był, niewiadomo, w każdym razie jednak karyerowiczem, któremu o względy Bolesława Krzywoustego bardzo chodziło <sup>3)</sup>, a nietyle współczesnego episkopatu polskiego. Pierwszy nasz kronikarz wyznawał głośno zasadę pierwszeństwa państwa przed Kościołem <sup>4)</sup>, rozumiał przeto, że biskupi winni są wierność panującym, którzy ich mianują. I św. Stanisław zasiadł na stolicy krakowskiej dzięki monarsze, który niewątpliwie korzystał z prawa inwesty-

<sup>1)</sup> Kwartalnik Historyczny, X, str. 873 — 874.

<sup>2)</sup> Opera, t. I, pag. 94.

<sup>3)</sup> Cf. Kwartalnik Historyczny, XII, str. 929.

<sup>4)</sup> Kętrzyński S.: Gall-Anonim, str. 21.

tury,—więc cóż dziwnego, że biskup, walczący z królem, choćby w naj-słuszniejszej sprawie, mógł w oczach kronikarza stać się *traditorem*, a zwłaszcza, kiedy Gallus mógł liczyć, że się to podoba Bolesławowi Krzywoustemu? O powodach zaś katastrofy na Skalce może będziemy mogli pomówić kiedyindziej.

ANTONI WYŚLOUCH.

---

# R O N D A.

---

Miłość morza fal do brzegu  
W pierś mi wbija stal!  
I bezmierny budzi żal,  
Kiedy w wód poznaję zbiegu,  
Po odwiecznym mknącą ściegu,  
Miłość morza fal.

Jak śród lazurowych hal,  
W dyademie z piany śniegu,  
Idzie, w tęsknych żądz szeregu,  
Miłość morza fal...

I znów — odrzucona w dal —  
W niestrudżonym czym zabiegu,  
Z niezgłębionych wód noclegu,  
Na mąk wiecznych wraca pal —  
Miłość morza fal.

\*

\*

\*

Na mojej drodze pustka leży...  
Gdziebądź źrenicom puszcę wodze,  
Nigdzie niczego nie znachodzę,  
I myśl za niczem w ślad nie bieży,  
I w jutrze brzaski duch nie wierzy,  
Na mojej drodze.

Ani radości, ani trwode  
Nie palę ognia z mych wybrzeży,  
I wśród nich stoję na rubieży,  
Na mojej drodze.

Jeśli się dotąd z życiem godzę,  
To, że chcę ujrzeć tryumf świeży  
Losu, kiedy się ze mną mierzy—  
I już dziś w krwi serdecznej brodę  
Na mojej drodze.

\*

\*

\*

Szarą godziną, myśli, jak zmrok szare,  
Wypełzną z mózgu, wstęgą zimną, siną,  
W uścisk węzowy serce w krąg owiną,  
I wszystkie rany w niem rozjątrzą stare,  
Zwarzą nadzieję i zagłuszą wiarę,  
Szarą godziną.

Jak nad pogodną zwieszono równiną,  
 Chmury w krąg błękit zasępią w chwil parę,  
 Tak one w musza we mnie jadu czarę,  
 Szarą godziną.

Nad miarę-m kochał—to jest moją winą,  
 I cierpieć za to muszę dziś nad miarę...  
 Całą moc ducha złożyć na ofiarę,  
 I truć się codzien tą myślą jedyną,  
 Szarą godziną.

\*

\*

\*

Chcę zostać sam... niech nikt nie słyszy,  
 Jakim zadaję prawdom kłam,  
 Przy jakich fałszach dumnie trwam,  
 Jakim pierś moja bólem dyszy—  
 W cmentarnej pustce, w nocnej ciszy  
 Chcę zostać sam.

Nie oddam piersi mej na kram  
 Światowych uciech, żądz, haczysz...



W gwiazd zasłuchany pacierz mniszy,  
Chcę zostać sam.

Ten akord, co pod ręką mam,  
Niech się nie ozwie w serce zaciszny...  
Niechaj mi nikt nie towarzyszy,  
Do jakichkolwiek pójde bram—  
Chcę zostać sam.

WŁADYSŁAW NAWROCKI.

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Julian Łętowski (Władysław Książek). „Sonety i ghazele“. Łódź 1899 r.

Kazimierz Rojan: „Lepsze czasy“. Powieść, odznaczona na konkursie „Kuryera Codziennego“. Warszawa, 1899.

Zbiorek niniejszy nie daje nam wysokiego pojęcia o uzdolnieniach poetyckich młodo zmarłego autora. Treść kilkudziesięciu sonetów i gazeli (poza paru wyjątkami) jest wyłącznie erotyczna, a odcienie uczucia miłosnego niezbyt urozmaicone; z nużącą jednostajnością powtarza się jeden przeważnie motyw: nie mogę cię zapomnieć, a tyś tak sroga i nieczuła.

Według wyobrażeń człowieka pierwotnego, każdy przedmiot, skała czy drzewo, posiada swego sobowtóra, swój cień, swoją duszę. I poeta jest często takim człowiekiem pierwotnym. On stwarza obraz, a z tego obrazu wylania się i unosi nad nim mgliste widmo, coś, co jest myślą, uczuciem, nastrojem poety. Na jednym z obrazów Klingera Chrystus, jako Ciesła z Nazaretu, pragnie rozprostować zmęczone członki... A poza nim na ścianie widać—krzyż? Ach, to cień... U Łęto-

wskiego żadna skała, żadne drzewo nie rzuca cienia. Jego obrazy nie są pomysłami, lecz tylko przenośniami i porównaniami, ozdabiającemi styl. Myśl jego występuje przed nami twardo i sztywnie, w swym abstrakcyjnym wyrazie. Potęguje to jej monotonię. „Że oczy twoje mogą siać blaski, dziewczyno, To słońce, blednąc zwolna po zgonie twym powie; Żeś w wady swych rówieśnic uboga, dziewczyno, Każdy po jednym twojem musi poznać słowie! I żeś dla mnie nad wszystko jest droga, dziewczyno, Kto zapragnie, z piosenek mych o tem się dowie. — Ale jakaś ty dla mnie jest sroga, dziewczyno, Tego ja i nikt ziemską mową nie wypowie..“

Braki wyobraźni twórczej wynagrodzić by mogło liryczne wezbranie uczucia; ale sonety i gازه Łętowskiego są tylko retoryczne. Hyperbole zaś, od których nie zawsze powściągnąć się umiał, na tle prozaicznego toku wiersza dziwnie dość wyglądają. „Drzewa w sadzie szumiały wśród skargi czy jęku. Naraz słońce zagasło, chmurą przysłonię. Ptaszę przerwało świegot i patrzy zdziwione, A pszczoła, co w ul biegła, spoczęła na pieńku... Rzekłbyś: Bóg spojrział gniewnie — i wszystko wśród lęku Ucichło nagle..“ Taki sobie sielankowy sad — i po co grzeszyć przeciw drugiemu z przykazań boskich? Albo oto: „Dość tej męki! Dziś ciebie zmuszę do wyznania... Zbudź się! Tam Stwórca czeka świadomy miłości! Słyszysz? Wiatr dmie, grad siecze, burza się zaczyna. To Bóg chce ból mój skrócić piorunem z litości!“ Zdaje się, że tylko wielkość przedmiotu, albo (co wszystko jedno), nadludzkie uniesienie wielkiej duszy usprawiedliwić może takie zaklinanie potęg niebieskich i wzywanie do wtóru rozpętanych żywiołów...

„De mortuis aut bene aut nihil... Jakże, więc wykroczyliśmy przeciw tej zasadzie? Ale słowa nasze nie dotyczą autora, lecz wydawców. Wszak nie tylko z tych igraszek wierszowanych składa się spuścizna jego: Tu ozdorna szata ukrywa treść ubogą, a książkę sklecono z materiału kilkunastu stronicowego: wierszyk (sonet lub gazela 8-o wierszowa) i biała kartka... I tak kolejną.

W powieści swej autor przedstawia dzieje rodziny rozbitków, wyrzuconej ze wsi na bruk miejski. Żyją oni ze skrawków dawnego mienia i osładzają codzienną walkę z niedostatkiem pewnością powrotu „lepszych czasów“. Jest tu matka, zawsze stroskana myślą o obiedzie, o drewnkach, o tańszem okryciu i t. p. Jest tam dwoje dzieci: niały staruszków, jest córka, pracująca w biurze kolejowem i wyglądająca, czy jej narzeczonemu, telegrafście, nie spadnie z nieba kaucya, którą powinien złożyć, zabierając się do świętego stanu małżeńskiego; jest dwoje drobnych dzieci, i wreszcie nadzieja „lepszych czasów“, przyszły lekarz, główny bohater powieści, Janek Stawczyński, On-to ma wydzwignąć rodzinę z toni i zapewnić jej dobry byt. Za cenę nadzwyczajnych wysiłków i przy pomocy szczęśliwego zbiegu okoliczności, upragniony dyplom uzyskany. Powszechna radość kółka rodzinnego stopniowo się rozprasza: pacjentów niema. Sprawa się komplikuje dramatem sercowym Janka: kocha on ubogą panienkę, Kazię Korczakównę. Ale gdyby się ożenił, nie mógł-by rodziny utrzymywać; więc panna Kazia robi z siebie skromną ofiarę czystej miłości i usuwa się, by nie stawać na drodze obowiązkowi młodzieńca. I było-by niedobrze, gdyby nie zjawienie się dobroczynnej wróżki, za której skinieniem stanął pałac przesliczny, w pałacu tym wiele skarbów i sprzętów kosztownych i t. d., jak to w bajce. Oczywiście, w powieści wróżka przybiera pozór wcale realistyczny, nie przestając być *deus ex machina*. Sąsiadujące z sobą rodziny Korczaków i Stawczyńskich utraciły mienie w przedsiębiorstwach nafciarskich (rzecz dzieje się w Galicyi). Okazało się jednak, że drobna część fortuny Korczaków ocalała z pogromu, jakies kilka lichych morgów zaledwie, ale dały one setki tysięcy wspólnikom, którzy tu studnie wiercili, zataiwszy jakimś sposobem, iż teren naftowy jest własnością sieroty. Aż tu prawda, jak oliwa, na wierzch wychodzi. Z tego powodu zaszły nawet pewne komplikacye i intrygi, których tu jednak dotykać nie będziemy. Dość, że Kazia Korczakówna stała się nraz dziedziczką dużego majątku, i Janek już żenić się może. Było to nawet obowiązkiem jego ze względu na rodzinę. Wprawdzie zaszczytniej dla niego było stworzyć własnymi siłami „lepsze czasy“, jeśliby wogóle zdobyć się dały. Nie wiemy też, gdzie duma jego podziała się, ta duma, co nie pozwoliła mu przyznać się przed panną Kazią, iż brak mu paruset reńskich na opędzenie niezbędnych opłat egzaminacyjnych. No, ale czytelnik ma wszystko, czego wymaga: może

rozrzewnić się zlekka, później ma wróżkę, pohańbienie niecnoty i wselisko aż do tradycyjnego przyśpiewu: i ja tam byłem, miód i wino piłem... Wszelako wartość książki p. Rojana zależy wyłącznie od tych jej kartek, na których autor zobrazował borykanie się rodziny Stawczyńskich z biedą, i to swoiste przystosowanie się do życia, kiedy każdy czyn, każde poruszenie myśli i uderzenie serca ocenione bywa miarą bezpośredniego pożytku materialnego. Zdaje mi się, że usposobienie podobne ogarnia najczęściej tych właśnie, kogo wyrzuciła na obcy brzeg fala losu, kogo przeniesiono z żywiołu rodzinnego i kazano się obracać w warunkach zupełnie odmiennych a ciężkich. Wskutek tego naruszoną została równowaga moralna, której podstawą były nie siły wewnętrzne, lecz tylko środowisko, lecz tylko przyzwyczajenie. Autor doskonale pochwylił znamiona takiego stanu przejściowego, kiedy niepodobieństwem wydaje się nowy tryb życia, a tymczasem człowiek kurczy się i wyrzuca pośpiesznie za burt swej łodzi wszystko, co ją obciąża niepotrzebnie. To „doskonale“ trzeba opatrzeć, niestety, mnogimi zastrzeżeniami. Widnokreśli myślowe i uczuciowe p. Rojana, o ile je zdołał ujawnić w twórczości powieściowej, nie są rozległe. Charakterystyka postaci nie dość wyrazista i śmiała; psychologia wprowadzonych przez autora osób dostępna mu tylko w szczupłym zakresie, i to o ile ma do czynienia z naturami, niezłożonemi i niezbyt głębokimi. Usiłując koniecznie przekroczyć te granice, spogląda na upodobanych bohaterów z dołu do góry, i wywołuje w ten sposób wrażenie dysharmonii. Jego Janek naprzykład jest dobrym, żywym, zdolnym i posiadającym artystyczne upodobanie chłopakiem, nie odznacza się wszakże żadnemi poważniejszymi, czy oryginalnemi aspiracyami; cierpi niekiedy, ale wogóle jest on dostatecznie przystosowany do życia i otoczenia swego. Takim go poznajemy w toku wypadków powieściowych. W oczach autora przecież jest on poetą tonów, który, ze względów materialnych, uległ namowom rodziny i chybił powołaniu, uczuwając tragizm takiego stanu; z tego płytkiego człowieka p. Rojan pragnie uczynić nadszłą i filigranową naturę. „Bo gdy rodzina traktuje to wszystko zgrubsza, na chłodno, on wydelikacjonemi nerwami i bujną fantazyą rozczłonkuje każde wrażenie, jak anatom, to znowu uogólnia je z filozoficznego punktu widzenia, i układa pogodne lub smutne horoskopy na przyszłość“. Chodzi po prostu o to, że gdy pacjentów niema, młody lekarz oddaje się czarnej rozpaczce, która ustępuje natychmiast miejsca różowym marzeniom, ilekroć ktoś się nawinie z prośbą o poradę. I po co tu anatomia i filozofia? Nie udają się autorowi komentarze. Ulega on zresztą ogólnej epidemii naszego powieściopisarstwa i dba wielce o to, by niepozostawić czytelnika w niepewności, iż kichnięcie czyjeś jest skutkiem podrażnienia błony śluzowej. Gdy Janek zapadł na tyfus,

babka jego, ujawniająca na każdym kroku oschle i krótkowzroczne samolubstwo, pragnie usunąć się wraz z dziećmi z niebezpiecznego miejsca. Autor nie omieszkiał dodać wyjaśnienia: „troska o małe dzieci była raczej własną jej troską, pokrytą dość „niezręcznie“ płaszczykiem rodzicielskiej pieczołowitości. Ale niech-że nam wolno będzie choć to ocenić, czy wystąpienie staruszki było zręcznie, czy niezręcznie upozorowane! Darujmy zresztą własną obrazę, ale jakież mierne ma autor wyobrażenie o sile swej charakterystyki!

Wszystkie te okoliczności sprawiają, że obrazy p. Rojana wyglądają cokolwiek płasko. Nie stwarza on żywych osób, lecz raczej pewne sytuacje. Musimy jednak oddać p. Rojanowi sprawiedliwość, że kilka takich położeń zostało pochwyconych i przedstawionych bardzo dobrze. Wspominaliśmy wyżej, że te strony obrazu stanowią prawdziwą zaletę dzieła. Wiemy już, że całe nadzieje rodziny spoczęły na Janku. I często się zdaje, że ów Janek tylko tyle ma w oczach najbliższych wartości, o ile włożone na niego zadanie spełnia zadawalająco. Ma dopiero składać egzaminy państwowe. Więc niech się uczy, niech kuje bez wytchnienia. A ten chłopak tyle czasu traci na muzykę! Czyż on nie rozumie naszego położenia, on serca nie ma! Może to jedyne jego chwile szczęścia, gdy wsłucha się w tony? A, nedorzecznosc, egzaltacja! Może ta rozrywka właśnie czyni mózg sprawniejszym do pracy? Ale tego nie rozumiem... a zahukany chłopiec nie zawsze umie się obronić. Dyplom znacznie podniósł Janka w mniemaniu powszechnem. Lecz, niestety, deszcz złoty, a bodaj już srebrny, ani myśli spadać. Akcje bohatera gwałtownie spadają, i w ogólnym stanie temperatury rodzinnej zachodzą jeno lekkie wahania w zaleźności od dorywczych zarobków p. konsyliarza. Aż wreszcie „lepsze czasy“ uśmiechnęły się. Janek ma czuwać w zamożnym domu u łoża niebezpiecznie chorej hrabianki. Chwała Bogu! wołają wszyscy chórem. Chwała Bogu! Powtórza uszczęśliwiony Janek. Po ludzku! A jaką dbałością o wygody otoczono go wtedy! Jak wtedy wydawał się dobrym synem, bratem, wnukiem... Nie brakło nigdy Jankowi ciepła rodzinnego. Jeżeli potrzeba, Zosia wyrzeknie się i zimowego okrycia, i czapeczki, wyrzeknie się najniezbędniejszych rzeczy, odda bratu całą swą pensję miesięczną. Lecz jeżeli nierozsądny chłopak chce wyrzucić kilka złotych na nuty,—o, to przepraszam, ani grosika, ani grosika! A kiedy wyrobnikowi, wypływającemu już resztki płuc, zwrócił wynagrodzenie za poradę, która była tylko pobożnem kłamstwem,—złożono na Janka sąd formalny. Dobra i szczerza dziewczyna, Kazia, w sam raz żona dla Janka, ale że niewolno mu się z nią żenić, więc... pozwolono mu myśleć, że Kazia sprzedała się starcowi. Ot, taki sobie niewinny podstęp!

Autor w końcu, i słusznie, złagodził barwy. Walka o byt, tocząca się w warunkach dla kolonii rozbitków niezwykłych, okryła ich serca powłoką lodową. Nie rozbudziły-by jej żadne „egzaltacje“, lecz stopiło w jednej chwili widmo niebezpieczeństwa, dla wszystkich namacalnego. Janka obalił tyfus, i wszystkich ogarnia przerażenie, pozbawione pierwiastków samolubnych. Przybiegła i Kazia. Niepotrzebnie tylko każe jej autor zbyt dbać o formy przyzwoitości, sądząc, że ją idealizuje. Tylko dziadek i babka byli dość przezorni, by w ogólnem zamieszaniu dbać o siebie. Ale gdzież niema wyjątków...

A. DROGOSZEWSKI.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Ruch w kierunku wyrobienia metod samouctwa, uporządkowania i ułatwienia usiłowań jednostek przez umiejętną pomoc i kontrolę ludzi nauki nietylko nie ustaje, lecz owszem, zapowiada się coraz poważniej.

Niedawno notowaliśmy tu wyjście w świat jedynej w swoim rodzaju księgi zbiorowej p. t. „Poradnik dla samouków“. Dzieło to, będące, jak wiadomo, owocem zbiorowej pracy wielu pierwszorzędných naszych sił naukowych, objęło całokształt zagadnień samouctwa i przyniosło zarys metody pracy w każdej dziedzinie.

Z konieczności jednak, mając na względzie raczej wyczerpanie wszechstronne zakresu zamokształcenia, t. j. wskazówki we wszystkich naraz specjalnościach, „Poradnik dla samouków“ nie mógł dać jakie-



goś jednolitego planu samouctwa dla jednego osobnika. Tu wszyscy mogą czerpać informacje o wszystkim, ale każdy pojedynczo, ktoby chciał znaleźć wskazówkę, jak ma wybrać i ułożyć w całość dla siebie pewną grupę przedmiotów, w „Poradniku“ odpowiedzi na to nie znajdzie. Studentowi, który się raz zdecyduje na wybór pewnego fachu, sama już organizacya wszechnicy podaje gotową syntezę pracy w postaci szeregu kursów danego wydziału, samouk zaś pracuje po największej części, idąc li tylko za poczuciem własnych braków ukształcenia, lub za ciekawością do tych czy innych przedmiotów.

W tych warunkach staje się rzeczą znacznej doniosłości istnienie jakiegoś organu, jakiegoś kierunku, z którym samouk każdy mógłby porozumiewać się przy ułożeniu i wykonaniu planu swojej nauki.

Taki właśnie organ p. t. „Oświata“, miesięcznik „poświęcony zagadnieniom wykształcenia, czytelnictwa i samouctwa“ założył obecnie w Krakowie p. W. M. Kozłowski.

Głównem zadaniem pisma jest: „drogą ustawicznej łączności z czytelnikiem, ułatwić mu trudne zadanie pracy nad wykształceniem samego siebie“.

Redakcyja nowego pisma zdaje sobie sprawę, że ostatecznym celem samouctwa jest wyrobienie w sobie zasad, niezbędnych dla orwentowania się, sądzenia zagadnień życia i myśli.

Tu zaś obok ogólnych, metodycznych informacyi, mają wartość dla samouka właśnie informacje szczegółowe, odpowiadające jego indywidualnym potrzebom i dążeniom, oraz celom i wymaganiom, jakie sam sobie stawia.

Dla tego też wydawnictwo p. W. M. Kozłowskiego będzie obejmowało trzy główne działy, które tak charakteryzuje w artykule wstępnym:

1) Artykuły, zaznajamiające z nowemi prądami w zakresie myśli naukowej lub twórczości literacko-artystycznej i omawiające stosunek ich do trwałych lub zmiennych zagadnień życia; związek tych prądów z rozmaitemi czynnikami życia dziejowego i społecznego; ich dodatnią lub ujemną wartość, jako czynników wykształcenia i wychowania ludzkości.

2) Szczegółową bibliografią rozumowaną nowych książek, przeważnie zaś polskich, mających związek jakikolwiek z wykształceniem ogólnem, ze szczególnem uwzględnieniem ich znaczenia dla tego rodzaju wykształcenia. lub dla samouctwa. Łatwo zrozumiemy, że główna rola w tym dziale przypadnie dziełom popularnie-naukowym; niemniej wszakże i utwory czysto literackie: poezya, dramat i powieść, zwłaszcza zaś krytyka literacka i historia literatury, zarówno jak i dziejopisarstwo wogóle, dostarczą do niego materiału.

Rozbiór poważnych utworów literatury pięknej należy do tych działów piśmiennictwa, którym przypada ważna rola w wykształceniu ogólnem. Zanika on coraz bardziej, tonąc wśród tuzinkowych sprawozdań z nowych powieści. W piśmie miejsce ma się znaleźć na tego rodzaju rozbiory wybitniejszych dzieł naszej literatury.

3) Trzeci dział główny stanowią będą odpowiedzi na zapytania czytelników, dotyczące rozmaitych zagadnień, celów i środków czytelnictwa i wykształcenia; informacje, co do książek w rozmaitych przedmiotach i zakresach, wyjaśnienie wątpliwości, porady w trudnych wypadkach, wszystko to słowem, czem bardziej doświadczony i obeznany z literaturą kierownik dopomódz może samoukowi, nie szukającemu w książce samej rozrywki, albo sposobu zabicia czasu, lecz przystępującemu do niej z tem, aby po przeczytaniu jej uzyskać szerszy pogląd na rzeczy, stać się mądrzejszym i lepszym.

Przyznać możemy planowi temu zupełne zrozumienie zadań przedsięwziętej pracy. Jeśli więc wykonanie planu, o czem nie mamy powodu wątpić, będzie stało na jego wysokości, to samouctwo nasze istotnie pozyskało solidne oparcie w „Oświacie“. Dodajmy, iż równocześnie niemal z pismem pojawi się w obiegu księgarskim książka p. Kozłowskiego p. t. „Co i jak czytać“, traktująca o metodzie samouctwa i czytelnictwa. Treść książki stanowią:

Przedmowa.—Wstęp: Wykształcenie samego siebie i szkoła. — Część I. Wykształcenie i książka. Rozdział I. Obecne źródła wykształcenia. — Rozdział II. Potęga książek. Próby unormowania czytelnictwa. — Rozdział III. Co znaczy prawdziwe wykształcenie.—Rozdział IV. Żywioł ogólnie ludzki i żywioł narodowy w wykształceniu.—Rozdział V. Umiejętność czytania.—Rozdział VI. Na-

turalne następstwo w czytaniu.—Rozdział VII. Jak czytać utwory poetyckie? — Rozdział VIII. Wiedza i wykształcenie naukowe.—Rozdział IX. Publicystyka i życie. — Część II. Synteza lektury i filozofia życia. Rozdział I. Synteza lektury i filozofia życia.—Rozdział II. Moralność i szczęście. — Rozdział III. Pogląd na świat. — Rozdział IV. Ideały. — Rozdział V. Jednostka i społeczeństwo. — Dodatki obejmują katalogi dzieł wyborowych z dzieł rozmaitych, z tych: „Literatura polska“ opracowana przez Piotra Chmielowskiego, „Historia polska“ przez Tadeusza Korzona.

Jest to, jak widzimy, takie właśnie syntentyczne ujęcie zadań i celów samouctwa, na które w „Poradniku“ miejsca nie było, a które, jak to zaznaczyliśmy na wstępie, ma co najmniej taką samą wartość, jak i wskazówki ogólnoinformacyjne.

Nie wiemy, co książka zapowiedziana, co pismo przyniesie. Będą to jednak w każdym razie poglądy gruntownie pomyślane i wypowiedziane silnie, pobudzające do samodzielnego myślenia i, jak wszystko, co silne, i do polemiki. Otóż kto wie, czy dyskusja prywatna i publiczna nie jest właśnie najdzielniejszym czynnikiem samouctwa, tj. krystalizowania się i systematyzowania w osobniku naczelnych zasad życia.

Tu moglibyśmy tylko wyrazić jedno jeszcze życzenie: Oto, ażeby zarówno fachowa, jak wogóle poważniejsza część prasy naszej zechciała poświęcić samouctwu jeśli już nie specjalną rubrykę, to przynajmniej specjalnie baczną uwagę, gdyż w ten tylko sposób, dzięki publicznej dyskusji, ogół skorzysta z pracy „Oświaty“ bez niebezpieczeństwa jednostronności lub zbyt szybkiego przechodzenia do porządku dziennego nad kwestyami pierwszorzędnej doniosłości.

Poruszaliśmy tu niedawno, w sposób całkiem przygodny, sprawę Ogrodu Saskiego. Sprawa ta jest tylko ułamkiem bardzo obszernego i coraz bardziej palącego zagadnienia utrzymania miasta na poziomie dzisiejszych wymagań estetycznych i nie dzisiejszego, lecz, ufamy, stałego poczucia pewnej godności.

Warszawa szybkim krokiem zbliża się do milionowej ludności, tymczasem zaś, jeśli odrzucimy na stronę wszelkie uprzedzenia, to chyba zgodzimy się wszyscy, że ten wielkomiejski jej charakter bardzo słabo odbija się w urządzeniu, zwłaszcza zaś w architekturze miasta.

Nie mamy w Warszawie ani jednego bodaj placu, odpowiadającego obszarem wielkości miasta, ani jednej ulicy, której fizyognomia miała-by jakąś charakterystyczną w większym stylu odrębność. Oko turysty, zabłąkanego tu przypadkiem, nie spotka nigdzie budzących zaciekawienie, lub podziw linii architektonicznych. Nic, tylko szeregi monotonnych kamienic dochodowych, nieprzerwane żadnym interesującym frontonem, żadnym gmachem nad miarę sąsiednich. Perspektywy ulic o charakterze handlowo-wielkomiejskim, jak na przykład ulica Marszałkowska, nic w głębi nie uszlachetnia, nie urozmaica. Na potężnych skrzyżowaniach, z których widok, jak z rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskiej, ma wprost rzadką rozległość widnokregu—znowu nic, znowu dochodowe kamienice, lub po prostu śmieszny i brzydki na pięknym placu budynek w rodzaju dworca wiedeńskiego.

Jedna z najefektowniejszych części miasta, spadek ku Wiśle, nadająca się bardzo do śmiałych i stylowych pomysłów budowniczych, nietylko niewyzyskana, lecz wprost zawałona ruderami. A przecież na takim terenie, jak część Alei za Nowym Światem, mogły-by stanąć przepyszne gmachy z Belwederami na Wisłę, wabiące turystów hotele, ściągające tłumną publiczność kawiarnie w europejskim stylu, wreszcie wille i nawet domy dochodowe, obliczone właśnie na efektowne własności terenu. Tymczasem Warszawa dotąd nie ma nawet jednej takiej kawiarni, jakich w Wiedniu spotykamy setki, jakie w małej na przykład Brukselli wprost nadają miastu charakter wielkomiejski, i na jaką zdobył się podobno nawet—Kraków! Tu już nie można na usprawiedliwienie powołać żadnych okoliczności łagodzących, gdyż w Warszawie życie uliczno-kawiarniane jest bardzo rozwinięte, i właściciel takiego gmachu robił-by na nim napewno interesa nie gorsze, niż pierwszy lepszy Brukselczyk, lub Wiedeńczyk. Jest to po prostu brak

inicjatywy, brak pomysłowości, powszechna wśród kamieniczników i kapitalistów naszych choroba owczego pędu z jednej i nieuzasadnionego tchórzowstwa w przedsiębiorstwach z drugiej strony. Tak na przykład lokowano w ciągu ostatnich lat kilkunastu kapitały w tak zwane domy dochodowe. Wszyscy stawiali na gwałt te obrzydliwe pudła czteropiętrowe z przegródkami. Ale nikt nie wpadł na pomysł, że wobec olbrzymio wzrastającej liczby mieszkańców stałych, *musi* też stosunkowo wzrosnąć liczba przyjezdnych, że zatem nowy, w europejskim stylu hotel może być również interesem, jak owe pudła dochodowe. Na dźwignięcie aż tak śmiałego pomysłu trzeba było naszym kamienicznikom... Paderewskiego. Zupełnie to samo powtarza się obecnie z kawiarniami, restauracjami i t. p. Są to po największej części ciasne i niewłaściwie urządzone lokale, podczas gdy ręczyć można, że pierwszy, który wpadnie na pomysł wielkiej, z hallami i balkonami urządzonej kawiarni na przykład, zrobi po prostu świetny interes.

Nie chodzi nam tu o napędzanie dochodu do kieszeni kapitalistów warszawskich. Chodzi o stwierdzenie smutnego faktu, że tam, gdzie nawet interes osobisty nie przełamie uprzedzeń, nie wzbudzi inicjatywy, nie podniesie po prostu stopy zamiarów i prac, tam z konieczności musi ucierpieć i interes ogólny, godność miasta, estetyka miasta. To trudno: poza jakimś szczególnym faworem losów, który na przykład dał w swoim czasie barona Haussmanna, o losach miasta w ogromnej mierze rozstrzyga energia współzawodnictwa i przedsiębiorczości prywatnej jego obywateli. Trzeba jednak, żeby obywatele ci stali na pewnej stopie kultury, coś kochali, czegoś pragnęli dla rodzinnego grodu, jak owi ongi sławetni a ambitni ambicyą własnego gniazda mieszczanie wieków średnich.

Uwagi powyższe nasunęło nam przemówienie budowniczego, p. Wacława Klossa, na ostatniem posiedzeniu delegacji architektonicznej w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu.

P. Kloss rozwinął bardzo piękne poglądy na zadanie architektury. Zadaniem tem być powinno przedewszystkiem: „unarodowienie architektury, dążenie do wytworzenia w budownictwie trwałych form architektonicznych na zasadzie badań nad zdobnictwem ludowem, przez stylizowanie i udoskonalanie odnalezionych motywów architektonicznych, i odszukiwanie w nich oryginalnych, nam wyłącznie właściwych, form wyrażania pewnych idei w bryle. Wszystko to, razem wzięte, może mieć za skutek dorzucenie do skarbnicy architektury wszechświatowej cegiełki, jaką każdy cywilizowany naród powinien starać się dorzucić“.

Widzieliśmy, a raczej codzień widzimy, jak daleko od ideałów tych stoi praktyka budownictwa warszawskiego. I, co prawda, wina ta spada po części i na architektów naszych, którzy przecież w charakterze artystów powołani są do czuwania nietylko nad interesami kamieniczników, ale i nad interesami sztuki. W iluż-to wypadkach kamienicznik przyjął-by niezawodnie plan jakiejś oryginalnej, bardziej swojskiej ornamentacji, gdyby... gdyby plan taki został mu przez budowniczego przedstawiony. Ale budowniczy również woli załatwiać tę rzecz ryczałtem, dochodowo.

Ażeby zaś i wśród budowniczych rozbudzić nieco więcej polotu, p. Kloss proponuje środki następujące:

Przedewszystkiem należy ogłaszać stale peryodyczne konkursy z nagrodami za najpiękniejsze budowle, wzniesione w ciągu ostatnich lat kilku w obrębie Warszawy bez względu na rodzaj, rozmiary, lub przeznaczenie budowli. Nagroda powinna składać się z dwóch części: kwoty pieniężnej i medalu, udzielanych właścicielowi gmachu i projektodawcy. Właściciel gmachu otrzymuje nagrodę pod warunkiem, iż na budowli nagrodzonej umieści tablicę z nazwiskiem twórcy planów, tudzież roku, w którym nagroda przypadła budowli w udziale.

Skąd brać fundusze na nagrody? Według p. Klossa, ciężar ten powinno ponosić miasto, jako najbardziej w sprawie wyrobienia stylu architektonicznego zainteresowane. Zarząd miejski bardzo znaczne summy wydaje na cele, mające związek z estetycznym wyglądem miasta: zadrzewia ulice, przerabia i urządza skwery, reguluje ulice, stawia fontanny. Jeżeli magistrat uważa za właściwe wyznaczać corocznie pewną kwotę na nagrody dla Towarzystwa wyścigów konnych, to czyż nie było-by słusznem, aby poświęcało parę tysięcy rubli rocznie na nagrody, mające na celu przyozdabianie miasta pięknymi budowlami, co z czasem, po podniesieniu estetycznego wyglądu Warszawy, opłacałoby się sownie przez wzmożenie ruchu turystów, którzy obecnie mają wszelkie prawo omijać Warszawę, jako nieprzedstawiającą nic godnego uwagi. Ileż-to miast, nie mówiąc już o takim Krakowie, który pamiętkami stoi, zawdzięcza dobrobyt mieszkańców estetycznemu swemu wyglądowi, ściągającym cudzoziemców, szukających wrażeń po świecie!

Inicjatywa w tym względzie powinna wyjść z delegacyi architektonicznej.

Drugim środkiem, proponowanym przez p. Klossa, jest założenie czasopisma specjalnego, poświęconego wyłącznie architekturze. Nie

wznosimy wprawdzie imponujących gmachów publicznych, ale ruch w budownictwie prywatnem jest znaczny. Budowniczych mamy wielu, w samem Królestwie Polskiem kilkuset, a zagranicą dostarczyć powinna pismu drugie tyle współpracowników i prenumeratorów. Jeśli budowniczy nasi nie chcą po wieczne czasy pozostać kopistami wzorów zachodnio-europejskich, muszą do sztuki budowniczej coś dorzucić swojego, a architektura swojska nie rozwinie się, zasoby zaś twórczości pozostawać będą niewyzyskane póty, póki nie powstanie organ, skupiający w sobie usiłowania oddzielne, popierający wszelką myśl nową, rozpatrujący krytycznie każdy i omysł świeży, póki nie powstanie czasopismo peryodyczne, poświęcone architekturze swojskiej.

Ze względu na myśl przewodnią tworzenia sztuki swojskiej, wydawnictwo musiało-by mieć przedewszystkiem charakter opisowy, aby najnsadniej mogło udostępnić ogółowi i budowniczym zabytki sztuki rodzimej, przekazane nam przez przeszłość; dziś bowiem jesteśmy w tem położeniu, iż, chcąc najbliższy ornament oprzeć na motywach swojskich, budowniczy musi szukać wzoru na własną rękę. Tu i owdzie, po pismach i wydawnictwach, to i owo było opisane, ale znalezienie tego materiału przedstawia trudności, nieraz bardzo znaczne. W dodatku, opisy te, jako prace piór niefachowych, nie zawierają wskazówek pożądaných dla budowniczego, a zamieszczone przy nich rysunki są po prostu ilustracyami bez rysów geometrycznych, poziomych i pionowych. Nie pozostawalo-by nic innego, tylko wyruszyć w podróż po kraju i przestudyować na miejscu ten lub ów zabytek architektoniczny, a na to nie każdy budowniczy zdobyć się może.

I możemy zaręczyć z góry, że podróż taka, to materiał bogaty. Oto na przykład dział budownictwa willi podmiejskich, letnich pałacyków itp. Dla czego dotąd ciąży na nas kłątwa stereotypowego „dworku szwajcarskiego“, lub tyrolskiego, dla czego budownictwo nasze nie rozwija tu na przykład typu dawnego dworku wiejskiego, lub tatrzańskieja chałupy—trudno zrozumieć. Miejmy wraz z prelegentem nadzieję, że znakomitym bodźcem w kierunku większej pomysłowości i swojskości budownictwa naszego będzie wydział budowlany przy Instytucie technologicznym.

Tymczasem jednak, zanim pierwsze zastępy młodych budowniczych przyniosą nam swe młode ambicje i młodą energię, dużo zdziałać może nawet bez magistratu Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, a więcej jeszcze godziwa ambicja i poczucie godności swiatlejszych obywateli miasta.

Przed kilku dniami skończył się ostatni akt bolesnego dramatu lwowskiego. Z ławy oskarżonych zszedł wreszcie człowiek, którego przed tem widywaliśmy z chlubą w rządzie najpierwszych. Złamany na zdrowiu, zrujnowany i z nieuleczalnym nigdy bólem upokorzeń i zawodu w sercu, ustąpił z areny publicznej Stanisław Szczepanowski.

Przysięgli uniewinnili go, publicyści-psychologowie rozgrzeszyli go, „gawiedź“ (?) nawet instynktem odczuła, że przed taką klęską można tylko pochylić głowę i przejść w milczeniu.

Nie rozgrzeszy i nie uniewinni siebie tylko on sam, nie zapomni pęki życia przebytej męki, nie odwróci, nim ich na zawsze nie zamknie, stroskanych oczu, od fatalnego obrazu swej pracy nad siły <sup>1)</sup>.

Jakąkolwiek bowiem ulgą mógł być dla człowieka znużonego i chorego werdykt przysięgłych—dla myśliciela i działacza społecznego, jakim do głębi duszy był Szczepanowski, on nie wystarczy. Nie uspokoi go nawet owo niemal powszechne dziś dla niego współczucie społeczeństwa—współczucie i takie obudzić może jeszcze głębszy żal do ogółu, że objawił je w tak spóźnionej i jałowej formie.

Któryś z publicystów naszych przypomniał niedawno, że podobnie jak Szczepanowski, to jest bankructwem i złamaniem życia, skończyli u nas dwaj inni, najdzielniejsi działacze społeczni: Tyzenhaus i Steinkeler.

Niestety!—Ogół nasz niedobrze nawet pamięta te dwa nazwiska—nazwiska dwóch przodowników ekonomicznego rozwoju kraju.—

---

<sup>1)</sup> (*Przyp. Red.*). Równocześnie dajemy głos naszemu korespondentowi (obacz wyżej „Kronika Galicyjska“), który poświęca uwagi innym znowu stronom tej sprawy. Właśnie z powodu swej doniosłości dla społeczeństwa, sprawa ta wymaga wyczerpującej krytyki przedewszystkiem tych różnych czynników moralnych, jakie się na nią złożyły.



Cóż dopiero, żeby wiedział, jakie były ich zasługi i jaką wzięli za nie zapłatę! Nie tu miejsce przypominać o pracach ich; o genialnych operacjach, z solą i cynkiem o niezwalczonych trudnościach sfinansowania kolei wiedeńskiej, o śmiałym stanięciu do zwycięskiego współzawodnictwa z taką potęgą, jak Anglia,—jednego; o zabudowaniu kraju rękodzielniami, o sprowadzeniu instruktorów rzemiosł i przemysłu drugiego — dość, że i jeden, i drugi pionier, jak dziś Szczepanowski, bardzo drogo, bo upadkiem własnym, przypłacił pracę około dźwignienia pomysłowości ogółu.

Otóż z bolesnych kart dramatu Szczepanowskiego przemawia znowuż ta sama nauka—to samo ostrzeżenie.

W losach tych ludzi zdumiewa jeden rys: są to zazwyczaj ludzie osobiście nieskazitelni—dzieci Steinkelera, podobnie jak dzieci Szczepanowskiego, nie przyszli do żadnych, najdrobniejszych nawet fortun—Są to dalej ludzie żyjący jakimś wprost żołnierskim, twardem życiem, o potrzebach wprost nieprawdopodobnie małych, nie wydający na siebie niemal nic—Steinkeler znał tylko pracę i pracę, bez wytchnienia, Szczepanowski zaś, kiedy przeszedł w szereg i wzdłuż całą Galicyę piechotą i z młotkiem w ręku, rozpoczął znów okres życia wagonowobiurowego.

Żył w pociągu w nieustannem czuwaniu nad wszystkim, co się działo w kraju; żył na zgromadzeniach, gdzie zapładniał gromady ludzkie swą niepożytą energią i inicjatywą.

Rzecz zdumiewająca, że przy takim trybie życia, przy imaniu się przedsięwzięciom niemal matematycznie niezawodnych, ludzie ci ulegali w końcu tej samej fatalności bankructwa, która gdzie indziej ściga utracycuszków i spekulantów.

A przecież czujemy wszyscy, że jest jakaś ogromna różnica między upadkiem takiego Szczepanowskiego, lub Steinkellera, a bankructwami setek zwyczajnych przedsiębiorców.

Różnica ta dyktuje właśnie przysięgłym werdykt uniewinniający, a historycznym badaczom — tak zwany, pośmiertny wymiar sprawiedliwości.

Na czemże więc różnica owa polega? I co stanowi najgłębszą przyczynę zarazem i upadku, i owej jakby aureoli, którą, pomimo wszystko, zdajemy się przyznawać tym ludziom, jakby pionierom i reformatorom?

Przyczyna tkwi w tem właśnie, że są to istotnie nietylko przedsiębiorcy, nietylko nawet działacze społeczni w zwykłym znaczeniu, lecz, istotnie, *reformatorowie społeczeństwa*.

Spółczeństwo rolniczo - pańszczyźniane, społeczeństwo domatorów, zasiedziałej na starych gniazdach szlachecczyzny, społeczeństwo spożywające to, „co Bóg dał“, a chłop odrobił, znalazło się niemal nagle w szrankach nowoczesnej walki o byt, gdzie punkt ciężkości przenosi się właśnie nie na to, „co Bóg dał“, lecz na to, co wziąć, nawet wydrzeć, w każdym zaś razie zdobyć można. Ten fakt zresztą znamy powszechnie.

Ale za faktem tym idzie nieodzowna konsekwencya — oto owa spożywcza, że tak powiemy, gospodarka, w przeciwstawieniu do produkcyjnej, owa osiadłość osobników w przeciwstawieniu do obrotności, tradycya w przeciwstawieniu do inicjatywy — skryształizowały się w pewien całokształt typu, zasadniczo niesprzyjającego nowej przemysłowej formie bytowania. Typ to ludzi, ściskających w garści worków nałogowo — tym samym odruchem, którym ongi ściskali w garści ziemię, rodowe gniazdo. Typ to ludzi, którzy chcieli-by, żeby pieniądz, jak ongi ziarno, dawał swoje sam-siedem, czy sam-osiem, w spokojnem jednorocznem dojrzewaniu. Szybki obrót pieniędzy takiemu człowiekowi po prostu wydaje się czemś nienaturalnem. Jakżeż? Opierać kalkulację na dwóch i trzech obrotach kapitału rocznie, to coś tak, jak wymagać, żeby ziemia trzy razy do roku rodziła? Nie, pewniej wziąć raz sam-siedem, niż trzy razy po 3%. Ten misterny atawizm instynktu można zresztą po prostu scharakteryzować jako tchórzowstwo pieniędzy i brak kultury kapitalistów. Rzecz ciekawa, że kapitały nasze najchętniej idą na hipoteki, o których wiadomo, że raczej spożywczą, niż wytwórczą rolę odgrywają w społecznej gospodarce, ale które za to dają owe „sam-osiem“... pewne i niezawodne.

Otóż w społeczności, gdzie do dziś dnia kwitną takie nałogi, rola Szczepanowskich i Steinkellerów jest naprawdę rolą reformatorów.

To też nie palimy ich; co prawda, na stosach, ale nie odmawiamy sobie przyjemności grzebania ich żywcem, nie bez obfitego zroszenia bohaterskich mogił jałowemi łzami współczucia.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że najcharakterystyczniejszą dla nas formą posiadania ekonomicznego jest forma spozycia w wielkich majątkach i forma duszenia uciulanego grosiwa pod podłogą — w małych fortunkach. Milionowy pan odziedziczonej po przodkach fortuny dumny już jest, jeśli, nie naruszając kapitału, doszczętnie zjada procent. Biedak zaś oszczędza, ale uważa się za szczególnie „chytrego“, gdy

oszczędności trzyma w gotówce i w skrzyni, nie zaś w akcyach, lub kasach.

Znajdują się i dziś jeszcze ludzie, których rozrzewnia nasz „wstręt do przemysłu“, jako wyraz jakiegoś idealizmu.

Niestety, my w tym wstręcie upatrujemy przede wszystkim sobkowstwo, brak energii, brak poczucia jakichś obowiązków względem kraju. Trzeba bowiem istotnie odwagi i nawet pewnego idealizmu, żeby, ujawniszysobie nieco owych, na spożycie przeznaczonych procentów, wprowadzić je w jakieś przedsięwzięcie. Trzeba rozumu, znajomości życia i znowu odwagi, żeby część „pewnej“ hipoteki ulokować w młodej, oparcia potrzebującej, gałęzi przemysłu.

Gdy tymczasem reformatorowie tych instynktów giną, budząc jałowe współczucie ziomeków, przedsięwzięcia, przez nich stworzone, rozwijają się wspaniale, ale już z korzyścią nie ich, pokonanych biernym oporem masy, lecz często jakichś obcych przybyszów.

I oto z kolei rzeczy, jakaś kolej wiedeńska, na którą w kraju niepodobna było znaleźć kapitału, staje się sama rodzajem niezawodnej, a dobrze procentującej hipoteki. Bądźmy pewni, że nasi idealisci, „czujący wstręt do przemysłu“, nie zaniedbają w tej fazie nabyć jej akcyi, o ile to się im uda.

Dramat Szczepanowskiego raz jeszcze świadczy, że reformy tych instynktów, wrogich pomysłowości kraju, przeprowadzić się nie udało. Rzucono mu kwiaty współczucia, lecz jakże niedołężnie ratowano jego dzieło!

Nie słyszeliśmy, ażeby ludzie majątni, swoi przynajmniej, popieszyli i podparli własnym kapitałem to dzieło, które przecież, opierając się na przyrodzonych a wielkich bogactwach kraju zawieść nie może! Nie podparto kapitałem jego pracy wówczas, gdy sam jeszcze stał na jej czele, i gdy musiał ją łątać urywkowym i nielegalnym kredytem.

Nie podparto jej i dziś, gdy największe trudności przełamane, a kraj cały, wiara ogółu, potrzebowały takiego dowodu własnej żywotności. Nie przełamały się te instynkty nieradne w chwili, która dużo przecież zaważyć mogła w psychologii mas, w wyrobieniu się nowych instynktów. Wszak tu właśnie była sposobność podwójnego wykazania, jak zgubnem jest owo chowanie pieniędzy — zgubnem dla moralności, zgubnem dla rozwoju najpiękniejszych przedsięwzięć w kraju!

I dla tego, schodząc dziś z ławy oskarżonych, Szczepanowski nie zapomni bólu, nie utuli żalu, bo, patrząc w przyszłość okiem myśliciele, nie dostrzeże objawu ocknienia się, naprawy instynktów, lecz tę samą nieradność, płonnie współczującą, a jeszcze nie gotową do podjęcia gromadnie prac, które są nad siły najdzielniejszych jednostek.

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— Dr M. Jezienicki, profesor V gimnazyum i docent uniwersyte-  
tu we Lwowie, wydał własnym nakładem „Cenniejsze utwory łacińskie  
Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego“. Książka, mająca głów-  
nie na celu zaznajomienie młodzieży gimnazyalnej z humanistami pol-  
skimi, składa się z dwóch części. Pierwsza obejmuje wstęp, dający ogól-  
ny pogląd na początki i rozwój humanizmu we Włoszech i w Polsce,  
uwzględniający najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku, oraz  
wybór z cenniejszych utworów łacińskich, ułożonych w dystychach ele-  
giackich trzech najznakomitszych poetów polsko-łacińskich Złotego  
wieku literatury polskiej: Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskie-  
go. Druga część zawiera, oprócz dalszego ciągu elegii Janickiego, cel-  
niejsze ody łacińskie Kochanowskiego i Sarbiewskiego.

— Cenne wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“ wzbogaciła  
rozprawa W. Lutosławskiego pod tytułem: „Platon, jako twórca idea-  
lizmu“.

— Nakładem Krakowskiej Akademii Umiejętności wydał p. Maksymilian Kawczyński: „Życie Apulejusza Platończyka z Madaury“.

— Do literatury filozoficznej przybyło kilka niepośledniej wartości przekładów. Nakładca, występujący na wszystkich polach piśmiennictwa z energiczną inicjatywą wydawniczą, p. Bronisław Natanson, wydał „Zasady psychologii fizyologicznej“ d-ra T. Liebena w przekładzie i z przedmową A. Mahrburga; jako wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“, ukazała się rzecz o „Herbercie Spencerze“ Ottona Gauppa w tłumaczeniu d-ra A. Grossglicka; wreszcie we Lwowie, pod redakcją prof. d-ra Kazimierza Twardowskiego, wyszedł przekład, dokonany przez członków tamtejszego „Kółka filozoficznego“ dwutomowej książki Oswalda Külpego „O zadaniach i kierunkach filozofii“. Rozprawy i dzieła powyższe będą w „Bibliotece“ przedmiotem obszerniejszej oceny.

— Do wielce dziś pożądaných przekładów zaliczyć też należy Franciszka Holtzendorffa: „Znaczenie opinii publicznej w życiu państwowem“. Jest to również nakład Bronisława Natansona.

— Kwestye z dziedziny etyki lekarskiej coraz częściej występują obecnie w naszej publicystyce. Ciekawym w tej materji przyczynkiem jest broszura Władysława Biegańskiego pod tytułem: „Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej“.

— Nakładem Kasy pomocy d-ra Mianowskiego wydano studjum etnologiczne Stanisława Ciszewskiego pod tytułem: „Wróżda i Pojednanie“.

— Jako odbitka z „Kroniki Lekarskiej“ wyszedł zarys historyczny d-ra Fr. Giedroycia pod tytułem: „Mór w Polsce w wiekach ubiegłych“.

— Do wydawnictw Bronisława Natansona przybyła „Mitologia“ (Wierzenia pierwotne) Andrzeja Langa, z angielskiego z encyklopedyi brytańskiej przełożona.

— Trzy biografie: Stanisława Konarskiego przez Henryka Wernica, Jana Kochanowskiego przez Władysława Nehringa i Jędrzeja Śniadeckiego przez Leona Świeżawskiego, pomnożyły cenę publikacyę, wydawaną w Petersburgu, nakładem księgarni K. Grendyszyń-

skiego, pod tytułem: „Życiorysy sławnych Polaków“. Wydawnictwo ozdobione jest odpowiednimi portretami.

— Siostra zmarłego we Francji Edwarda Przewóskego, panna Marya Czesława Przewóska, wydała studjum brata pod tytułem: „Krytyka literacka we Francji“. Książka ta stanowić ma pierwszy tom pośmiertnego wydania prac ś. p. Przewóskego.

— Zeszyt IV „Przeglądu filozoficznego“ wyszedł z druku i zawiera: Wł. M. Kozłowski: „Psychologiczne źródła niektórych praw przyrody“; d-ra Z. Balickiego; „Socyologiczne podstawy użyteczności“; d-ra St. Grabskiego: „Wstęp do metodologii ekonomii politycznej“, autoreferaty, krytykę i sprawozdania, bibliografię.

— Piąty zeszyt „Albumu sztuki polskiej“ zawiera w dalszym ciągu opracowanie przez Henryka Piątkowskiego dzieł warszawskiej wystawy retrospektywnej z 1998 roku.

— W literaturze dramatycznej mamy do zanotowania: „W sieci“, dramat w pięciu aktach Jana Aug. Kisielewskiego; cztery jednoaktowe dramaty: „Binom“, „Dzisiejszy“, „Sobotni wieczór“ i „Nemesis“ — przez Kazimierza Sterlinga.

— Dr Edward Flatau wydał rozprawę pod tytułem: „Ustrój nerwowy w świetle najnowszych badań“. Rzeczą ta była przeznaczona na odczyt na VIII zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu.

— P. A. J. Stodołkiewicz przedstawia w broszurze pod tytułem: *Świat* „nową hipotezę kosmogoniczną“, która, według autora, ma „lepiej, aniżeli hipoteza Laplasa (sic) tłumaczyć powstanie układu planetarnego“.

— W belletrystyce mamy do zanotowania drugą edycję „Opowiadań“ Stefana Żeromskiego, wydaną przez Bronisława Natansoua; „Baśnie i Psalmodye“ Maryi Komornickiej, oraz Anny Kłopotowskiej tom poezji pod tytułem: „Jeszcze rymy“! W tłumaczeniu Gabora ukazały się poezje Ady Negri: „Pieśni niedoli“ (*Fatalità*) i „Burze“ (*Tempeste*); a Adam M—ski przełożył z czeskiego „Magdalenę“ Jana Machara, wydaną nakładem redakcji „Głosu“ z przedmową A. Langego.

— „Dla zabicia czasu“ napisał p. K. Laskowski cztery humoreski które wyszły nakładem księgarni Sadowskiego.



— „Księgozbiór katedry plockiej“ opisał i wspaniale z 17 rysunkami wydał Mathias Bersohn, członek Kommissyi historii sztuki Akademii Umiejętności w Krakowie i członek Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

— „Biblioteka dzieł wyborowych“ doprowadziła już swoje interesujące wydawnictwo do 109-go tomu. Ruchliwa ta i pożyteczna publikacya w ciągu swego dwuletniego istnienia przyczyniła się dzielnie do ożywienia u nas czytelnictwa umiętnym wyborem puszcanych w świat co tydzień książek. Wybór ten nie opierał się wyłącznie na belletrystyce, a jakkolwiek powieści stanowią niepośledni dział wydawnictwa, to jednak redakcyja zwróciła też baczną uwagę i na dzieła, które mogą być ozdobą każdego poważniejszego księgozbioru. Dość tu przypomnieć: „Szkoły historyczne w Polsce“ Władysława Smoleńskiego, który nadto opatrzył swoją przedmową czterotomowe „Dzieje narodu polskiego“; Skarbka: „Dzieje Księstwa Warszawskiego“, „Pamiętniki Szymona Konopackiego“; Chmielowskiego Piotra: „Historyę literatury polskiej“, której wydano już dwa tomy; „Pamiętniki Franciszka Karpińskiego“; Juliana Ochorowicza: „Wiedza tajemna w Egipcie i istota bytu“; Fridtjofa Nansena: „Podróż do bieguna północnego“; Edmunda Biernackiego: „Istota i granica wiedzy lekarskiej“; Gustawa Dolińskiego: „Jak u nas chowano dzieci“; Romana Plenkiwicza: „Kształcenie młodzieży“; Romana Zawilińskiego: „Słowacy, ich życie i literatura“; Seidla: „Transwaal i Boerowie“; ks. A. Brykczyńskiego: „Listy z Włoch o sztuce kościelnej“; arcydzieła poezyi polskiej i obcej, jak naprzykład: „Powieści poetyckie“, „Poemata“ i „Beniowski“ Słowackiego; Krasińskiego: „Irydion“; Cerwantesa: „Don Kiszot“; wreszcie, między wielu innymi powieści: Bolesławity („Tułacze“, „Czarna perelka“); Orzeszkowej nowelle; Jeża: „Nad rzekami Babilonu“, oraz: „Ci i tamci“; Sewera: „Wśród pokus“; Teodora Jeske-Choińskiego: „Stłumione iskry“; Zacharyasiewicza: „Zakopane skarby“; Wiktora Hugo: „Rok dziewięćdziesiąty trzeci“; Marka Twaina: „Przygody Hucka“.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

*Michał książę Radziwiłł.*



# Zaproszenie do przedpłaty

NA ROK

1900.

---

„**Biblioteka Warszawska**“, pismo miesięczne, poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym, rozpoczyna z rokiem 1900nym sześćdziesiąty rok swojej działalności naukowo-literackiej, i wychodzić będzie, jak w roku ubiegłym, w zeszytach najmniej 12-arkuszowych.

Zreorganizowawszy wydawnictwo „Biblioteki“, Redakcyja i w dalszym ciągu dokładać będzie usiłowań, polegających na starannym doborze poważnych prac naukowych, wytwornych dzieł literackich i artykułów, do potrzeb dzisiejszych zastosowanych. Coraz liczniejszy zastęp współpracowników zapewnia dalszy rozwój pismu, a znacznie w ciągu ostatnich dziewięciu lat zwiększona liczba prenumeratorów daje otuchę Redakcyji, że jej usilne starania znajdą w szerszych jeszcze kołach czytelników życzliwe poparcie.

Program „Biblioteki Warszawskiej“ zawiera następujące działy:

- I. **Filozofia.** Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych.
- II. **Historya.** Dzieje powszechnie i własne.
- III. **Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.**
- IV. **Studia z nauk przyrodniczych.**
- V. **Studia pedagogiczne i lingwistyczne.**
- VI. **Literatura.** Utwory oryginalne wierszem i prozą.

- VII. Studya literackie.  
 VIII. **Krytyka** utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego. — Przegląd literatury belletrystycznej i rozbiory dzieł naukowych.  
 IX. Studya **artystyczne** i oceny dzieł sztuki.  
 X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym (artystycznym, społecznym i ekonomicznym).  
 XI. **Kronika miesięczna**.  
 XII. Wiadomości **bibliograficzne**.

## WARUNKI PRENUMERATY:

„Biblioteka Warszawska kosztuje:

Z przesyłką pocztową: Rocznie . . . rub. 10 kop. —  
 Półrocznie „ 5 „ —

W Warszawie: Rocznie . . . rub. 9 kop. —  
 Półrocznie . . . „ 4 „ 50  
 Kwartalnie . . . „ 2 „ 25

Cena pojedynczego zeszytu rs. 1.

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do redakcji „**Biblioteki Warszawskiej**“, ulica Warecka Nr 14, gdyż to zapewnia najlepiej akuratańską ekspedycję pisma.

Przyjmują prenumeratę także wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

*Redakcyja.*

Дозволено Цензурою, Варшава 6 Нолбря 1899.

Drnk I. Sikorskiego, Warecka № 14.